

Barbara Cartland

Niewinne zło

Enchanting evil



Rozdział 1

Drzwi pokoju do nauki otworzyły się gwałtownie.

- Jeszcze nie skończyłaś poprawiać mojej sukni? - zapytała ostrym tonem Karolina.

Kuzynka Melinda spojrzała na nią z ławeczki w oknie wykuszowym; zachodzące słońce rzucało ostatnie promienie na delikatny wzór, który wyszywała na balowej sukni z różowej tafty.

- Zaraz skończę, Karolino - powiedziała łagodnym głosem. - Nie mogłam zacząć wcześniej.

- Nie mogłaś, bo zbyt długo marudziłaś w stajni przy tym twoim koniu - odparła gniewnie Karolina. - Doprawdy, Melindo, jeśli będziesz postępować tak dalej, to poproszę tatusia, żeby zabronił ci jeździć konno. Wtedy będziesz miała więcej czasu na wypełnianie swoich obowiązków domowych.

- Ach, Karolino, nie mogłabyś zrobić czegoś tak okrutnego! - wykrzyknęła Melinda.

- Okrutnego! - odparowała kuzynka. - Nie możesz chyba uskarżać się, że jesteśmy dla ciebie okrutni. Sara Ovington powiedziała mi nie dalej niż w tym tygodniu, że ubogiej krewnej, która mieszka z nimi, nigdy nie wojno zejść do jadalni na lunch czy obiad, a kiedy udają się na przejażdżkę, zawsze musi siedzieć tyłem do koni. Ty zaś, Melindo, wiesz równie dobrze jak ja, że pozwalam ci siedzieć obok mnie, kiedy jedziemy gdzieś powozem.

- Jesteś bardzo dobra, Karolino - rzekła spokojnie Melinda - i przepraszam, jeśli ociagałam się z poprawieniem twojej sukni. To z powodu wiadomości, którą przesłał mi Ned, że Błysk nie ma apetytu. Kiedy poszłam go nakarmić, oczywiście zjadł swój owies. - Zupełnie zbzikowałaś na punkcie tego głupiego konia - stwierdziła pogardliwie Karolina. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego tatuś dał ci dla

niego miejsce w stajni, kiedy ledwo go starcza dla naszych własnych koni.

- Och, proszę cię, Karolino, proszę, nie wspominaj o tym stryjowi Hektorowi! - zawołała błagalnie Melinda. - Zrobię wszystko, co zechcesz: będę siedzieć całą noc, poprawiając twe suknie, lub wyhaftuję je od kołnierzyka do obrąbka. Tylko nie wmawiaj swojemu ojcu, że biedny Błysk jest jakąś zawadą.

W niebieskich oczach Melindy pojawiły się łzy, a jej głos załamał się nieco pod wpływem tego wybuchu uczuć.

Przez chwilę kuzynka patrzyła na nią nieprzyjaźnie, lecz nagle złagodniała.

- Przepraszam cię, Melindo. Byłam dla ciebie okropna. Nie mówiłam tego poważnie. Tatuś znowu mnie skrzyczał.

- O co poszło tym razem? - zapytała Melinda ze współczuciem.

- O ciebie - odrzekła Karolina.

- O mnie?! - wykrzyknęła Melinda.

- Tak, o ciebie - powtórzyła kuzynka i, naśladując głos swego ojca, zapytała: „Dlaczego nie możesz wyglądać czysto i schludnie jak Melinda? Dlaczego ta suknia na tobie leży źle, podczas gdy Melinda, chociaż starsza, wygląda tak elegancko?”

- Nie mogę uwierzyć, że stryj Hektor mówi takie rzeczy! - zawołała Melinda.

- Owszem, mówi - potwierdziła Karolina. - A co więcej, mama powiedziała prawie to samo, chociaż wiesz, Melindo, że cię nie lubi.

- Tak, wiem - przyznała Melinda z lekkim westchnieniem.

- Tak bardzo się staram, żeby stryjenka Małgorzata mnie polubiła, ale wszystko co robię, wydaje się jej niestosowne.

- Tu nie chodzi o to, co robisz - powiedziała otwarcie Karolina - lecz o to, jak wyglądasz. Och, nie jestem taka

głupia, żebym nie potrafiła zrozumieć, dlaczego mama jest niezadowolona z twojego pobytu u nas. Chce mnie wydać za mąż, ale każdy dżentelmen, który pojawia się w tym domu, patrzy tylko na ciebie.

Melinda roześmiała się.

- To okropnie niemądry pomysł, Karolino. Wyobrażasz sobie coś, czego nie ma. Przecież w ubiegłym tygodniu kapitan Parry był bardzo tobą zajęty. Sama mówiłaś, że w czasie garden party nie odstępował cię na krok.

- Było tak, zanim zobaczył ciebie - odrzekła posepnie Karolina.

Niespodziewanie pochyliła się ku Melindzie, chwyciła ją za ramię i przyciągnęła do siebie.

- Chodź tu i zobacz, co mam na myśli - powiedziała.

- Co robisz? - krzyknęła Melinda. - Ach, uważaj na swoją suknię! Jeśli się rozedrze, nie będzie czasu, żeby ją naprawić.

Ale suknia z różowej tafty już leżała na podłodze, a Karolina pociągnęła kuzynkę przez pokój do dużego zwierciadła oprawnego w ciężkie mahoniowe ramy. Ustawiła Melinę przed nim, a sama stanęła obok.

- Teraz patrz! - rozkazała. - Po prostu patrz! Trochę przestraszona, Melinda wykonała polecenie.

Musiałyby być doprawdy ślepa, gdyby nie dostrzegła rzucającej się w oczy różnicy między sobą a, swoją kuzynką.

Karolina była grubokoścista, ze skłonnościami do tycia. Wskutek objadania się puddingami i czekoladą cerę miała ziemistą i krostowatą. Włosy mysiej barwy były tak słabe, że jej fryzura wydawała się zawsze nieporządna i rozczochrana mimo nieustannych wysiłków służącej lady Stanyon. Karolina miała wprawdzie ładne rysy, lecz zmarszczone brwi wyrażały dezaprobatę, a kąciki ust opadały ku dołowi ponieważ stale narzekała. Nie była złą dziewczyną, lecz zaiste musiałyby

chyba być pozbawiona ludzkich cech, gdyby nie odczuwała zazdrości wobec swej kuzynki.

Melinda była drobna i szczupła, miała smukłe białe ręce z długimi palcami. Poruszała się z wrodzonym wdziękiem, który sprawiał, że wydawała się istotą niemal bezcielesną. Także w jej subtelnej twarzyczce w kształcie serca było coś uduchowionego. Miała ogromne niebieskie oczy, ocienione ciemnymi rzęsami, odziedziczone po jakimś irlandzkim przodku, a jej włosy o barwie dojrzałego zboża opadały w miękkich naturalnych lokach po obu stronach twarzy.

- Chyba rozumiesz, co mam na myśli? - zapytała szorstko Karolina.

Melinda odwróciła się szybko od lustra, ponieważ uświadomiła sobie aż nazbyt jasno, dlaczego Karolina w wybuchu złości nazwała ją niedawno „kukułczym jajem”.

- Moja matka zawsze mówiła, że porównania są czymś wstrętnym - powiedziała łagodnym głosem. - Każdy jest inny; każdy ma jakieś zalety. Pomyśl, jak dobrze władasz obcymi językami. A twoje akwarele są dużo lepsze od moich.

- Komu są potrzebne akwarele? - zapytała z goryczą Karolina.

Melinda wróciła na swą ławeczkę w oknie i podniosła z podłogi suknię.

- Skończę za pięć minut - powiedziała uspokajająco. - Będiesz wyglądać uroczo dziś wieczorem na przyjęciu u lady Withering. Zapewne będzie tam kapitan Parry, a wiesz przecież, że mnie nie zaproszono.

- Zaproszono - mruknęła Karolina - ale mama powiedziała, że będziesz poza domem.

Przez chwilę delikatne usta Melindy zacisnęły się. Potem rzekła:

- Stryjenka Małgorzata miała zupełną słuszność, że odmówiła w moim imieniu. Przecież nawet nie mam w co się ubrać.

- Mogłabyś poprosić tatusia, żeby sprawił ci nową wieczorową suknię.

- Jestem jeszcze w żałobie - odpowiedziała Melinda.

- To nieprawda, i dobrze o tym wiesz - zaprotestowała Karolina. - Nadalnosisz te swoje szare i fioletowe suknie, ponieważ mama obawia się, że gdybyś ubierała się kolorowo, to musiałaby zabierać cię na wszystkie przyjęcia, na które ja chodzę, a wtedy nikt nie spojrzałby na mnie.

- Och, Karolino, kochana, tak mi przykro! - wykrzyknęła Melinda. - Wiesz, że nie robię rozmyślnie niczego, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Wiem, i to jeszcze pogarsza sprawę - odpowiedziała Karolina. Znów podeszła do lustra. - Powinnam schudnąć! Ale nie mogę się wyrzec wybornych puddingów, które robi nasz kucharz, czy chrupiącego, świeżo upieczonego chleba na śniadanie. Czasami zastanawiam się, czy warto zadawać sobie tyle trudu, żeby zainteresować jakiegoś mężczyznę. A jednak co możemy zrobić innego, niż wyjść za mąż?

- Nie przypuszczam, żebym kiedykolwiek znalazła męża - roześmiała się Melinda. - Kto zechciałby ubogą krewną bez grosza przy duszy, o czym zawsze przypomina mi stryjenka Małgorzata?

- Nie mogę pojąć, dlaczego twój ojciec był tak lekkomyślny - powiedziała Karolina. - Skąd mieliście środki na życie, zanim twoi rodzice zginęli w wypadku drogowym?

- Zawsze wydawało się, że jest trochę pieniędzy - odparła Melinda. - Oczywiście, mieliśmy też dom i ogród, i służbę, która była u nas od lat. Nie myśleliśmy o sobie jako o biednych, lecz w tym czasie kochany beztroski tatuś nigdy nie płacił rachunków.

- Pamiętam, jak bardzo wstrząśnięci byli moi rodzice, gdy dowiedzieli się o wielkości jego długów - stwierdziła otwarcie Karolina. - To wtedy postanowili, że powinnaś przyjechać i zamieszkać z nami. „Nikt inny jej nie weźmie - powiedział tatuś - bez marnej choćby zapłaty”.

- Powinnam być bardziej niezależna - westchnęła Melinda. - Powinnam uprzeć się, że pójdę do pracy, jako guwernantka lub dama do towarzystwa.

- Tatuś by nigdy na to nie pozwolił - zapewniła ją Karolina. - Sąsiedzi uznaliby go za skąpca, gdyby nie zaopiekował się swą jedyną bratanicą. Tatuś jest bardzo wrażliwy na opinię hrabstwa o sobie. Szkoda tylko, Melindo, że jesteś taka ładna.

- Nie sądzę, żebym była naprawdę ładna - przerwała jej szybko kuzynka. - Po prostu jestem drobniejsza od ciebie, Karolino.

- Jesteś urocza! - powtórzyła Karolina. - Czy wiesz, co przedwczoraj powiedział lord Ovington?

- Nie, a co? - zapytała Melinda, nadal wyszywając, z jasną główką pochyloną nad robotą.

- Oczywiście, nie wiedział, że słyszę - wyjaśniła Karolina. - Otóż rozmawiając z pułkownikiem Gillinghamem, stwierdził; „Ta bratanica Hektora wyrasta na piękność. Będzie z nią miał mnóstwo kłopotów, jeśli nie zachowa ostrożności”.

- Czy naprawdę lord Ovington tak powiedział? - zapytała Melinda ze zdziwieniem.

- Tak, i wcale nie zamierzałam ci o tym mówić - rzekła Karolina - lecz w jakiś sposób wydobyłaś to ze mnie. Nigdy nie potrafiłam utrzymać przed tobą sekretu, Melindo.

- A co na to pułkownik Gillingham? - wypytywała kuzynka. - Jest coś okropnego w tym człowieku, Karolino. Ostatnim razem, gdy był tu na obiedzie, zauważyłam, że bez przerwy mnie obserwuje. Nie wiem dlaczego, lecz pod jego

wzrokiem zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Myślę, że to chyba diabeł w ludzkiej skórze.

- Doprawdy, Melindo, mocno przesadzasz! - zaprotestowała Karolina. - Pułkownik Gillingham jest tylko zdziwaczalym starym przyjacielem tatusia. Jeżdżą razem na polowania i całymi wieczorami przesiadują w palarni, co okropnie irytuje mamę. Jest nudny jak flaki z olejem, podobnie jak wszyscy przyjaciele taty.

- Naprawdę go nie cierpię! - stwierdziła zdecydowanie Melinda. - A ty nie powiedziałaś mi, co pułkownik odpowiedział lordowi Ovingtonowi.

- Nie jestem pewna, czy dobrze usłyszałam - odrzekła Karolina - ale wydaje mi się, że powiedział: „To samo i ja pomyślałem. Wysoko doleci ta dzierlatka, jeśli da się jej szansę!”

- Jak on śmie mówić o mnie w ten sposób?! - wykrzyknęła, rumieniąc się, Melinda. Gdy była rozgniewana, w jej oczach pojawiały się iskry.

- Nie przejmuj się tym! - roześmiała się Karolina, - Szkoda, że ci powiedziałam. Chciałabym tak przypadkowo usłyszeć jakieś komplementy pod moim adresem!

- Jestem pewna, że dziś wieczorem usłyszysz - powiedziała pocieszająco Melinda. - Spójrz, suknia już gotowa, a przecież wiesz, Karolino, że jest ci w niej bardziej do twarzy niż w jakiegokolwiek innej z twoich sukien.

- Mama zawsze mówi, że kolor najlepiej wyróżnia dziewczynę na sali balowej - zgodziła się Karolina. Milczała przez chwilę, po czym dorzuciła w zadumie: - Ciekawa jestem, czy kapitan Parry lubi różowy kolor?

- Nie wątpię, że spodobaś mu się w tym kolorze - zapewniła ją Melinda.

- Ja też mam taką nadzieję - rzekła niepewnie Karolina. - I myślę, że to bardzo dobrze, Melindo, iż nie zamierzasz iść na to przyjęcie.

Zapukano do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołała Melinda.

Drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich jedna z młodszych pokojówek, w białym, wykrochmalonym, trochę przekrzywionym czepku na głowie. Zadyszana powiedziała:

- Sir Hektor życzy sobie, żeby panna Melinda zeszła zaraz na dół do biblioteki.

Obie dziewczyny wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

- Co ja takiego zrobiłam? - zastanawiała się Melinda. - Karolino, czy nie powiedziałaś mu czegoś o Błysku?

- Nie, ma się rozumieć, że nie - odparła Karolina. - Tak tylko drażniłam się z tobą.

- Dlaczego więc chce mnie widzieć o tej porze dnia? - niepokoila się Melinda. - To coś zupełnie niezwykłego!

Spojrzała na zegar nad kominkiem, który wskazywał szóstą.

- No cóż, najlepiej będzie, jeśli zacznę się ubierać na przyjęcie - oświadczyła Karolina. - Przyjdź potem na górę i powiedz mi, czego chciał. Mam nadzieję, że mnie tonie dotyczy.

Melinda milczała. Jej mała twarzączka była blada i niespokojna, gdy spojrzała na swe odbicie w zwierciadle, aby przyczesać włosy i poprawić sztywny biały kołnierzyk przy swojej szarej bawełnianej sukni - ciemnej, pozbawionej ozdób, niemodnie skrojonej i bez krynoliny, która toaletom Karoliny nadawała elegancki wygląd i sprawiała, że przy każdym jej ruchu kołysały się wdzięcznie. Chociaż jednak suknia Melindy była tak zwyczajna, ona sama wyglądała w niej uroczo, gdy prawie bezszelestnie biegła po schodach

wysłanych dywanem, a potem przez marmurowy hall do biblioteki.

Ujmując klamkę drzwi biblioteki, zatrzymała się na chwilę i wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Podniosła głowę i powiedziała sobie, że nie może się bać.

- Chciałeś mnie widzieć, stryju Hektorze?

Jej głos wydawał się bardzo słaby, jakby ginął w przytłaczającej pompatyczności tej wielkiej, wysoko sklepionej sali, z jej aksamitnymi zasłonami, ogromnymi szafami w stylu Chippendale'a i meblami obitymi skórą.

Sir Hektor Stanyon podniósł się zza biurka, przy którym pisał, i stanął przed kominkiem. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, o ciężkiej budowie ciała. Miał ciemne krzaczaste brwi i siwiejące włosy. Jego głęboki huczący głos zdawał się wprawiać w drżenie kryształowy żyrandola, gdy odpowiedział:

- Wejdz, Melindo. Chcę z tobą porozmawiać. Melinda zamknęła drzwi, przeszła po perskich dywanach i stanęła z szacunkiem przed stryjem, ze splecionymi rękami i wzrokiem wzniesionym ku niemu. Sir Hektor wpatrywał się w nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Ile masz lat, Melindo? - zapytał.

- Osiemnaście... stryju Hektorze.

- I mieszkasz tu prawie od roku?

- T... tak, stryju Hektorze. Gdy tatuś i mama... umarli, stryj był tak wielkoduszny, że zapewnił mi dom rodzinny.

- Czasami żałowałem tego - odparł sir Hektor. - Nie ukrywam, Melindo, iż w ciągu ubiegłego roku kilka razy pomyślałem, że to był błąd. Niezupełnie odpowiadasz moim wymaganiom dotyczącym osoby, którą powinienem wybrać na towarzyszkę Karoliny.

- Ja... bardzo mi przykro z tego powodu - powiedziała Melinda - bo ja l... lubię Karolinę i m... myślę, że ona lubi... mnie.

- Przewracasz jej w głowie! - zagrział oskarżycielsko sir Hektor. - Przedwczoraj odpowiedziała mi zuchwale. Nie zrobiłaby tego rok temu. To twój wpływ, Melindo. Jesteś zbyt harda, zbyt zuchwała.

- Staram się być... być... skromna - powiedziała niepewnie Melinda, szukając słowa, które mogłaby uznać za właściwe.

- Z niewielkim powodzeniem - odburknął ponuro sir Hektor.

- Przepraszam - wybąkała. - Staralam się, żeby... żebyście ty, stryju, i stryjenka Małgorzata byli ze mnie zadowoleni.

- I powinnaś się o to starać! Doprawdy powinnaś! - warknął sir Hektor. - Zdajesz sobie chyba sprawę, że mój rozrzutny brat zostawił cię bez grosza? Bez grosza! W gruncie rzeczy sprzedaż domu ledwo wystarczyła na pokrycie jego długów.

- Wiem - przyznała potulnie Melinda. Wielokrotnie już słyszała te słowa i zawsze miała wielką ochotę podnieść dumnie głowę i przeciwstawić się stryjowi, powiedzieć mu, że w jakiś sposób zapłaci mu za wszystko, co dla niej zrobił. Była jednak świadoma swej bezradności; wiedziała, że może tylko wymamrotać, jak tyle razy przedtem, słowa wdzięczności za okruchy, które spadały z jego pańskiego stołu.

- Nie obwiniam tylko mojego brata - kontynuował sir Hektor. - Również twoja matka nie wywierała na niego takiego wpływu, jaki powinna. Może i była wnuczką księcia, lecz w Melchesterach płynie, i zawsze płynęła, zła krew - zbyt dzika, zbyt gorąca. Trzeba ich trzymać w karchach, ciebie także, Melindo!

- Tak, stryju Hektorze - szepnęła dziewczyna. Zastanawiała się, jak długo potrwa ta przemowa. Odkąd zamieszkała w domu stryja, udzielono jej wielu napomnień tego rodzaju. Początkowo w swej naiwności sądziła, że stryjostwo będą ją traktować jak równą sobie. Dopiero po niezliczonych pouczeniach, naganach i karach uświadomiła sobie, jakie jest jej miejsce w tym domu; dowiedziała się, że ubodzy krewni nie mają żadnych praw, zwłaszcza zaś prawa do dumy. Z konieczności zmuszała się, żeby być pokorną, przeproszać za to, czego nie zrobiła, okazywać skruchę z powodu posiadania własnego zdania, a szczególnie z powodu odwagi wypowiedzania go.

W tej chwili, niemal odruchowo, mruzczała:

- Przepraszam, stryju Hektorze. Byłeś bardzo dobry.

- Ale teraz mam dla ciebie nowinę - oznajmił niespodziewanie sir Hektor. I muszę powiedzieć, Melindo, że moim zdaniem masz szczęście! Naprawdę duże szczęście!

Melindzie wydawało się, że oczekuje od niej odpowiedzi, odparła więc automatycznie:

- Tak, stryju Hektorze, naprawdę jestem bardzo wdzięczna.

- Nie wiesz jeszcze, za co masz być wdzięczna - rzekł sir Hektor. - Rzeczywiście, mam ci do zakomunikowania coś bardzo ważnego. Coś, co niewątpliwie cię zdziwi i, jak już powiedziałem, jest niesłychanie pomyślne dla kogoś w twojej sytuacji.

Przerwał, a następnie oświadczył donośnym głosem:

- Otrzymałaś propozycję małżeństwa.

- Pro... propozycję m... małżeństwa?

Melinda ledwo zdołała wyszeptać te słowa. Nie ulegało wątpliwości, że była zupełnie zaskoczona.

- Tego się nie spodziewałaś - powiedział sir Hektor z satysfakcją. - Prawdę mówiąc, ja też nie.

Zmieszana Melinda zaczęła szybko przypominać sobie tych nielicznych mężczyzn, z którymi zetknęła się w ciągu ostatnich paru tygodni; dopóki bowiem była w głębokiej żałobie, stryjenka nie pozwalała jej opuszczać domu i ogrodu Jedynym dżentelmenem, który przyszedł jej na myśl, był kapitan Parry; ale przecież nawet z nim nie rozmawiała, jeśli nie liczyć słów powitania, rzuconych półgłosem, gdy Karolina przedstawiała ich sobie. Pomodliła się gorąco, aby ten, który ją wybrał, nie okazał się obiektem westchnień kuzynki.

- Rozumiem twoje zażenowanie - rzekł sir Hektor - Jest ono wielce stosowne i właściwe. Gdybym dowiedział się, Melindo, że spojrzałaś z zainteresowaniem na jakiegoś mężczyznę, zanim powiadomił on mnie o swoich zamiarach, byłbym w najwyższym stopniu rozgniewany. Wiele się dziś mówi o dziewczętach, które ośmielają mężczyzn, chociaż nie zostali oni jeszcze zaaprobowani przez rodziców. Jest to zachowanie, jakiego nie tolerowałbym w moim domu.

- Nie, nie, oczywiście, że nie! - zapewniała go pospiesznie Melinda. - Naprawdę nie mam pojęcia, stryju Hektorze, o kim mówisz.

- Powtórzę więc jeszcze raz, że jesteś bardzo szczęśliwą młodą kobietą - oznajmił sir Hektor. - A teraz nie będę już dłużej trzymał cię w niepewności. Dżentelmenem, który zaszczycił cię prośbą, abyś została jego żoną, jest pułkownik Gillingham.

Melinda wydała słaby okrzyk.

- Ach nie! - odrzekła. - Nie! W żaden sposób nie mogłabym poślubić pułkownika Gillinghama.

- Nie mogłabyś?! A to dlaczego? - zapytał sir Hektor.

- Bo... bo... bo on jest... tak... taki sta... stary - wyjąkała.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym odezwał się sir Hektor lodowatym tonem:

- Może zainteresuje cię informacja - powiedział - że pułkownik Gillingham i ja jesteśmy w tym samym wieku, a ja bynajmniej nie uważam się za starego.

- Nie... nie, ja... ja nie miałam tego na myśli... - Melinda z trudem wyrzucała z siebie słowa - tylko... to... to... że byłby... stary dla... mnie. Przecież... jesteś m... moim stryjem.

- Już ci powiedziałem, Melindo - stwierdził z naciskiem sir Hektor - że trzeba cię trzymać w karbach. Potrzebujesz nawet czegoś więcej - potrzebujesz silnej ręki. Potrzebujesz mężczyzny, którego mogłabyś szanować, który będzie cię utrzymywał w ryzach i korygował twoje wady. Naprawdę bardzo potrzebna jest ci dyscyplina, Melindo.

- Ale... ja... ja nie chcę... wyjść za niego! - krzyknęła w rozpacz. - Nawet nie mogę myśleć o tym.

- Nie możesz o tym myśleć? - powtórzył sarkastycznie sir Hektor. - A kimże ty jesteś, chciałbym zapytać, żeby być tak zarozumiałą? Pułkownik Gillingham jest człowiekiem zamożnym, więcej - uważam go nawet za bardzo bogatego. Nie mogę zrozumieć, dlaczego życzy on sobie, żebyś nosiła jego nazwisko, ale zapewnia mnie, że już teraz darzy cię głębokim uczuciem. Powinnaś upaść na kolana, Melindo, i dziękować Bogu, że szlachetny i szanowany mężczyzna jest gotów wziąć odpowiedzialność za takie płocze stworzenie jak ty.

- To jest uprzejmie, bardzo uprzejmie z jego strony - powiedziała Melinda - ale ja... ja nie mogę... go poślubić. Proszę, stryju Hektorze, wytłumacz, że... że jestem wdzięczna... i powiedz, że... że chociaż doceniam zaszczyt, jaki mnie spotkał, to..., to muszę odrzucić jego propozycję.

- Naprawdę spodziewasz się, że przekażę mu taką wiadomość?! - ryknął sir Hektor.

Siła głosu i wyraz okrucieństwa, który nagle zmienił jego twarz, przeraziłyby Melindę w każdej innej sytuacji, teraz jednak nie ustępowała.

- Przykro mi, stryju, ale taka jest moja odpowiedź i nie zmienię swojej decyzji. Tatuś zawsze mówił, że nigdy by mnie nie zmuszał do poślubienia człowieka, którego bym nie kochała.

- Miłość! - wykrzyknął sir Hektor. - Twój ojciec musiał być niespełna rozumu. Słyszałem, że nowoczesne panny w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym szóstym uważają, iż mogą lekceważyć konwenanse i ignorować autorytet rodzicielski! Ale nie w moim domu! Słyszysz? Nie w moim domu! Przyzwoite dziewczyny nadal poślubiają tych mężczyzn, których wybiorą im rodzice, a skoro nie masz ojca i ja wziąłem na siebie odpowiedzialność za twój los, to ja zadecyduję, kogo poślubisz! A właściwie już podjąłem decyzję.

- To się na nic nie zda, stryju. Nie mogę poślubić pułkownika Gillinghama. Nie lubię go. Jest w nim coś, co wzbudza we mnie strach i odrazę.

- Ty zuchwała pannico! - krzyknął sir Hektor. - Jak śmiesz mówić w ten sposób o jednym z moich przyjaciół? Nie masz grosza przy duszy, a masz czelność odmawiać jednemu z najbogatszych ludzi w hrabstwie, mężczyźnie, który chce uczynić cię swoją żoną, który swoją propozycją zaszczycił cię dużo bardziej, niż na to zasługujesz?! Przyjmiesz oświadczenia pułkownika, a twoja stryjenka w dobroci serca urządzi w tym domu przyjęcie weselne. Wracaj do swojego pokoju! Sprawa postanowiona!

Melinda była bardzo blada, splecione dłonie zacisnęła tak mocno, aż zbieleły ich kostki, ale jej głos brzmiał mocno i pewnie, gdy rzekła:

- Przykro mi, że cię rozgniewam, stryju Hektorze. Jeśli jednak powiesz pułkownikowi, że go poślubię, to postawisz się w fałszywej sytuacji. Ja za niego nie wyjdę, a gdybyś nawet zawlókł mnie siłą do kościoła, to i tak odmówię.

Sir Hektor wydał okrzyk wściekłości. - Odmówisz, z łaski swojej?! - zaryczał. - Odrzucisz propozycję, którą większość dziewcząt przyjęłaby z wdzięcznością? Postąpisz tak, jak ci każę! Myślisz, że zrobisz ze mnie głupca wobec jednego z moich najlepszych przyjaciół?

Co więcej, ogłoszenie o ślubie ukaże się już pojutrze w „Gazette” i „Morning Post”.

- Choćby nawet ogłosił o tym miejski herold, i tak mnie to nic nie obchodzi - odparła wyzywająco Melinda. - Nie poślubię pułkownika Gillinghama! Nienawidzę go! Nie wyjdę za niego, bez względu na to, co mi zrobisz!

- Zobaczymy! - warknął sir Hektor.

Trząśł nim jeden z jego przerażających ataków furii, które żona i domownicy znali aż nadto dobrze. Twarz stała się purpurowa, krzaczaste brwi zdawały się prawie stykać nad nosem, a słowa wydobywały się z ust razem z pianą.

- Musisz mnie słuchać! - wrzeszczał - Nikt nie będzie mi się sprzeciwiał, a najmniej ty - pannica bez grosza, której zapewniłem opiekę w swoim domu. Poślubisz go!

- Nie poślubię! Nie wyjdę za człowieka, którego nie kocham! - zawołała Melinda. Ona także podniosła głos tylko po to, aby stryj ją usłyszał.

Chyba właśnie fakt, że krzyknęła, spowodował, iż sir Hektor stracił do reszty panowanie nad sobą. Porwał leżącą na biurku szpicrutę i jednym szybkim ruchem opuścił ją na barki dziewczyny z gwałtownością, która prawie zbiła ją z nóg. Nie upadła jednak i nadal krzyczała:

- Nie wyjdę za niego! Nie! Nie! Nie! - osłaniając się podniesionymi rękoma.

Całkiem już oszalały z wściekłości, sir Hektor chwycił ją i obsypując razami, przewrócił na sofę. Szpicruta smagała jej ramiona i plecy, ostry ból wgryzał się coraz głębiej w ciało, lecz mimo to wciąż krzyczała:

- Nie! Nie! Nie!

- Poślubisz go, choćbym miał cię zabić - groził sir Hektor przez zaciśnięte zęby; jego bicz świstał w powietrzu, aż w końcu, zaskoczony, lord Stanyon zdał sobie sprawę, że Melinda nie mówi już nic. Leżała w poprzek sofy, z włosami opadającymi na twarz, z ręką zwisającą bezwładnie i nieruchomo. Na moment się przestraszył. Rzucił szpicrutę na posadzkę.

- Wstawaj! - wrzasnął. - Chciałaś tego, to i dostałaś, na co zasługujesz.

Melinda nie poruszyła się. Ciężko dysząc, wziął ją na ręce i położył na sofie. Była zadziwiająco lekka. Jej głowa przechyliła się bezwładnie na jedno ramię, a oczy pozostawały zamknięte.

- Melindo! - krzyknął sir Hektor. - Melindo! Ty przekłety głuptasie! Dostałaś nauczkę. Myślę, że Randolf ucieszy się, że cię okiełznałem.

Podszedł do stolika z napojami stojącego w rogu pokoju. Oprócz imponującego rzędu karafek z rżniętego szkła był tam przyozdobiony herbem rodu srebrny dzbanek z wodą. Nalał trochę do kryształowego kubka i zbliżywszy się do Melindy, chlusnął jej gwałtownie wodą w twarz.

Przez chwilę nie poruszała się, a potem jej powieki zatrzepotały. Jeśli sir Hektor odczuł ulgę, nie pokazał tego po sobie.

- Wstawaj - rzucił szorstko. - Pójdiesz do swojej sypialni i pozostaniesz tam do jutra. Nie dostaniesz jedzenia, a jeśli nie zgodzisz się poślubić pułkownika Gillinghama, kiedy poślę po ciebie, to będę cię bił znowu i znowu, aż do skutku. Trzeba

złamać twoją zuchwałość, dziewczyno. Nie będę tolerował żadnego nieposłuszeństwa w tym domu. Słyszysz? Idź więc do swojego pokoju i nie próbuj się użalać stryjence. Na pewno nie okaże ci współczucia.

Znów podszedł do stolika i odwrócony plecami do Melindy, nalał sobie dużą porcję brandy z miną człowieka, który uważa, że zasłużył na drinka.

Powoli, z na pół zamkniętymi oczami, Melinda z wysiłkiem stanęła na nogi. Po omacku, trzymając się najpierw rogu sofy, potem krzesła, a następnie biurka, dotarła do drzwi. Za nimi, w hallu, poruszała się jak we śnie, jakby wola odmówiła jej posłuszeństwa i tylko instynkt podpowiadał, gdzie ma iść.

Wspinała się po schodach, stopień po stopniu, jak dziecko uczące się chodzić, stawiając najpierw jedną nogę, a następnie dołączając do niej drugą. Wyżej, wyżej, cały czas ze świadomością, że w każdej chwili może ogarnąć ją ciemność i nie będzie mogła iść dalej.

Jednakże siła woli zwyciężyła i chociaż zabrało to Melindzie wiele czasu, dotarła wreszcie do swej małej ponurej sypialni na końcu długiego korytarza, naprzeciw pokoju do nauki. Zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku i osunęła się na podłogę.

Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jak długo tak leżała. Chociaż na pół omdlała, czuła jednak, że strasznie cierpi, nie tylko wskutek bólu, lecz także doznanego upokorzenia. Wokół panowały ciemności i przejmujący chłód.

W końcu podniosła się z podłogi i po omacku zaczęła szukać łóżka. Zanim jeszcze je znalazła, usłyszała pukanie do drzwi.

- Kto... tam? - zapytała drżącym ze strachu głosem.

- To ja, panienko - odpowiedział miły głosik i Melinda rozpoznała Lucy, młodą pokojówkę, która przysłała posłać jej łóżko na noc.

- Wszystko... w porządku... Lucy. Dam... sobie radę... dziękuję ci - zdołała wyjąkać Melinda.

- Dobranoc, panienko.

Usłyszała kroki Lucy oddalającej się korytarzem, po C2ym wreszcie zmusiła się, żeby zapalić świece na toalecie. Spojrzała na swoją twarz w zwierciadle i wydało jej się, że to nie ona, lecz ktoś inny patrzy na nią z lustra.

Widziała bladą, nieprzytomną twarz, oczy pełne bólu i mroku, splątane i potargane włosy wokół policzków. Odwróciła się bokiem do lustra i zobaczyła, że krew z poranionych pleców przesiąkała przez bawełnianą suknię, pozostawiając na niej ciemne wilgotne plamy.

Powoli zaczęła się rozbierać; każdy ruch był męczarnią. Musiała odrywać suknię i bieliznę od pleców, na których krew już zakrzepła i przywarła do tkaniny. Parę razy omal nie zemdląła, wiedziała jednak, że musi się pozbyć zakrwawionej odzieży.

W końcu uwolniła się od niej i otulając się starym flanelowym szlafrokiem, usiadła przy toalecie, z nie widzącymi oczyma utkwionymi w ciemność pokoju. Nie przysłała jeszcze w pełni do siebie i wciąż słyszała słowa stryja; „Nie dostaniesz jedzenia, a jeśli nie zgodzisz się poślubić pułkownika Gillinghama, to będę cię bił znowu i znowu, aż do skutku...”

Uświadomiła sobie teraz, że odkąd przybyła do tego domu, niejednokrotnie już niewiele brakowało, aby stryj ją zbił, tak jak bił swoje psy i konie, jak zbił - o czym szeptano w domu - jednego z chłopców stajennych, którego rodzice zagrozili nawet podaniem sprawy do sądu.

Jej stryj był człowiekiem okrutnym i nic nie umiejącym panować nad sobą, wiedziała jednak, co wzbudziło w nim największą wściekłość - gdyby odrzuciła Gillinghama, to i pułkownik, i znajomi w hrabstwie dowiedzieliby się, że sir Hektor nie jest naprawdę panem we własnym domu. Despota, który w nim tkwił, wymagał posłuszeństwa od każdego, więc i Melinda, podobnie jak każda inna istota, musiała się podporządkować jego rozkazom.

- Nie wyjdę za pułkownika Gillinghama! Nie wyjdę! - szeptała. Potem jej głos się załamał i pojawiły się łzy. Łzy, które zdawały się wypływać z głębi jestestwa, wstrząsając jej wątłym, umęczonym ciałem, aż wreszcie cała zaczęła dygotać.

- Ach, tato! Mamusiu! Jak mogliście pozwolić, żeby to... to mnie spotkało? - szlochała. - Byliśmy tak szczęśliwi; życie było t... takie cudowne, dopóki... nie... u... umarliście. Nie chcielibyście, że... żebym... to zno... znosiła.

Łzy oślepiały ją, dławili jej głos, lecz mimo to mruzczała ciągle, jak dziecko, które się zgubiło:

- Tatusiu!... Mamusiu! Potrzebuję... was. Gdzie... jesteście?

I jak gdyby rodzice rzeczywiście odpowiedzieli na jej wołanie, Melinda znalazła nagle rozwiązanie swego problemu. Pojawiło się jak błysk światła - jasne, nieomyślne, zupełnie tak, jakby ktoś przemówił do niej i powiedział, co ma robić. Ani przez chwilę nie zadawała sobie pytania, czy rozwiązanie to jest słuszne, czy niesłuszne; nie zastanawiała się nawet, czy jest ono dobre, czy złe dla niej samej i dla jej przyszłości. Po prostu wiedziała, że ma już odpowiedź. Ojciec i matka nie zawiedli jej.

Otarła łzy, wstała od toalety i zdjawszy z górnej półki szafy małą torbę podróżną, zaczęła ją pakować. Brała tylko rzeczy niezbędne, zdając sobie sprawę, że nawet w dobrych

czasach nie była zbyt silna, a w tej chwili dźwiganie choćby najłżejszego bagażu byłoby dla niej męczarnią.

Na koniec ubrała się, wkładając czystą bieliznę, świeżo wyprane halki i swą niedzielną suknię lawendowego koloru z białym kołnierzykiem i białymi mankietami. Czepek też był dobrany pod kolor, prosty i skromny, gdyż w czasie żałoby stryjenka Małgorzata nie pozwalała na żadne koronki, lecz ozdobiony purpurowymi wstążkami. Miała także barwny, wzorzysty szal z delikatnej wełny, który nosiła jeszcze jej matka; położyła go na torbie podróżnej, aby go narzucić w ostatnim momencie.

Musiała siedzieć przed zwierciadłem dłużej, niż sądziła, gdyż nagle usłyszała, jak zegar dziadka w hallu wybija drugą. Otworzyła sakiewkę. Było w niej tylko kilka szylingów - wszystko, co zaoszczędziła ze skromnego kieszonkowego, jakie stryj przyznał jej na ofiary składane w kościele oraz na inne, bardzo skromne wydatki.

Poruszając się ciągle w zdecydowany sposób, jak gdyby każda czynność była z góry zaplanowana, Melinda wyjęła z szuflady toalety pokryte aksamitem pudełeczko. Otworzyła je; wewnątrz znajdowała się mała, wysadzana brylantami broszka w kształcie półksiężyca - jedyna rzecz, którą pozwolono jej zatrzymać, kiedy sprzedawano dom; wszystkie inne wartościowe przedmioty należące do jej rodziców poszły na spłacenie długów ojca.

Ta mała broszka ocalała, gdyż stanowiła jej osobistą własność - otrzymała ją w spadku po babci. Była to właściwie tylko dziecinna broszka, ale wysadzana pięknymi brylantami, i Melinda wiedziała, że ma pewną wartość.

Trzymając w ręku pudełeczko, ostrożnie, bardzo ostrożnie otworzyła drzwi swej sypialni. Zaczęła skradać się korytarzem, zamierając przy każdym skrzypnięciu podłogi; wstrzymywała wtedy oddech, nasłuchując, czy aby nie pojawi

się ktoś i nie zapyta, co ona tu robi o tej porze. Dom jednak nadal był pogrążony we śnie i tylko tykanie zegara w hallu zakłócało panującą wszędzie ciszę.

Wreszcie dotarła do buduaru stryjenki, położonego bardzo blisko wielkiej sypialni, gdzie spali stryjostwo. Melinda poruszała się jak duch; jej małe stopki zdawały się raczej sunąć, niż stąpać po dywanie. Otworzyła drzwi. Wszystko było pogrążone w ciemności, ale знаła drogę.

Przeszła przez pokój i odsunęła trochę zasłonę, aby wpuścić do środka nieco światła księżyca. Przy oknie stał sekretarzyk ciotki, wykwintny mebel w stylu Ludwika XV. Melinda wiedziała dobrze, gdzie trzymano pieniądze na potrzeby domowe, ponieważ co tydzień pomagała stryjence przy robieniu rachunków, i pamiętała, że nawet wtedy, gdy płacono służbie, zawsze zostawała pewna nadwyżka na drobne wydatki.

Wyciągnęła szufladkę. Tak jak się spodziewała, było w niej dziesięć złotych gwinei. Wzięła je, a na ich miejsce położyła brylantową broszkę, pamiątkę po babci. Doskonale zdawała sobie sprawę, że kiedy stryj dowie się o dokonanej zamianie, ogłosi ją za złodziejkę; była jednak mocno przekonana, iż broszka jest warta więcej niż dziesięć gwinei i gdyby stryjenka Małgorzata chciała ją sprzedać, z pewnością by na tym nie straciła.

Melinda zaciągnęła zasłonę i po omacku odszukała drzwi buduaru. Zamknęła je za sobą i wróciła do swego pokoju. Idąc czuła, że drętwieją jej plecy, lecz nie był to czas na roztkliwianie się nad swymi bólami i dolegliwościami. Jeśli ucieczka ma się udać, musi wyruszyć natychmiast.

Włożyła gwinee do sakiewki, po czym rozejrzała się po pokoju i zdmuchnęła świece. W ciemności zamknęła oczy.

- Ach, tatusiu, mamusiu! - szeptała. - Pomóżcie mi! Pomóżcie, bo lękam się uciec, ale znacznie bardziej boję się zostać! Pomóżcie mi, bo robię jedyną rzecz, jaką mogę zrobić.

Skończyła szeptać i czekała, jak gdyby spodziewała się odpowiedzi, lecz słyszała tylko tykanie zegara na półce nad kominkiem, które przypominało jej, że czas ucieka. Wzięła torbę podróżną i bardzo ostrożnie zeszła kuchennymi schodami do bocznego wejścia.

Rozdział 2

Księżyc, pojawiający się w nieregularnych odstępach czasu między gnanymi wiatrem chmurami, oświetlał Melinę, która szła cienistą aleją dojazdową do bramy z kutego żelaza prowadzącej na gościniec. Duże wrota były zamknięte, lecz na szczęście boczna furтка przy jednej ze stróżówek pozostała otwarta i dziewczyna przemknęła przez nią na palcach, w obawie przed stróżem, który niewątpliwie zdziwiłby się, widząc kogoś wychodzącego o tak wczesnej porze.

Wyszła na kręty, pokryty kurzem gościniec. Początkowo utrzymywała szybkie tempo marszu, lecz wkrótce zaczęła coraz dotkliwiej odczuwać ból poranionych pleców, a torba, do której włożyła tak niewiele rzeczy, z każdym krokiem wydawała się cięższa. Przekładała ją z jednej ręki do drugiej, zastanawiając się, czy nie ma w niej czegoś niepotrzebnego, co mogłaby wyrzucić; wiedziała jednak dobrze, że winien temu nie tyle ciężar bagażu, ile jej wyczerpanie fizyczne i psychiczne wskutek pobicia przez stryja.

Szła teraz wolniej i wkrótce blada jasność na horyzoncie uświadomiła jej, że zbliża się świt. Melinda z przerażeniem stwierdziła, że jest jeszcze zbyt blisko domu stryja; gdyby ktoś chciał ją odnaleźć, nie musiałby długo szukać.

Starła się nie myśleć o tym, co byłoby, gdyby została schwytana, ale nie mogła odpędzić natrętnych obrazów. Niemal widziała rozjuszoną purpurową twarz stryja, słyszała jego ryk wściekłości, gdy znowu sięgnie po swą szpicrutę.

Wiedziała, iż nigdy by jej nie przebaczył, że próbowała wyrwać się z jego szponów.

Pamiętała, jak zbił psa, który zagubił się gdzieś na polowaniu.

- Ach, Boże! - wyszeptała - Nie wytrzymam jeszcze jednej chłosty.

Wiedziała aż nazbyt dobrze, co by się z nią stało, gdyby wróciła. Po prostu z powodu swej słabości fizycznej musiałaby się w końcu podporządkować woli stryja i zgodzić na poślubienie pułkownika Gillinghama. Na samą myśl o tym wstrząsnęły ją dreszcze

Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego tak go nie cierpi, ale myśl o jego dotknięciu nappełniała ją wstrętem podobnym do mdłości. Dziwiła się teraz, że dawno już nie odgadła, iż zainteresowanie pułkownika jej osobą nie było tylko przelotne. Uprzytomniła sobie, że rozmyślnie wciągał ją w rozmowę za każdym razem, ilekroć był u stryjostwa na lunchu. Wymieniali tylko kilka banalnych słów, lecz zawsze czuła się onieśmielona i zakłopotana jego wyrazem twarzy i spojrzeniem.

Nie przyznawała się wtedy nawet przed samą sobą, dlaczego szukała wymówek, aby uciec od jego towarzystwa, zmyślając, że stryjenka potrzebuje jej pomocy, lub udając, że zapomniała czegoś w innym pokoju. Wiedziała tylko, że żywi wobec pułkownika takie same uczucia jak wobec węży i że pomysł małżeństwa z nim jest zbyt okropny, aby brać go pod uwagę.

Myśli te dodały Melindzie sił. Przez kilka minut szła tak szybko, że prawie biegła. Wkrótce jednak zwolniła kroku, gdyż wskutek wysiłku poczuła się słabo. Było już prawie jasno; delikatne złote palce słońca usuwały cienie nocy. Droga była pusta. Wiedziała, że wkrótce ujrzy pierwsze chaty wioski, spodziewała się, że będzie tam mogła wsiąść w dyliżans lub wynająć jakiś powóz, którym dojechałaby do Leminster.

Leminster leżało w odległości pięciu mil; stamtąd mogłaby już pociągiem dostać się do Londynu. Miała to wszystko dokładnie zaplanowane. Dyliżanse kursowały regularnie i były tańsze, lecz zbyt łatwo mógł je dogonić szybszy powóz lub jeździec na koniu.

Melinda przypuszczała, że stryj pomyśli, iż zdecydowała się na podróż dyliżansem, on sam bowiem nie był zwolennikiem kolei.

„Nowomodne bzdury!” - mawiał często. - „Te dymiące kociołki nigdy nie zastąpią koni”.

Temat ten niejednokrotnie pobudzał go do gwałtownych wypowiedzi. Twierdził, że nic nie skłoni go do wydawania pieniędzy w równie absurdalny sposób, że on i jego rodzina nadal będą podróżować tak, jak przystało damom i dżentelmenom: kareta zaprzężoną we własne konie, którymi powozi własny stangret.

Przyznawał jednak, że obejrzenie takiego pociągu mogłoby być interesujące; kiedy więc otwierano stację kolejową w Leminster, jako namiestnik hrabstwa zgodził się dokonać uroczystego aktu przecięcia wstęgi. W dowód wielkiej łaski Melindzie pozwolono wziąć udział w tej imprezie.

Wraz z Karoliną oglądały luksusowe wagony z wyściełanymi siedzeniami i oszklonymi oknami. Patrzyły z konsternacją na twarde drewniane ławki w otwartych wagonach, którymi podróżowali ubożsi pasażerowie - z wagonów tych wychodzili pokryci sadzą i pyłem węglowym. Mimo to opłata za tak niewygodną jazdę była wysoka. Pociągami jednak podróżowało się znacznie szybciej niż końmi. Melinda doszła do wniosku, że tylko to liczy się w tej szczególnej sytuacji.

Trudność polegała na tym, jak dostać się do Leminster. Prawie żałowała teraz, że odrzuciła swój pierwszy pomysł - aby pojechać tam na Błysku. Wiedziała jednak, że gdyby nie wróciła po upływie paru godzin, stajenni - z obawy przed sir Hektorem - zameldowaliby o jej nieobecności. Poza tym uznaliby za dziwne, gdyby jechała sama, stryj bowiem nalegał stanowczo, aby zawsze towarzyszył jej chłopiec stajenny.

Teraz jednak zaczęła się zastanawiać, czy będzie miała dość sił, aby dotrzeć choćby do wioski Oakle, nie mówiąc już o tym, że powinna pojawić się w Leminster w stanie pozwalającym jej wsiąść do pociągu. Poczowała się tak słabo, iż musiała pozwolić sobie na chwilę odpoczynku. Usiadła na skraju gościńca na małej kępcie trawy; wyciągnęła nogi i stwierdziła z przykrością, że buciki pokrywa gruba warstwa kurzu. Rąbek sukni przedstawiał się nie lepiej i Melinda pomyślała, że jeśli będzie musiała iść jeszcze długo, to kiedy dotrze wreszcie do Londynu, będzie wyglądać jak włóczęga.

Wytarła twarz malutką chusteczką z białego batystu, którą sama obrąbiła i na której wyszyła swe inicjały, chociaż tak wykwinny drobiazg nie pasował bynajmniej do jej obecnej sytuacji. Zarówno stryjenka, jak i Karolina wymagały, żeby haftowała dla nich tuziny chusteczek, na których ich inicjały były wplecione w niezwykle skomplikowany wzór. Melinda lubiła haftować, lecz miała też wiele innych rzeczy do zrobienia, a jeśli nie ukończyła swych prac na czas, obie kuzynki zawsze starały się nie dopuścić do tego, żeby mogła pojeździć na Błysku lub choćby go odwiedzić.

Być może dlatego, że myślała o swoim koniu, nie słyszała z początku kłaskania kopyt końskich, kiedy jednak dźwięk ten dotarł do jej świadomości, zerwała się na równe nogi w nagłym popłochu. Szybki rzut oka upewnił ją, że bynajmniej nie musi obawiać się chłopskiej furmanki nadjeżdżającej gościńcem. Co więcej, po chwili poznała ją: należała do farmera Jenkinsa, dzierżawcy jednego z gospodarstw stanowiących własność jej stryja. Gdy furmanka zbliżyła się, Melinda spostrzegła, że lejce trzymał nie Jenkins, lecz jego syn Jim, rudy chłopak o zuchwałym uśmiechu, którego często spotykała podczas swych przejażdżek na Błysku.

Odruchowo podniosła rękę, a on zatrzymał swego wielkiego pociągowego konia tuż przy niej.

- Dzień dobry, panienko Melindo - powiedział z wyraźnym wiejskim akcentem. - Wcześniej dziś panienka wstała.

- Dzień dobry, Jimie. Dokąd jedziesz? - zapytała Melinda zdyszczonym z przejęcia głosem.

- Dziś wtorek, panienko, to i jadę na targ w Leminster.

Melinda westchnęła z ulgą.

- Proszę cię, Jimie, zabierz mnie ze sobą! Ale byłam niemądra, że nie pomyślałam o tym wcześniej!

- O czym, panienko? To by i miło było jechać z wami, ale tu nie ma miejsca dla damy.

Melinda nie traciła czasu na wyjaśnienia. Z poczuciem ulgi chwyciła swój bagaż i postawiła stopę na kole, wspinając się na wysoki kozioł obok Jima. Ławeczka z nie heblowanej deski z pewnością nie była wygodna, lecz dziewczyna uznała, że wszystko lepsze niż wędrowanie pieszo.

- Dziękuję ci, Jimie! - powiedziała z taką wdzięcznością w głosie, że chłopak spojrzał na nią zdziwiony.

- Mnie to nic nie szkodzi, panienko, ale co powie pan dziedzic, jak się dowie, co jechaliście czymś takim?

- Mam nadzieję, że nigdy się nie dowie - odpowiedziała Melinda. - Ach, Jimie, nie mogę wyjaśnić, dlaczego, ale jedźmy szybko do Leminster. Nigdy nie sądziłam, że o tak wczesnej porze ktoś może być na gościńcu.

- Na targu trza być, kiedy się zaczyna. Wtedy się dostaje lepsze ceny - wyjaśnił Jim.

Melinda obejrzała się i zobaczyła, że wóz był załadowany kurami w drewnianych klatkach, koszami pełnymi jajek i dużymi osełkami domowego masła, owiniętymi w lniane ściereczki.

- Która to może być godzina? - zapytała. - Czy dużo ludzi w Oakle będzie już na nogach?

- Nie, niedużo - odparł Jim. - Te z Oakle to leniuchy.

- Nie chcę, żeby mnie widziano, Jimie. I nie chciałabym, żebyś popadł w tarapaty dlatego, że mnie podwiozłeś.

- To znaczy dziedzic nie wie, co jedziecie do Leminster? - zapytał.

Melinda wahała się przez chwilę, po czym powiedziała szczerze:

- Nie, Jimie, nie wie.

- Myślicie, co dziedzic będzie zły, jak się dowie? - nalegał Jim.

- Obawiam się, że tak - odpowiedziała. - Ale nie chcę, żeby był zły na ciebie.

- Ja mu nie powiem - stwierdził zdecydowanie Jim. - A i myślę, co niewiele jest tu ludzi, co by chcieli powiedzieć dziedzicowi coś, co go rozzłości.

- Tak, chyba tak - zgodziła się Melinda. - Zapewne nikt nie zobaczy mnie z tobą, a jeśli nawet, to nie odważy się o tym donieść.

Była to dość złudna nadzieja, ale Melinda uchwyciła się jej. Ponadto, mówiła sobie, jeśli nawet ktoś zobaczy kobietę siedzącą na furmance obok Jima Jenkinsa, to z pewnością nie będzie podejrzewał, że jest to jedna z młodych dam mieszkających we dworze.

Gdy przejeżdżali przez Oakle, trzymała głowę pochyloną, w nadziei, że skrzydełka czepka zakryją jej twarz. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie wsi, wydała westchnienie ulgi.

- W porządku! - rzekł Jim. - Mówiłem wam, co oni są leniuchy, te w Oakle.

Nie było jeszcze piątej, gdy dojechali do Leminster. Jim chciał podwieźć ją na stację, lecz Melinda odmówiła. Wiedziała, że dworzec znajduje się niedaleko placu targowego, a poza tym wyobrażała sobie, iż mniej będzie rzucać się w oczy, jeśli ostatni odcinek drogi przebędzie sama.

- Dziękuję ci, Jimie! - powiedziała, wyciągając do niego rękę, - Jestem ci bardzo, ale to bardzo wdzięczna za pomoc. Mam ogromną nadzieję, że nikt nie powiąże twojej osoby z moim zniknięciem.

- Chyba nie zrobią tego, panienko! - odpowiedział Jim. - Życzę wam szczęścia! - Uścisnął serdecznie jej dłoń, obdarzył nieco zuchwałym uśmiechem od ucha do ucha i poszedł na tył wozu przynieść worek z obrokiem dla konia.

Melinda oddalała się powoli, czując, że pozostawia za sobą swego ostatniego przyjaciela. To był typowy przejaw dobrych obyczajów mieszkańców wsi, pomyślała, że Jim nie wypytywał jej o nic, lecz po prostu zaakceptował dziwną dlań sytuację. Większą część drogi przebyli w milczeniu, dzięki czemu mogła przygotować plan działania na najbliższą przyszłość.

Doszła do dworca, gdzie dowiedziała się, że nocny ekspres z północy kraju zatrzyma się w Leminster o szóstej. Podeszła do kasy i zapytała o cenę biletu do Londynu. Przeraziła ją różnica między kosztami przejazdu w otwartym wagonie i w komfortowym przedziale. Przez chwilę wahała się, lecz doszła do wniosku, że byłoby fałszywą oszczędnością, gdyby przyjechała do Londynu umorusana i zmęczona, a jej jedyna przyzwoita suknia pobrudziła się tak, że przypuszczalnie nie udałoby się jej oczyścić. Jeśli ma znaleźć pracę, musi wyglądać na osobę godną szacunku - dlatego też, choć niechętnie, wydała w kasie cztery ze swych cennych złotych gwinei, otrzymując w zamian, oprócz ręcznie wypisanego biletu, tylko kilka szylingów reszty.

Mając prawie godzinę wolnego czasu, poszła najpierw do poczekalni dla pań, żeby doprowadzić się do porządku. Potem, ponieważ dokuczał jej głód, udała się na poszukiwanie czegoś do jedzenia. W pobliżu dworca zauważyła piekarnię, skąd dochodził smakowity zapach świeżo upieczonego chleba.

Kupiła sobie, po pensie sztuka, dwie duże, pachnące słodkie bułki, posypane rodzynkami, wzięła je do poczekalni dla pań i tam pochłonęła łączywie. Niezbyt pożywny posiłek, pomyślała i zaczęła się zastanawiać, gdzie będzie jadła następny.

Przez cały czas dręczyły ją obawy: może pociąg nie przyjedzie, bo zepsuł się gdzieś na trasie, może ktoś, kto zna jej stryja, rozpozna ją i przeszkodzi w dalszej podróży? Zauważyła, że kasjer spojrział na nią zdziwiony, gdy poprosiła o jeden tylko bilet. Jej kulturalny sposób mówienia, jej ubiór, chociaż nieco sfatygowany, świadczyły, że jest damą, a damy nie podróżują pociągiem same.

Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi poczekalni, Melinda spoglądała na nie z lękiem, ale nie pojawił się w nich nikt groźniejszy od dwu młodych i silnych dziewczyn wiejskich, które - jak wywnioskowała z ich rozmowy - podróżowały do najbliższej stacji bardziej dla zabawy niż z jakiegokolwiek konkretnego powodu.

Gdy jednak w końcu - z ogromnym hałasem, gwizdząc, sycząc parą i wyrzucając kłęby dymu - pociąg wtoczył się powoli na stację, nagle, nie wiadomo skąd, pojawiło się mnóstwo ludzi. Byli to bagażowi, pasażerowie i urzędnicy kolejowi, a także spora liczba mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy nawet o tak wczesnej godzinie przyszli popatrzeć na niezwykle wynalazek nowej epoki: pociąg kolei żelaznej.

Kiedy wagony zatrzymały się, wszystkich ogarnęło coś w rodzaju histerycznego podniecenia. Bagażowi wykrzykiwali, pasażerowie przepychali się i potracali nawzajem, chociaż czasu było dosyć. Melinda, popchnięta przez kogoś, znalazła się prawie wbrew swej woli tuż przy stopniach wagonu; ktoś pomógł jej wejść do środka. Pięć innych osób wdrapało się za nią i zatrzaśnięto drzwi.

Melinda zajęła miejsce przy oknie w głębi przedziału. Naprzeciw niej siedział starszy dżentelmen owinięty grubą tweedową peleryną, najwyraźniej obawiający się zaziębienia mimo letniej pory. Żona owego dżentelmena miała twarz osłoniętą woalką; jej pelerynka była obficie przyozdobiona dżetami, które pobrzękiwały także na czepku.

Pozostałymi pasażerami byli mężczyźni. Melinda oceniła, że reprezentują typ biznesmena, chociaż niewiele wiedziała o ludziach tego pokroju. Jej przypuszczenia potwierdziły się, gdy zaczęli rozmawiać między sobą o transakcjach i klientach. Jeden z nich pokazywał nawet próbki materiałów wełnianych, które - jak oznajmił dumnie - sprawiają, iż kupcom w Londynie „oczy wyjdą na wierzch”.

Zamieszanie na peronie zdawało się jeszcze wzrastać, aż wreszcie - wśród wielkich chmur dymu kłębiących się za oknem, ostrych gwizdów przeszywających powietrze, pożegnalnych okrzyków i machania rękami - pociąg powoli ruszył. Melinda wstrzymała oddech. A więc jednak udało się! Pociąg szybszy od wszystkich koni stryja wiezie ją do Londynu. Uciekła, a pułkownik Gillingham został daleko!

Odczuła taką ulgę, że przez moment chciało jej się płakać. Duma jednak nakazywała powstrzymać łzy, chociaż przez dłuższy jeszcze czas widziała wszystko za oknem jak przez mgłę. Ogarnęło ją dziwne uczucie. Kołysanie się wagonu, stukot kół po żelaznych szynach, obłoki dymu przepływające za szybami - to były wrażenia, jakich nie zaznała nigdy przedtem; wydawało jej się, że wszystko jest tak niezwykle, jak niezwykle będzie jej życie od tej chwili.

Zamknawszy oczy starała się skupić na tym, co będzie musiała zrobić, kiedy dojedzie do Londynu. Obliczyła, że powinna przybyć tam koło godziny pierwszej. Miałyby wtedy całe popołudnie, żeby znaleźć jakiś przyzwoity dach nad głową i dowiedzieć się, gdzie mieści się agencja zwana

Biurem Pani Brewer, od której zamierzała rozpocząć poszukiwanie pracy.

Nie znalazła tego nazwiska, gdyby nie to, że pisała dla swej stryjenki listy do pani Brewer, gdy lady Stanyon poszukiwała nowej gospodyni do zarządzania domem. Na papierze firmowym, używanym przez panią Brewer do korespondencji, podana była informacja, że jej Biuro dostarcza wszelkiego rodzaju personelu, jaki potrzebny jest w domach szlachty i ziemiaństwa, a na żądanie może także ; przysłać guwernantkę lub panią do towarzystwa, zadowolające się umiarkowanym wynagrodzeniem.

Melinda żałowała, że opuszczając w pośpiechu dwór, nie miała czasu na poszukanie londyńskiego adresu Biura Pani Brewer, była jednak pewna, że ktoś potrafi jej wskazać, gdzie się ono znajduje. Dobrze przy tym wiedziała, że jeśli nawet odnajdzie Biuro, to ze względu na brak referencji trudno jej będzie dostać posadę. Pomyślała, że najlepiej byłoby powiedzieć szczerze, iż jest krewną lady Stanyon, w nadziei, że pani Brewer nie zechce napisać do ciotki, aby zasięgnąć szczegółowych informacji.

Zaczynała rozumieć, że ma przed sobą znacznie więcej trudności, niż początkowo przewidywała. Uciekła bez zastanowienia, gdyż była przerażona, a wierzyła - chyba nazbyt optymistycznie - że potrafi znaleźć pracę i nie będzie musiała pod groźbą śmierci głodowej powrócić do domu stryja.

Muszę być praktyczna, muszę być rozsądna, myślała. Muszę się przygotować na to, że nie będzie łatwo.

Żałowała, że nie wzięła miejsca w odkrytym wagonie i nie zostawiła sobie więcej pieniędzy. Sześć gwinei, które jej jeszcze zostały, wydawało się fortuną komuś, kto nigdy przedtem nie miał w portmonetce więcej niż kilka szylingów. Teraz wiedziała, że nie na długo wystarczą.

Muszę się strzec złodziei kieszonkowych, pomyślała, i tych, co zakradają się do mieszkań.

Było tyle rzeczy, o których musiała pamiętać; przez chwilę czuła, że ogarnia ją coś zbliżonego do panicznego lęku. Wtedy powiedziała sobie, że wszystko będzie dobrze, że Bóg ją ochroni. Próbowała się modlić, ale chyba zdrzemnęła się na kilka minut, kiedy bowiem otworzyła oczy, zobaczyła, że wszyscy pasażerowie wydobyli już swoje śniadania.

Dżentelmen w pelerynie i jego żona mieli ogromny kosz piknikowy, biznesmeni zaś - jeśli byli nimi rzeczywiście - zapakowane w papier kanapki. Melinda, która poczuła silny głód, żałowała teraz, że nie kupiła więcej słodkich bułek po pensie sztuka. Wydawało jej się, że minęło bardzo dużo czasu od chwili, gdy zjadła ostatni posiłek.

Starszy dżentelmen siedzący naprzeciw niej ogryzał skrzydełko kurczaka. Potem razem z żoną jedli truskawki, posypując je cukrem z naczynia opatrzonego srebrną dziurkowaną pokrywką i dodając śmietanki z małego srebrnego dzbanuszka. Melinda patrzyła na nich jak urzeczona. Przypomniła sobie, że poprzedniego wieczoru nie jadła kolacji, a przy lunchu nie miała apetytu. Dokuczały jej plecy i zastanawiała się, czy nie bolą jej bardziej dlatego, że jest głodna.

Zamknęła na chwilę oczy, żeby nie patrzeć na ludzi siedzących naprzeciwko, którzy jedli i jedli.

- Nie jestem naprawdę głodna - powiedziała rozdrażnionym głosem dama w woalce. - To kołysanie wagonu wywołuje we mnie mdłości.

- Chciałabyś trochę brandy, moja droga? - zapytał ją małżonek.

- Nie, brandy nie! - Dama zaprotestowała tak gwałtownie, jakby zaproponowano jej arszenik. - Ale może szklaneczkę szampana.

- Tak, tak, oczywiście - zgodził się starszy pan. Wyjął napoczętą butelkę szampana z piknikowego kosza, który postawił na podłodze u stóp Melindy. Mogła wdychać zapach pieczonego kurczaka i truskawek, a głód podobny do bólu szarpał jej wnętrzności.

Starszy dżentelmen nalał szampana żonie i sobie, po czym zapytał swą małżonkę szeptem dla Melindy całkiem dobrze słyszalnym:

- Skoro zostało nam tyle, moja droga, nie sądzisz, że powinniśmy zaproponować coś tej młodej pani naprzeciwno? Wydaje się, że nie ma ze sobą nic do jedzenia.

- Nie, nie, na pewno nie! - odparła małżonka. - Kobieta podróżująca samotnie! Nie wiadomo, kim może być! Wykluczone, żebyś się do niej odzywał!

Melinda zamknęła oczy. Oto przykład tego, z czym miała się zetknąć w przyszłości. Samotna kobieta wzbudza podejrzenia, a zatem trzeba ją ignorować lub unikać jej. Poczła wdzięczność, kiedy kosz piknikowy został schowany pod siedzeniem.

- Za godzinę dojedziemy - usłyszała słowa jednego z biznesmenów; postanowiła, że zanim zrobi cokolwiek innego, musi zdobyć coś do jedzenia.

Pociąg zwolnił biegu, więc Melinda wyglądała ciekawie przez okno. Nagle zatrzymał się.

- Dlaczego stanęliśmy tutaj? - zapytał jeden z mężczyzn.

Jego przyjaciel otworzył okno i wysunął głowę na zewnątrz.

- Nic nie widzę - stwierdził. Następnie innym już tonem zawołał: - Hej panie konduktorze! Halo! Co się stało?

- Nie wiem, sir - padła odpowiedź. - Przypuszczam, że coś jest na torze.

Rzeczywiście, na torze było coś, czego usunięcie zajęło prawie pięć godzin. Pasażerowie z pewnym trudem schodzili z

wysokich stopni wagonów i szli wzdłuż szyn, by popatrzeć na stos kamieni i piasku na środku toru - efekt osunięcia się zbocza. Kolarze zapewniali, że wezwano już ludzi, którzy usuną przeszkodę. Pociąg winien ruszyć w dalszą drogę za godzinę... za dwie godziny... za trzy godziny!

W końcu, po upływie niemal pięciu godzin, rzeczywiście ruszył. Nie było już nic do roboty prócz błędzenia wzrokiem po lasach i polach po obu stronach toru. Melinda odczuwała coraz silniejszy głód. Wreszcie zwróciła się do konduktora.

- Zastanawiam się, czy mogłabym tu gdzieś dostać coś do jedzenia - powiedziała. - Niestety, wyjeżdżałam w pośpiechu i nic nie wzięłam ze sobą.

- Wszyscy rozsądni pasażerowie biorą na drogę jedzenie - rzekł. - Nigdy nie wiadomo, czy nie przytrafi się coś takiego jak dziś, panienko.

- Zdaję sobie z tego sprawę - stwierdziła z uśmiechem Melinda - ale jest już za późno, żeby to naprawić, a ja jestem bardzo głodna.

Spojrzał na nią i wydawało się, że jego zarozumiała, wyrażająca przekonanie o własnej ważności twarz złagodniała.

- Zobaczą, co mógłbym dla pani zrobić - powiedział. - Mam córkę w pani wieku.

Zniknął w głębi pociągu i po chwili wrócił z dużym kawałkiem domowego pasztetu w cieście i kromką chleba, na której leżał plaster sera.

- W jednym z przedziałów jedzie wieśniaczka - wyjaśnił. - Mówi, że wzięła pasztet jako prezent dla swej siostry, ale już prawie cała zjedli.

- Jak to uprzejmię z jej strony - rzekła Melinda. - Czy mogłabym jej za to zapłacić?

- Myślę, że poczułaby się urażona, gdyby jej pani coś takiego zaproponowała - wyraził swą opinię konduktor. -

Powiedziałem, że pewna młoda dama jest w potrzebie, a ona okazała się ogromnie chętna do pomocy.

- Czy zechce pan bardzo serdecznie jej podziękować? - zapytała Melinda.

Jak bardzo się różni życzliwość owej wieśniaczki od zachowania starszego małżeństwa w tym przedziale, pomyślała Melinda. Nigdy w życiu posiłek nie smakował jej bardziej.

Pociąg jechał teraz bardzo wolno. Słońce już zachodziło i dzień miał się ku końcowi, gdy w końcu przyjechali na Dworzec Euston w Londynie.

- No, dzięki Bogu, nareszcie dojechaliśmy! - odezwała się dama w woalce. - Najbardziej nieprzyjemna podróż, jaką kiedykolwiek odbyłam. Następnym razem jadę powozem.

- Wiedziałem, że wolałabyś podróżować w ten sposób, moja droga - powiedział łagodnie jej mąż. - Podróże pociągiem nie są dla kobiet.

- Z pewnością nie są - zgodziła się jego żona. - Nie kłopotcz się o kosz piknikowy. Powiemy lokajowi, żeby go zabrał, gdy tylko znajdziemy powóz.

- Ech, bagażowy się tym zajmie - odrzekł mąż. - Uspokój się, Gertrudo. Wiesz przecież, że zawsze denerwujesz się na dworcach kolejowych.

- Naprawdę ostatni raz podróżowałam pociągiem - zdecydowanie oznajmiła dama.

- Poprzednim razem mówiłaś to samo - przypomniał jej mąż. - Ale zgadzam się z tobą. Wrócimy do staromodnego dyliżansu lub, jeszcze lepiej, będziemy podróżować krótkimi etapami naszą kareta.

- Moim zdaniem, koleje wkrótce przestaną istnieć - powiedziała oskarżycielskim tonem dama. - Ludzie po prostu nie będą chcieli znosić takiej niewygody.

Melinda prawie nie zwracała uwagi na ich rozmowę; była pochłonięta wyglądaniem przez okno. Wydawało się jej, że na dworcu kłębi się niezliczony tłum ludzi. Po raz pierwszy odczuła prawdziwy lęk. Było już późno. Na nic by się nie zdało iść o tej porze do Biura Pani Brewer.

Zastanawiała się, czy zapytać siedzące naprzeciw małżeństwo o jakiś przyzwoity pensjonat. Usiłowała zebrać całą odwagę i wreszcie, gdy otworzono drzwi i biznesmeni zaczęli wychodzić, odezwała się cichym, wylęknionym głosem:

- Chcia... chciałabym... jeśli państwo mogą... p... powiedzieć mi...

Dama w woalce zmiażdżyła ją wzrokiem.

- Nie! - stwierdziła wrogo. - Nie możemy pani niczego powiedzieć - i majestatycznym krokiem wyszła z przedziału, a w ślad za nią jej małżonek.

Melinda wysiadła jako ostatnia. Powietrze przenikał przykry zapach dymu, a hałas, jaki czyniła lokomotywa, i krzyki bagażowych wydały się jej wprost ogłuszające.

- Bagaż! Bagaż! Odnieść bagaż, panienko?

- N... nie, dziękuję - odpowiedziała Melinda, ściskając kurczowo swą torbę i podążając za innymi pasażerami.

Wydawało jej się, że wszyscy idą bardzo szybko. Ona sama szła po peronie dużo wolniej.

- Bilet, panienko?

Musiała postawić torbę i otworzyć sakiewkę, żeby wyjąć z niej bilet. Podając go bileterowi, zauważyła, że oprócz niej nie ma na peronie już prawie nikogo. Przed dworcem ludzie spieszyli ku długiemu rzędowi dorożek. Melinda stanęła, rozglądając się dookoła. Z pewnością znajdzie się ktoś, kogo mogłaby poprosić o informację. Może jakiś duchowny?

I tej właśnie chwili usłyszała uprzejme słowa, wypowiedziane tuż obok spokojnym, bardzo dystyngowanym tonem:

- Wyglądasz na trochę zagubioną. Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

Odwróciła się. Jakaś dama, ubrana gustownie, lecz skromnie, patrzyła na nią z życzliwym wyrazem twarzy. Miała około pięćdziesięciu lat.

- Nie... niestety jestem... od niedawna w Londynie - powiedziała Melinda tonem niemal przepraszającym. - Właśnie... zastanawiałam się, czy znajdę... kogoś, kto poradziłby mi... gdzie mogłabym znaleźć jakiś pokój na tę noc.

- Czy nie masz żadnych przyjaciół ani krewnych? - zapytała nieznajoma łagodnym, współczującym głosem, który jakoś podnosił Melindę na duchu.

- Niestety, nie mam - powiedziała. - Przy... przyjechałam do Londynu, żeby... znaleźć pracę. Pociąg spóźnił się i dzisiaj nie mogę już pójść do biura zatrudnienia.

- Nie, oczywiście to niemożliwe - zgodziła się starsza dama. - A więc szukasz pokoju?

Melinda skinęła potakująco głową.

- Tylko na jedną noc, może na dwie - wyjaśniła. - Dopóki nie uda mi się znaleźć jakiejś pracy.

Nastąpiła chwila milczenia. Zaniepokojona Melinda zapytała z desperacją:

- Przypuszczam, że pani nie wie o... o czymś takim?

- Właśnie myślałam o tym, że muszę ci pomóc - odpowiedziała dama. - To musi być dla ciebie okropne - tak przyjechać i nie wiedzieć, dokąd pójść. Przed dworcem czeka mój powóz. Jeżeli zechcesz pojechać ze mną, zawiozę cię tam, gdzie będziesz mogła przenocować.

- To bardzo uprzejmie z pani strony - powiedziała Melinda z wdzięcznością. - Ale czy nie sprawię kłopotu? Myślę, że... chyba pani oczekuje kogoś.

- Opowiem ci o tym w powozie - odrzekła dama. - Czy masz jakiś bagaż?

- Tylko to - odpowiedziała Melinda.

- A więc chodź, moja droga. Musimy przejść zaledwie mały kawałek drogi.

Powóz był bardzo elegancki, stangret miał kapelusz z kokardą, a konia Melinda na pierwszy rzut oka oceniła jako dobrze odżywionego i utrzymanego. Dama gestem zaprosiła ją do zajęcia miejsca, po czym usiadła obok.

- Czy na pewno nie czeka pani na nikogo? - zapytała Melinda.

Dama westchnęła cicho.

- Przychodzę tu bardzo często - powiedziała. - Widzisz, moja córka, która jest mniej więcej w twoim wieku, jechała do Londynu z północy kraju. Przyszłam na dworzec ją powitać, lecz ona nie przybyła. Co więcej, nikt o niej odtąd nie słyszał.

- Jakie to straszne! - wykrzyknęła Melinda.

- Nigdy nie dowiedziałam się, co się z nią stało - ciągnęła dama smutnym głosem. - Dlatego przychodzę na dworzec, nieustannie żywiąc nadzieję, że pewnego dnia moja córka powróci i spotkam ją tutaj.

- Tak bardzo mi pani żal - powiedziała Melinda. Była pełna współczucia dla nieszczęśliwej matki, w głębi ducha jednak pomyślała, że nieszczęście osłabiło trochę jej umysł.

- Czasami mogę pomóc młodym dziewczynom, takim jak ty - kontynuowała dama. - I pomagając im, czuję się nieco szczęśliwsza. Czy to rozumiesz?

- Oczywiście, rozumiem - zapewniła Melinda. - I bardzo pani dziękuję. Przykro mi, że nie jestem pani córką.

- To bardzo miłe, co powiedziałaś - rzekła dama. - Ale już dość o moich kłopotach. Opowiedz mi o sobie. Czy twoi rodzice mieszkają na wsi?

- Nie mam rodziców - poinformowała Melinda. - Mój ojciec i matka zginęli w wypadku drogowym.

- To dlatego przyjechałaś do Londynu? - zapytała dama.

Przez chwilę Melinda zawahała się, lecz pomyślała, że wspomnianie o stryju, nawet nowej przyjaciółce, mogłoby być niebezpieczne.

- Tak, właśnie dlatego - potwierdziła. - Nie mam pieniędzy, muszę więc pracować. Może zna pani adres Biura Pani Brewer?

- Pomyślimy o tym jutro - odparła dama. - Ile masz lat?

- Osiemnaście - powiedziała Melinda - i jestem pewna, że potrafiłabym uczyć dzieci. Nie tylko przedmiotów podstawowych, ale także malowania, gry na fortepianie, a gdyby te dzieci mieszkały na wsi, to mogłabym je uczyć jazdy konnej.

- Jestem pewna, że coś dla ciebie znajdziemy - stwierdziła dama. - Ale teraz chyba powinniśmy się sobie przedstawić.

- Tak, oczywiście - uśmiechnęła się Melinda. - Nazywam się Melinda Stanyon.

- Jakie ładne imię! - wykrzyknęła dama, - A ja jestem Ella Harcourt. Czyż to nie jest szczęśliwy zbieg okoliczności, że się spotkałyśmy?

- Tak, bardzo szczęśliwy - zgodziła się Melinda. Przez cały czas jechały jasno oświetlonymi ulicami.

Melinda miała wielką ochotę wyglądać przez okno, lecz pomyślała, że byłoby to niegrzeczne, zdołała więc tylko rzucić kilka ukradkowych spojrzeń.

Pani Harcourt zadawała mnóstwo pytań. Melinda nagle poczuła się bardzo zmęczona. To był długi dzień, a ubiegłej

nocy w ogóle nie spała. Uświadomiła sobie, że odpowiada na pytania niemal automatycznie. W końcu powóz zatrzymał się.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła pani Harcourt. - Zauważyłam, że jesteś zmęczona. Zaprowadzę cię zaraz na górę i pójdziesz spać, a jutro pomówimy o wszystkim.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Melinda. - I dziękuję pani za jej dobroć. Przykro mi, jeśli wydałam się niemądra. To dlatego, że poczułam się bardzo senna.

- Biedne dziecko! - rzekła łagodnie pani Harcourt. - A więc chodźmy!

Wysiadła z powozu, za nią zaś Melinda. Znajdowały się na spokojnej ulicy, po której obu stronach wznosiły się wspaniałe domy z gankami ozdobionymi kolumnami. Weszły po schodkach, a gdy tylko zbliżyły się do drzwi, te otworzyły się i lokaj w liberii wyprowadził na ganek dżentelmena w przekrzywionym na bok cylindrze, w wieczorowym ubraniu z wysokim białym kołnierzem i żółtym goździkiem w butonierce. Kiedy podnosił do ust dłoń pani Harcourt, z jego prawego oka wypadł monokl.

- Myślałem już, że cię nie spotkam, droga lady - powiedział uprzejmie.

- Nie było mnie w domu, jak wasza lordowska mość widzi - odparła pani Harcourt.

- Jak widzę! - powtórzył dżentelmen powoli i znacząco.

Patrzył na Melinę. Ciągle jeszcze senna, podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Pomyślała, że nigdy nie widziała mężczyzny bardziej podobnego do satyra, mężczyzny o bardziej rozpustnej twarzy. Mogło to być zupełnie niezgodne z rzeczywistością, ale takie właśnie wywarł na niej wrażenie. - Przedstaw mnie!

Słowa te zabrzmiały prawie jak rozkaz, lecz pani Harcourt powiedziała szybko:

- Milordzie, ta młoda pani, którą dopiero co spotkałam na dworcu, jest bardzo zmęczona. Przyjechała do Londynu po raz pierwszy i w tej chwili potrzebuje tylko snu. Mam nadzieję, że wasza lordowska mość nam wybaczy.

- Przedstaw mnie!

Słowa te zostały wypowiedziane powoli, z rozmysłem i władczo; Melindzie zdawało się, że pani Harcourt była trochę wzburzona mówiąc:

- Melindo, to jest lord Wrotham, mój... stary przyjaciel. Panna Melinda Stanyon.

Lord Wrotham ujął obie dłonie dziewczyny.

- To twoja pierwsza wizyta w Londynie, moja droga! Musimy więc uczynić ją bardzo przyjemną. Myślę, że ty i ja powinniśmy się często widywać.

Trzymał mocno dłonie Melindy, wpatrując się zuchwale w jej twarz. W świetle padającym z hallu widziała cienie pod jego oczami i grube wargi. Próbowwała uwolnić swoje ręce z uścisku.

- Dziękuję panu - szepnęła - ale...

- Jak już powiedziałam, Melinda jest zmęczona, milordzie - stwierdziła pani Harcourt dość ostrym tonem.

- Słyszałem cię, droga lady, słyszałem! - odrzekł lord Wrotham. - Bardzo słodka twarz. Bardzo młoda, nie zepsuta, nietknięta!

Melinda czuła, jak jego oczy biegają po całym jej ciele, i wciąż usiłowała się oddalić.

- Do jutra, moja droga Melindo! - powiedział lord Wrotham i ucałował jej dłonie. W powozie zdjęła rękawiczki, teraz więc czuła na skórze jego wargi, ciepłe i w jakiś sposób zaborcze. To sprawiło, że ogarnął ją niewytłumaczalny lęk. Nagłym ruchem oswobodziła ręce i omijając panią Harcourt, utorowała sobie drogę do sieni,

- Nie masz prawa, milordzie - usłyszała gniewne słowa pani Harcourt. Wydawało jej się także, że lord Wrotham odpowiedział: „Wpadnę jutro. Powiedz Kate, że ona jest moja!” Mówiła sobie jednak, że oczywiście musiała się przesygnąć.

Rozdział 3

Przed jasno oświetlonym budynkiem przy Prince's Street zatrzymał się lekki dwukołowy powozik. Wysiadł z niego wytworny miody dżentelmen z gardenią w butonierce fraka. Rzucił woźnicy pół gwinei, które obdarowany zręcznie pochwycił, i podszedł do wejścia, gdzie po obu stronach stali portierzy we wspaniałych liberiach. Byli to silni, muskularni mężczyźni o minach dość wojowniczych, które obserwatorowi mówiły aż nazbyt wyraźnie, że ich obowiązki nie polegają tylko na otwieraniu drzwiczek pojazdów i przywoływaniu dorożek dla odjeżdżających gości.

Kapitan Gerwazy Vestey skinął głową portierom. Ci zasalutowali, po czym jeden z nich zastukał do zamkniętych drzwi. Uchyliło się małe okienko i dwoje oczu dokładnie obejrzało kapitana. Zaraz potem drzwi się otwarły'.

- Dobry wieczór, panie kapitanie! To prawdziwa przyjemność widzieć pana znowu! - przywitał go z entuzjazmem recepcjonista.

Kapitan nie zadał sobie nawet trudu, żeby mu odpowiedzieć. Przeszedł długi, podobny do tunelu korytarz, a następnie po kilku wysłanych dywanem stopniach wkroczył do dużej, jasno oświetlonej sali zwanej Salonem. Uderzył go gwar głosów, z którego od czasu do czasu wybijał się hałaśliwy, niepohamowany śmiech, co stwarzało wrażenie, że miejsce to charakteryzuje się swoistym rodzajem spontanicznej wesołości.

Przy końcu sali znajdował się bar typu amerykańskiego, gdzie podawano koktajle określane takimi nazwami, jak: „Łaskotacz Dziąseł”, „Otwieracz Oczu” czy „Ożywiacz Zwłok”. Kapitan patrzył jednak tylko na podium w drugim końcu sali, na którym pod aksamitnym baldachimem stał tron. Na tronie tym, otoczona grupą ponętnych młodych kobiet,

siedziała Kate Hamilton, uznawana za królową nocnego życia Londynu.

Była to olbrzymia, odrażająca kobieta; gazowe światło kinkietów otaczających salon iskrzyło się w jej klejnotach, wiszące na ścianach lustra zwielokrotniały jeszcze jej ogromną masę. W Londynie każdy znał Kate: była jedną osobliwością pokazywanym przyjeźdnym z zamorskich krajów.

Idąc przez salę, kapitan Gerwazy Vestey pozdrawiał skinieniem głowy licznych utytułowanych przyjaciół, wśród nich markiza Hartingtona, pomachał ręką kilku członkom parlamentu, a także zauważył, że jak zwykle cała grupa oficerów armii lądowej i marynarki bawi się z niezwykle atrakcyjnymi młodymi kobietami, z których słynął Salon Kate Hamilton.

Kiedy kapitan dotarł do podium, Kate, która rozmawiała huczącym głosem z dość zblazowanym młodym arystokratą, płacącym widocznie za jej szampan, z prawdziwą radością zwróciła się do niego.

- Mówiłam właśnie jego lordowskiej mości - oznajmiła - że już ponad tydzień nie widziałam ani ciebie, ani twojego przyjaciela markiza. Gdzie się ukrywaliście? Bez ciebie to miejsce wydawało się całkiem nudne.

- Mnie też brakowało ciebie, Kate - uśmiechnął się kapitan. - Wyglądasz doskonale. Czy urządzisz nam tej nocy ucztę duchową i pozwolisz, żebyśmy cię zobaczyli w jednej z twoich słynnych póż?

Był to bardzo stary żarcik, który niezmiennie pobudzał Kate do spazmatycznego śmiechu, tak że trzęsa się jak galareta. Niegdyś rozpoczęła swą krótkotrwałą, podobną do błysku meteoru karierę od występowania nago w „plastycznych pozach”, które przed dwudziestu laty stanowiły jedno z najbardziej popularnych w Londynie widowisk.

- Daj spokój - powiedziała prawie nieśmiało. - Wiesz, że jestem za stara na tego rodzaju rzeczy. Ale mam dwie dziewczyny, które właśnie przybyły z Paryża i będą główną atrakcją nadchodzącego tygodnia. Urządzą dla ciebie i twego przyjaciela prywatny pokaz, jeśli to was interesuje.

- Ma się rozumieć, że to nas interesuje! - zawołał kapitan Vestey. - Ale teraz, Kate, chcę pomówić z tobą na osobności. To bardzo pilne.

Kate Hamilton popatrzyła na niego. Przez chwilę wydawało się, że odmówi, lecz zaraz postawiła kieliszek z szampanem i zwróciła się do jednej z młodych dziewczyn, stojącej przy niej niczym dama dworu.

- Hej, Rosie, dopilnuj wszystkiego, dopóki nie wrócę - powiedziała. - Nie pozwól na żadne głupstwa, a gdyby były jakieś kłopoty, przyjdź po mnie.

- Wszystko będzie w porządku, madame - obiecała Rosie, sadowiąc się z wyraźną przyjemnością na aksamitnym tronie, zwolnionym przez Kate.

Dotarcie po wypolerowanej posadzce do drzwi, które prowadziły do prywatnych apartamentów Kate, zajęło trochę czasu. Każdy chciał zamienić z nią parę słów, od lorda Mohuna, znanego awanturnika i pojedynkowicza, do dobrodusznego, lecz niewiarygodnie głupiego Boba Shafta, którego jedynym tytułem do sławy był fakt, że pewnej nocy pomógł markizowi Hastingsowi w wypuszczeniu dwustu szczurów na salę taneczną u Motta.

W końcu Kate dotarła do drzwi, które oddzielały Salon od korytarzy prowadzących do ustronnych pokojów kolacyjnych i jej własnego saloniku. Tylko najbardziej uprzywilejowani znajomi, znakomici goście zza mórz i pewien młody człowiek, który cieszył się szczególną sympatią Kate, byli zapraszani do luksusowego buduaru, udekorowanego aksamitnymi

draperiami i wyposażonego w trzy ogromne, pokryte ałtarem sofy - błękitną, czarną i czerwoną.

- Usiądź, kapitanie - zapraszała Kate. - Rozgość się. Czego się napijesz?

- Dziękuję, napiję się później - odpowiedział. - Potrzebuję twojej pomocy, Kate, lecz obawiam się, że ktoś wpadnie i przeszkodzi nam.

- Bądź spokojny - zapewniła go. - W moim Salonie przyjmuję tylko ludzi z najwyższych sfer. Inaczej niż w tych wszystkich plugawych lokalach, które powstają wszędzie i usiłują rywalizować ze mną. Każdemu, kto mi o nich wspomina, mówię, że nie pójdzie im łatwo.

- Nie przejmuj się nimi, to im się nie uda - uspokoił ją kapitan Vestey. - Jest tylko jedna Kate i tylko jedno miejsce, które każdy z nas naprawdę lubi odwiedzać, nie dla śmiechu czy burd.

- To prawda - powiedziała jakby z ulgą. - Wiesz o tym, że nie pozwałam na żadne bijatyki w moim lokalu.

Usiadła na czarnej sofie, która jęknęła pod jej ciężarem.

- No więc, co cię trapi? - zapytała.

- To nie jest mój problem - powiedział kapitan. - Kłopoty ma lord Chard i naprawdę sędzę, że jesteś jedyną osobą, która może mu pomóc.

- Pieniądze czy kobieta? - spytała ostro Kate.

- Ani jedno, ani drugie - odparł kapitan Vestey. - Chodzi o jego macochę.

- Tę bogatą wdowę? - zapytała, podnosząc brwi, - Słyszałam, że jest chora.

- Ty wiesz wszystko, nieprawdaż? - stwierdził Vestey. - Tak, Kate, jest chora, a nawet umierająca.

- Nieszczęśliwa kobieta - powiedziała Kate prawie współczująco. - Ale z tego, co słyszałam, wynika, że ona i jej pasierb zawsze serdecznie się nie znosili.

- Masz rację - zgodził się kapitan Vestey. - I był po temu powód. Widzisz, stary markiz wszystkie pieniądze zapisał w dożywocie żonie. Nie lubił swojego syna; prawdę mówiąc, przypuszczam, że nie lubił samej myśli o tym, iż ktoś będzie kiedyś po nim dziedziczył. Tak czy owak, kiedy markiz umarł, mój przyjaciel Gilbert otrzymał tytuł, lecz nic poza tym.

- No cóż, teraz, kiedy jaśnie pani schodzi z tego świata, powinien dostać te pieniądze - stwierdziła Kate. - Ona nie ma dzieci, nieprawdaż?

- Nie ma, lecz rzecz w tym, że ogromną większość pieniędzy może zostawić komu zechce - powiedział kapitan Vestey.

- Rozumiem. A ta stara niechęć między nimi jeszcze nie wygasła?

- Niezupełnie - odrzekł kapitan. - I tu właśnie, Kate, potrzebujemy twojej pomocy. Markiza wdowa zapowiedziała, że zostawi pasierbowi cały - co do grosza - spadek po jego ojcu, pod warunkiem, że się ożeni.

Kate zachichotała.

- Chce go okiełznać za pomocą węzła małżeńskiego? No cóż, on jest z tych, co gryzą wędzidło. Małżeństwo ma go poskromić, skoro nie pomogło nic innego.

- O to właśnie chodzi - potwierdził kapitan. - Markiz zapewnia, że prędzej go diabli wezmą, niż uda się jej zmusić go do małżeństwa.

Kate milczała przez chwilę, a potem powiedziała z przebiegłym wyrazem twarzy:

- Czy nadal wzdycha do lady Alicji St. Helier? Przez moment kapitan Vestey wydawał się zaskoczony, po czym roześmiał się.

- Niech cię licho, Kate! Jak Anglia długa i szeroka, nie ma tajemnicy, której byś wcześniej czy później nie wyszperała.

- Mój drogi chłopcze - odparła - mężczyźni, kiedy piją, mówią. A ci mężczyźni, którzy przychodzą do mojego Salonu, piją - inaczej by nie przychodzili. Nic prostszego!

- Rozumiem - powiedział Vestey z uśmiechem, od którego nie mógł się powstrzymać. - No cóż, skoro wiesz już tyle, równie dobrze możesz wiedzieć wszystko. Otóż markiz poprzysiągł, że jeśli nie uda mu się zdobyć lady Alicji St. Helier, nie poślubi nikogo innego. Lecz markiza, która zdaniem jej lekarzy jest już na łożu śmierci, nie chce podpisać testamentu dopóty, dopóki pasierb nie przedstawi jej żony. Nie narzeczonej, rozumiesz, ale żony. Narzeczeństwo można by dość łatwo zerwać po pogrzebie. On ma pokazać żonę! A nawet domaga się, aby - jeśli Gilbert znajdzie odpowiednią dziewczynę - wzięli ślub w jej sypialni.

- Nie chce ryzykować, nieprawdaż? - zauważyła Kale. - Zapewne myśli, że jej pasierb jest sprytnym facetem, który potrafi wybrnąć z najtrudniejszych sytuacji.

- Niewątpliwie robił to nieraz w przeszłości - zgodził się kapitan Vestey. - Ale ty wiesz, że mimo wszystkich swych wybryków mój przyjaciel jest w głębi duszy uczciwy. z jego prezencją i tytułem łatwo byłoby mu nakłonić jakieś naiwne dziewczątka, ciągane po balach przez ambitną mamę, żeby zostało jego żoną. On jednak nie zniży się do tego rodzaju postępuku. W pewnym momencie chciał nawet powiedzieć szanownej wdowie, żeby wzięła ze sobą te pieniądze do piekła.

- Uważam, że byłoby to bardzo głupie posunięcie - zauważyła Kate. - Pieniądze są pieniędzmi, bez względu na ich źródło.

- Mniej więcej to samo mu powiedziałem - ciągnął kapitan. - Myślę jednak, że zrobiłby to, gdyby nie chodziło o Chard.

- Jego dom? - zapytała.

- Dom i wielkie posiadłości w Hertfordshire. Jest bardzo przywiązany do tego domu, to jedyna stała rzecz w jego życiu. Miał smutne dzieciństwo: matka zmarła, ojciec go tyranizował, macocha nie lubiła. Chard był dla niego ojcem, matką i rodziną. Nie potrafiłby teraz wyrzec się go tak łatwo.

- Cóż więc może zrobić? - zapytała Kate. - I co ja mogę zrobić, jeśli już o tym mowa?

- W tym cała rzecz - powiedział Vestey, pochylając się ku niej. - Mamy pewien pomysł, ale możemy go zrealizować tylko z twoją pomocą.

- Jakież to pomysł?

- Markiz weźmie ślub w sypialni wdowy, zgodnie z jej życzeniem. Z tym że pastor nie będzie prawdziwy, a ty postarasz się o pannę młodą.

Przez moment duże usta Kate pozostały szeroko otwarte, uwydatniając podwójny podbródek, który opierał się na kosztownym, lecz niegustownym brylantowym naszyjniku, otaczającym jej tłustą szyję. Potem odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli ten człowiek nie ma zawsze asa w rękawie! - wykrzyknęła. - I przysięgam, że markiza sama do tego doprowadziła! Ale czy nie będzie czegoś podejrzewać?

- Dlaczego miałyby podejrzewać? - zapytał kapitan. - Na pastora upatrzyliśmy takiego właśnie człowieka, jakiego potrzebujemy. Służył z nami w pułku i swymi występami w kasynie potrafił nas doprowadzić do ataków śmiechu. Jak to się zdarza, jego ojciec był pastorem na jakiejś zapadłej wsi w Northumberland, więc on sam też dobrze zna tę pracę, to znaczy ceremoniał udzielania ślubu! O wiele trudniejsza sprawa z panną młodą.

- Tak, ona jest bardzo ważną częścią tej ceremonii - stwierdziła Kate,

- Musi to być dziewczyna, która będzie wyglądać na pannę z dobrego domu; markiz bardzo na to nalega - oznajmił kapitan Vestey. - Mówi, że wdowa na pewno zważałaby pismo nosem, gdyby dziewczyna wydawała się pospolita czy pod jakimś względem wulgarna. Kate, ona musi wyglądać na damę i być ubrana jak dama!

- Zdajesz sobie zapewne sprawę, że masz dość duże wymagania - rzekła Kate.

- Jeśli nam odmówisz, to nie wiem, do kogo się zwrócić! - zawołał kapitan Vestey. - Ostatecznie, Kate, masz w swoim Salonie najpiękniejsze kobiety Londynu. Któraś z nich na pewno potrafi odegrać rolę panienki z wyższych sfer wystarczająco umiejętnie, żeby nie zostać zdemaskowaną.

- Posłuchaj, kapitanie - powiedziała Kate. - Ty i twój przyjaciel byliście zawsze szczerzy wobec mnie, toteż i ja będę szczerą wobec was. To nie jest łatwe. Rosie, Gertie, Gwen i mnóstwo innych - znasz je wszystkie - prezentują się atrakcyjnie i kusząco w świetle lamp gazowych, za dnia natomiast nie wyglądają na czyste dziewice; zresztą, dlaczego miałyby wyglądać? Oczywiście, po kilku kielichach szampana ich głosy wydają się melodyjne, lecz posłuchaj ich przy śniadaniu, kiedy jesteś zupełnie trzeźwy, a przekonasz się, że brzmią chropowato i szorstko.

- Ależ, Kate, jedna z nich na pewno potrafi zagrać tę rolę! - zawołał kapitan Vestey niemal z rozpaczą. - Trzeba ją ubrać, zadbać, żeby odpowiednio się prezentowała, i zabronić otwierać usta. Przecież nie musi wdawać się w konwersację z umierającą kobietą.

- Ale co potem? - spytała Kate. - Dobieram moje dziewczęta według urody, a nie rozumu, lecz żadna z nich nie jest tak głupia, żeby nie wywahać, kiedy może coś skorzystać. Plotka o takim ślubie, krążąca po mieście,

zaszkodziłaby młodemu markizowi i być może musiałby słono płacić fałszywej pannie młodej, żeby skłonić ją do milczenia.

- Masz na myśli szantaż? - wtrącił kapitan.

- To jest wstrętne słowo - odrzekła Kate. - W moim Salonie nie używa się go nigdy w mojej obecności. Ale wiem, że gdzie indziej takie rzeczy się zdarzają.

- Cóż więc mamy robić? - zapytał kapitan Vestey. - Wydawało się, że to dobry pomysł, a markiz uznał cię za jedyną osobę, która potrafi go zrealizować. Zaproponował - chociaż oczywiście możesz się na to nie zgodzić - pięćset gwinei dla panny młodej i pięćset dla ciebie, Kate. Oczywiście, zapłaciliby też za wszystkie stroje i pokrył wszelkie inne wydatki.

Kate nie powiedziała nic, lecz jej oczy rozbłyły.

- Spróbuj pomyśleć, kto nadawałby się do tej roli - poprosił kapitan.

- Właśnie myślę - odparła.

Przeszła przez pokój i pociągnęła za mosiężną rączkę obszytej aksamitem taśmy od dzwonka, wiszącej przy gzymsie kominka. Lokaj zjawił się niemal natychmiast.

- Przyrowadź mi panią Harcourt - rozkazała. - I przynieś butelkę szampana. Muszę się czegoś napić.

- Myślisz, że pani Harcourt mogłaby nam pomóc? - zapytał kapitan Vestey.

Wszyscy goście Kate znali Ellę Harcourt. Kierowała ona drugą częścią zakładu, prowadzonego z tak wielkim powodzeniem przez Kate; część ta, zwana „Domem”, znajdowała się przy cichej uliczce na tyłach jej Salonu i łączyła się z wejściem od Prince's Street długim podziemnym tunelem. Tylko najważniejsi i najznakomitsi z klientów Kate byli upoważnieni do korzystania z tego tunelu i mogli przechodzić nim bezpośrednio z Salonu do „Domu”. Poza tym jednak obie te instytucje były traktowane jako całkowicie

odrębne, zarówno w rejestrach policyjnych, jak i przez przypadkowych gości Salonu.

Czekając na panią Harcourt, Kate i kapitan niewiele rozmawiali. On wiedział, że Madame zastanawia się nad rozwiązaniem problemu i że byłoby nierozsądne zakłócać bieg jej myśli. Zaczął sobie ze smutkiem uświadamiać, że plan bynajmniej nie jest tak łatwy do zrealizowania, jak to się wydawało wtedy, gdy razem z Gilbertem układali go w salonie przy Grosvenor Square. Kiedy wówczas rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, bardziej z szacunku dla wdowy umierającej w sypialni na piętrze niż z obawy przed podsłuchaniem, plan ten zdawał się oczywistym wyjściem z kłopotliwej sytuacji, w jakiej znalazł się markiz. Teraz pojawiały się przeszkody na drodze do uzyskania podpisu wdowy na tak ogromnie ważnym dla niego dokumencie.

W końcu milczenie Kate zaczęło działać kapitanowi na nerwy.

- Musisz coś zrobić, Kate - powiedział prawie szorstko. - Inaczej wdowa spełni swą groźbę i zapisze wszystko na rzecz schroniska dla kotów, którym się opiekuje.

- O jaką sumę chodzi? - spytała.

- Jakies parę milionów - odpowiedział kapitan Vestey.

- Parę milionów dla kotów! - wykrzyknęła. - Dlaczego nie dla dzieci? Tyle ich błąka się, na wpół zamorzonych głodem, po ulicach.

- A dlaczego nie dla prawowitego spadkobiercy? - zapytał kapitan, - Jestem przekonany, że kiedy markiz wejdzie w posiadanie Chardu, stanie się kimś zupełnie innym.

- Byłoby szkoda, gdyby się ustatkował i został powszechnie szanowanym obywatelem - powiedziała z uśmiechem Kate. - Londyn byłby wtedy miastem znacznie nudniejszym. Cóż, szalony lord Chard jest jedną z atrakcji wytwornej dzielnicy West End. Połowa przybyszów z

provincji pyta mnie: „Czy lord Chard jest tutaj? Chcielibyśmy zobaczyć, jak wygląda”.

- Często bawiliśmy się razem - rzekł kapitan Vestey - ale w przyszłości nie będzie tak wesoło, jeśli markiz zostanie bez grosza.

- To nieładnie ze strony jaśnie pani markizy, przyznaję - zauważyła Kate. - No, jest już Ella! Zobaczymy, co nam poradzi.

Uśmiechnęła się do pani Harcourt, która właśnie wkroczyła do pokoju, prezentując się niezwykle statecznie i dystyngowanie. Kate otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zmieniła zamiar.

- Słuchaj, młody człowieku - zwróciła się do kapitana Vesteya. - Chcę pomówić z Ellą w cztery oczy. Poczekaj na nas w pokoju naprzeciwko. Jest pusty.

- Doskonale - rzekł kapitan wstając. - Dobry wieczór, pani Harcourt! Czy w Domu wszystko w porządku?

- Jedna z dziewcząt pytała o ciebie nie dalej niż dziś rano - odparła pani Harcourt. - Zaraz, zaraz, która to? Aha, Lily! Ta z ciemnymi włosami, która dość ci się podobała jakiś miesiąc temu.

- Przekaż jej ode mnie serdeczne pozdrowienia - skłonił się kapitan Vestey - i powiedz, że wpadnę, jak tylko skończę pewną sprawę, którą się teraz zajmuję. Kate opowie u o tym dokładnie.

Uśmiechnął się do obu kobiet i wyszedł do drugiego pokoju.

- Taki miły młody człowiek - stwierdziła pani Harcourt. - Nie mów mi, że ma kłopoty. A może to ten jego niesforny przyjaciel markiz? Muszę powiedzieć, że obaj są tak przystojni, iż nawet w moim wieku serce bije mi mocniej na ich widok.

- Szkoda, że nie jesteś o dwadzieścia lat młodsza - westchnęła Kate - bo świetnie pasowałabyś do tej roli.

- Do jakiej roli? - zdziwiła się pani Harcourt.

Kate krótko i zwięźle zrelacjonowała jej sprawę kapitana Vesteya.

- No i cóż, czy masz kogoś odpowiedniego? - zapytała na zakończenie. - Tak się składa, że pomyślałam właśnie o Lily, ale tej dziewczynie nigdy za bardzo nie ufałam. Wygada się, a to byłby błąd.

- Jest jeszcze Grace - powiedziała nieobowiązująco pani Harcourt.

- Nie myślę dostarczać tej osobce okazji do zdobycia dużych pieniędzy - powiedziała zdecydowanie Kate. - Oszukała mnie już nieraz. Mam na to dowody, a jeśli zrobi tak jeszcze raz, pójdzie precz. Młody Chard ani jego przyjaciel nie powinni się z nią zadawać.

- A więc w gruncie rzeczy nie mam nikogo - stwierdziła pani Harcourt. Nastąpiła chwila milczenia, po czym zawołała:

- Poczekaj! Przyszła mi pewna myśl! Chodź ze mną. Chciałabym, żebyś zobaczyła kogoś, kogo przyprowadziłam dziś wieczorem.

- Nie chce mi się iść taki kawał drogi - zaprotestowała Kate.

- Wiem, że to dla ciebie kłopot, ale musisz pójść do mnie - nalegała pani Harcourt.

Gderając Kate usłuchała jej; poszły długim, wąskim korytarzem, otwierając po drodze kilkoro zamkniętych na klucz drzwi. W końcu dotarły do niewielkiej sieni domu, do którego przed kilkoma godzinami weszła Melinda.

Pani Harcourt poprowadziła Kate po schodach na górę. W domu panowała zupełna cisza; wszystkie dziewczęta były w Salonie. Na najwyższym piętrze Ella otworzyła drzwi. Przy

łóżku paliła się świeca, poza tym pokój był pogrążony w ciemnościach.

- Czy się nie obudzi? - szepnęła z obawą Kate. Pani Harcourt potrząsnęła przecząco głową.

- Dałyśmy jej w mleku to co zwykle - powiedziała. - Będzie spać aż do rana. Poza tym była śmiertelnie zmęczona po podróży.

Obie kobiety stanęły przy łóżku. Jasne włosy Melindy leżały rozsypane na białej poduszce. Wydawała się bardzo drobna, delikatna i niezwykle urocza. Jej ciemne rzęsy sięgały policzków, a ręka spoczywająca na prześcieradle była biała, z niebieskimi żyłkami. W tej śpiącej dziewczynie było coś pięknego, a zarazem uduchowionego.

Przez chwilę na pospolitej, brzydkiej twarzy Kate odbiło się uczucie zazdrości. Kiedyś, pomyślała, i ja wyglądałam młodo i niewinnie. Kiedyś, wiele, wiele lat temu. Potem, jakby zawstydzona tym sentymentalnym wspomnieniem, spytała szorstko:

- Kto to jest?

- Nazywa się Melinda Stanyon - odpowiedziała pani Harcourt. - Pochodzi z północnej Anglii. Jej rodzice nie żyją. Przyjechała do Londynu w poszukiwaniu pracy. Prosiła mnie, żebym jej jutro pomogła znaleźć Biuro Pani Brewer. Chciałaby otrzymać posadę guwernantki.

- Jak mówi? - zapytała Kate.

- Jak dama - odrzekła pani Harcourt. - Musi mieć dobrą krew w żyłach, choć jest ubogo ubrana. Byłabym skłonna pomyśleć, że jest nieślubnym dzieckiem jakiegoś arystokraty.

- Pewno jest - zgodziła się Kate. - Czy weźmie udział w tej grze?

- Myślę, że potrzebuje pieniędzy - odpowiedziała pani Harcourt. - Pięćset gwinei mogłoby uwolnić taką dziewczynę od kłopotów finansowych na wiele lat.

- Z taką twarzyczką i tak będzie miała swoje kłopoty - zauważyła Kate. - No cóż, to jest nasza największa szansa. Opowiesz jej o tym rano. I trzymaj ją z dala od dziewcząt. Nie chcę, żeby się przestraszyła - jeśli jest taka czysta i święta, na jaką wygląda.

- Mam wrażenie, że jest zupełnie niewinna - odparła Ella Harcourt.

- Więc utrzymaj ją w tym stanie - powiedziała Kate prawie ze złością. - Poza tym zaprowadź do magazynu pani Mercier i kup jej trochę odzieży. Tam są najlepsze suknie, a jego lordowska mość zapłaci.

- Ile sukien mam jej kupić? - zapytała pani Harcourt.

- Ach, mnóstwo - odrzekła Kate. - Równie dobrze mogłybyśmy wyposażyć na jego koszt i ją, i nas. Suknia ślubna ma duże znaczenie; postaraj się, żeby była jak najbardziej wytworna.

Skierowała się ku drzwiom, idąc bokiem, tak żeby jej ogromne ciało w obszernych spódnicach mogło przecisnąć się przez wąski otwór. Dotarła właśnie do schodów, gdy dogoniła ją Ella Harcourt.

- Zapomniałam o jednej sprawie - powiedziała. - Lord Wrotham zobaczył ją, gdy tylko tu przyjechała. Był zachwycony - wiesz, jaki on jest - i zwrócił się do mnie tymi słowami: „Powiedz Kate, że ona jest moja”.

Kate prychnęła gniewnie.

- Jeśli jest jakiś człowiek, na widok którego cierpie mi skóra, to jest nim Wrotham. No, w tym wypadku będzie musiał trochę poczekać. Dobrze mu to zrobi, sprośnemu nicponiowi!

Zeszła po schodach, podobna do statku z rozwiniętymi żaglami. Pani Harcourt, która ją obserwowała, usłyszała, jak mruczy półgłosem:

- Wrotham i ta dziewczyna! Biedactwo!

Kate wróciła do swego saloniku, gdzie czekał na nią kapitan Vestey z kieliszkiem szampana w ręku.

- Bój się Boga, Kate! Myślałem już, że mnie opuściłaś! - zawołał. - Słyszałem, jak szłyście korytarzem z panią Harcourt, a potem nie było was tak długo, że musiałem tu wejść, żeby się czegoś napić.

- Całkiem słusznie - stwierdziła Kate. - Ja też muszę wypić jednego.

- No i jaki jest werdykt? - zapytał kapitan Vestey, nalewając jej szampana do kieliszka.

- Znalazłyśmy kogoś - oznajmiła Kate.

- Znalazłyście! Kate, jesteś cudowna, naprawdę! Mówiłem Gilbertowi, że nie opuścisz nas w potrzebie.

- Ona jest młoda i trzeba będzie jej to i owo wytłumaczyć - zastrzegła się Kate.

- To pozostawiamy tobie - zdecydował kapitan Vestey. - A teraz o ślubie. Musi odbyć się jutro po południu, czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Jutro po południu! - wykrzyknęła Kate. - Ale w jaki sposób przygotowujemy wszystko tak szybko?

- Wdowa jest umierająca - przypomniał kapitan. - Może umrzeć nawet tej nocy. To jest ryzyko, które musimy podjąć, ale nie ma sensu ryzykować za dużo. Gilbert może jeszcze tego ranka uzyskać specjalne zezwolenie. Rozmawialiśmy już z „pastorem”, a więc wszystko, co musisz zrobić, to przyprowadzić dziewczynę.

- Nie będziemy mieć czasu na zaczerpnięcie oddechu - powiedziała ostro Kate. - Nie wiemy nawet, czy ta dziewczyna się zgodzi.

- Jeśli to ktoś z twojej gromadki, to na pewno dasz sobie z nią radę - stwierdził Vestey. - Teraz znikam; powiem markizowi, że wszystko załatwione. Jeśli kiedykolwiek znajdę się w tarapatkach, będę wiedział, do kogo powinienem się

zwrócić: to będziesz ty, Kate. Niech ci się szczęści, moja droga przyjaciółko! Jesteś naprawdę wspaniała!

Pochylił się i pocałował ją w policzek. Kate odwzajemniła się sztucznym uśmiechem.

- Życzę powodzenia - powiedziała. - Wszystkie te pochlebstwa zawdzięczam temu, że postawiłeś na swoim. No cóż, miejmy nadzieję, że się uda. Powiedz młodemu Chardowi, że nie przyjdę na ślub. Nie sędzę, żebym wyglądała dobrze w roli drużki. Niech odeśle tę dziewczynę do mnie, jak tylko z nią skończy. Nie chcę, żeby leniuchowała i robiła sobie jakieś złudne nadzieje.

- W chwili gdy testament zostanie podpisany, jest twoja - oświadczył kapitan Vestey; jednakże po zastanowieniu dodał: - Nie, to nie całkiem tak. Będzie musiała poczekać, aż wdowa umrze. Jej lordowska mość mogłaby chcieć zobaczyć się z nią. a gdyby nie było jej w domu, wyczułaby pismo nosem. Ale to naprawdę tylko kwestia dni.

- No cóż, będzie więc potrzebowała sporo odzieży - wyciągnęła praktyczny wniosek Kate.

- Wyślij rachunek markizowi. Będzie mógł sobie na to pozwolić, gdy wszystko dobrze się skończy - zaśmiał się kapitan.

- Wyślę - obiecała Kate. - A ty powiedz mu, że pięćset gwinei będzie także bardzo mile widziane. Nie lubię czekać na moje pieniądze.

- Nie będziesz musiała - przyrzekł kapitan Vestey. - A teraz idę przekazać panu młodemu te wspaniałe nowiny.

Wziął swój cylinder z krzesła, na którym go położył wchodząc do pokoju, nasadził beztrósco na bakier i przeszedł z powrotem do Salonu. Gdy dotarł w końcu do amerykańskiego baru, poświęciwszy nieco czasu na witanie się z przyjaciółmi i machanie ręką ładnym dziewczynom, obejrzał się i spostrzegł, że Kate zajęła swój tron na podium.

Jej gruby głos rozbrzmiewał w całej sali, gdy wzywała kilku młodych dandysów, aby zapłacili za jej drinki, i napominała dziewczęta, żeby były wesołe i pełne życia. Wydawało się, że wraz z powrotem Kate nowa fala wesołości ogarnęła salę.

Kapitan Vestey, idąc długim korytarzem do drzwi wejściowych, uśmiechnął się do swych myśli.

- Wspaniała kobieta! - mruknął. - Wspaniała! Ciekaw jestem, jak będzie wyglądać ta panna młoda.

Rozdział 4

Melinda budziła się powoli; miała wrażenie, że wraca do przytomności, przedzierając się przez gęstą czarną chmurę. Pomalu otworzyła oczy i przez chwilę nie mogła sobie uświadomić, gdzie się znajduje. Dopiero gdy poruszyła się lekko w pościeli, ból w poranionych barkach i plecach przypomniał jej aż zbyt wyraźnie o brutalności sir Hektora.

Zamknęła oczy, jak gdyby chciała zatrzeć obraz swej niedoli; następnie otworzyła je znowu, z wysiłkiem siadła w łóżku i rozejrzała się dokoła. Światło słoneczne migotało w szparach między zasłonami. Ostrożnie, gdyż każdy szybszy ruch wywoływał ból, Melinda zeszła z łóżka i stanęła na podłodze.

Przez chwilę kręciło jej się w głowie. Przyłożyła dłoń do czoła. Wydawało się, że całą głowę ma wypełnioną watą. Przypomniała sobie, że już kiedyś czuła się podobnie. Spadła wtedy z konia, a niania dała jej gorącego mleka, do którego dodała pełną łyżkę laudanum, czyli nalewki opiumowej. Pamiętała swoje słowa, wypowiedziane wówczas:

„Naprawdę źle się czuję, Nano! Wydaje mi się, że moja głowa jest zbyt wielka i zbyt ciężka dla mego ciała”.

„To przejdzie, kochanie” - dodawała jej otuchy niania - „Po wypadku najlepszy jest długi, głęboki sen. Zobaczysz, kiedy przyjdzie doktor, powie, że miałam rację”.

Melinda nigdy się nie dowiedziała, czy stary doktor Harrison pochwalił, czy zganił kurację zastosowaną przez nianię, ale na zawsze zapamiętała to uczucie ciężkości i jakiegoś oderwania od świata.

Wiedziała, że ten właśnie środek musiała jej dać pani Harcourt zeszłego wieczoru - mleko z łyżką laudanum. Ale dlaczego? Była wystarczająco zmęczona, żeby zasnąć w sposób naturalny.

Odsunęła zasłony i wydała lekki okrzyk: okno zagradały grube kraty. Pod słońce wydawały się czarne, lecz przestraszyły ją tylko na chwilę.

Zaraz roześmiała się ze swej głupoty. To chyba opium tak ją otepiło. Oczywiście, mieszkańcy Londynu mieli w oknach kraty po to, by chronić się przed złodziejami.

Podeszła do umywalki i naląła sobie szklanek wody. Miała smak trochę nieświeży i stęchły, lecz złagodziła nieco ból głowy i ociężałość powiek. Odruchowo naląła zimnej wody z chińskiego dzbanka do miednicy i umyła twarz. Teraz wreszcie poczuła się trochę lepiej.

Przydałoby się śniadanie, pomyślała rozsądnie. Wtedy, w dzieciństwie, złe samopoczucie minęło po jedzeniu. Jestem pewna, że pani Harcourt miała dobre chęci, ale było to zupełnie niepotrzebne!

Rozejrzała się po pokoju i zauważyła, że wyglądał on zupełnie inaczej, niż wydawało jej się poprzedniego wieczoru. Wtedy była pod wrażeniem łagodnego przyćmionego oświetlenia, różowych obić, luksusowego dywanu i ozdobnego łóżka z mosiądzu. Teraz w świetle dnia wszystko to wydawało się niegustowne. Sposób urządzenia pokoju raził ją, chociaż nie bardzo wiedziała dlaczego'. Było coś wulgarnego w wyściełanych pluszem krzesłach, białej toalecie zwieńczonej rzeźbionymi gołabkami, firankach udrapowanych i przybranych srebrnymi frędzelkami.

Melinda poczuła nagłą chęć ucieczki. Podeszła do drzwi. Powiem komuś, że już nie śpię, pomyślała i nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte. Przez chwilę trudno jej było uwierzyć, że to prawda. Nacisnęła klamkę jeszcze raz, potem szarpnęła, rzucając jednocześnie spojrzenie ku oknu. Krata i zamknięte drzwi! Co to znaczy?

W tym momencie ktoś obrócił klucz w zamku; drzwi otworzyły się i weszła pani Harcourt, jak gdyby chcąc udzielić

Melindzie odpowiedzi na to właśnie pytanie. W jej spokojnej, rozsądnej twarzy było coś takiego, co uśmierzyło obawy dziewczyny i sprawiło, że wydała się sobie niemądra.

- Dzień dobry, kochanie - powiedziała pani Harcourt swym łagodnym, opanowanym głosem. - Mam nadzieję, że spałaś dobrze.

- Tak... tak, bardzo dobrze - odrzekła Melinda. - Chciałam... chciałam właśnie pójść poszukać pani, ale drzwi były zamknięte na klucz.

- To prawda - odparła pani Harcourt. - Zamknęłam je bo w tym czasie było w domu dużo ludzi, a nie chciałam, żeby ktoś wtargnął tu przez pomyłkę i cię zbudził. Wczoraj wieczorem byłaś bardzo zmęczona.

Melinda już otwierała usta, żeby powiedzieć o nalewce domowej, lecz zmieniła zamiar, uznając to za niepotrzebne. Ostatecznie pani Harcourt nie będzie już miała sposobności, żeby zrobić to jeszcze raz, więc po co sprawiać jej przykrość?

- Była pani bardzo dobra dla mnie, madame - odezwała się Melinda. - Jestem głęboko wdzięczna za to, że pozwoliła mi pani przenocować w swoim domu. Teraz jednak muszę odejść i byłabym niezmiernie zobowiązana, gdyby mogła mi pani podać adres Biura Pani Brewer.

- Wyszukałam go już dla ciebie - odparła pani Harcourt. - ale przed chwilą dowiedziałam się o czymś, co, jak sędzę zainteresuje cię jeszcze bardziej.

- O posadzie, którą mogłabym objąć? - upewniła się Melinda. - Właśnie! - potwierdziła pani Harcourt. - Najpierw jednak musisz zjeść śniadanie. Wracaj do łóżka. Powiedziałam jednej z pokojówek, aby ci je przyniosła. Za chwilę powinna tu być.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na schody, pozostawiając je uchylone. Ponieważ Melinda nie miała szlafroka, nie pozostało jej nic innego, jak wrócić do łóżka, zgodnie z radą

pani Harcourt. Usadowiła się w nim, besztając sama siebie za lekkie uczucie niepokoju, które nadal tliło się w głębi jej duszy.

Chwilę później pokojówka w sztywno wykrochmalonym czepku i szeleszczącym fartuszkowi wniosła tacę ze śniadaniem i postawiła ją przy łóżku. Była to osoba w średnim wieku, o wyrazie twarzy, który Melindzie wydał się zastanawiający. W myśli określiła go jako pogardliwy, ale dlaczegoż by nieznajoma pokojówka miała na nią patrzeć w ten sposób?

- A teraz szybko posprzątaj pokoje, Doris - poleciła pani Harcourt.

- Nie mogę posprzątać w numerze siódmym - odpowiedziała pokojówka zgryźliwym tonem. - Mniej więcej godzinę temu zadzwonili i zażądali butelki szampana. John zaniósł im to, czego chcieli.

- To wszystko, Doris - powiedziała ostro pani Harcourt i zamknęła za nią drzwi.

Na tacy Melindy były gotowane jajka na przykrytym półmisku, grzanka, masło, dżem pomarańczowy i filiżanka kawy. Sięgnęła po kawę, odczuwając przy tym pewne zakłopotanie, gdyż pani Harcourt przyglądała się jej.

- Powinnaś zjeść oba jajka - poradziła pani Harcourt, jak gdyby czytała w jej myślach. - Inaczej szybko zabraknie ci sił. Masz dziś wiele do zrobienia.

- Naprawdę? - zapytała Melinda. - Miała mi pani opowiedzieć o tej posiadłości.

Pani Harcourt obróciła pierścionek na palcu i spuściła wzrok, jak gdyby szukała właściwych słów.

- Czy występowałaś kiedyś na scenie? - zapytała. Melinda przecząco pokręciła głową.

- Nie, skądże. Nawet nigdy nie byłam w teatrze. Widziałam jedną ze sztuk Szekspira, wystawioną przez dzieci

z sierocińca, którym opiekował się mój ojciec, lecz obawiam się, że to wszystko.

Ponieważ pani Harcourt wydała się rozczarowana, dodała szybko.

- Oczywiście, w domu przedstawialiśmy żywe obrazy podczas wieczorków dla młodzieży, a kiedyś mama w okresie Bożego Narodzenia zorganizowała takie przedstawienie w Domu Wiejskim.

- A więc jednak grałaś - stwierdziła pani Harcourt z radością w głosie. - W każdym razie nie sprawi ci trudności zrobienie tego, co zamierzam ci zaproponować.

- A co to takiego? - zapytała Melinda.

- Pewien dystyngowany pan ze znakomitego rodu życzy sobie, żeby jakaś młoda dziewczyna odegrała rolę panny młodej podczas udawanej ceremonii zaślubin. Jedynie udawanej, ale wymaga on, żeby był to ktoś, kto potrafi dobrze zagrać tę rolę. Myślę, że byłabyś właściwą osobą.

- Zagrać rolę panny młodej?! - wykrzyknęła Melinda, która pomyślała, że musi to być jakiś absurdalny, ponury żart. Ja, która uciekła, aby nie być panną młodą, proszono teraz, żeby udawała, iż nią jest!

- Tak, nie jest to zbyt trudne - stwierdziła pani Harcourt.

- Nie sądzę, żebym potrafiła to zrobić - powiedziała szybko Melinda. Nastąpiła krótka chwila ciszy.

- To szkoda - oświadczyła pani Harcourt - ponieważ wspomniany dżentelmen gotów jest wypłacić dziewczynie, która, ku jego zadowoleniu odegra tę rolę, sumę pięciuset gwinei.

- Pięćset gwinei za coś takiego! - wykrzyknęła Melinda. - Czy on jest szalony?

- Nie, bynajmniej - zaprzeczyła pani Harcourt. - Po prostu jest dla niego bardzo ważne, żeby ta szczególna ceremonia się odbyła, i żeby osoba, która będzie się jej przyglądać, sądziła,

iż jest to prawdziwy ślub. Oczywiście, w całej tej sprawie nie ma nic złego. Jest to po prostu rola do odegrania, ale on szuka kogoś, kto zrobi to dobrze, a ja pomyślałam o tobie.

- Ale dlaczego zależy mu na tym? - dopytywała się Melinda. - I dlaczego gotów jest zapłacić za to tak ogromną sumę pieniędzy?

Pani Harcourt nie odpowiadała, po chwili więc Melinda rzekła:

- Przypuszczam, że to jakiś zakład.

- Tak, myślę, że masz rację - zgodziła się pani Harcourt. - Zakład! Wiesz, jacy są ci młodzi mężczyźni. Zrobią wszystko, gdy chodzi o zakład.

- Stawka musi być bardzo wysoka, skoro gotów jest zapłacić tyle pieniędzy - powiedziała Melinda.

- Istotnie - potwierdziła pani Harcourt. - Gra toczy się o wiele tysięcy funtów.

- Co za absurd! - oburzyła się Melinda. - Moja matka zawsze mówiła, jak źle postępują ludzie, tracąc na hazard pieniądze, które można by wydać z pożytkiem na pomoc dla ubogich i będących w potrzebie.

- Nie sądzę, żebyśmy w tym szczególnym przypadku musiały zajmować się kwestią dobra i zła - zauważyła pani Harcourt. - Wszystko, co masz zrobić, to wziąć udział w ceremonii zaślubin przy boku uroczego i - jeśli wolno mi tak powiedzieć - bardzo przystojnego pana ze szlchetnego rodu. Potem wręczy ci pięćset gwinei i będziesz mogła wrócić tutaj; wtedy pomyślimy o znalezieniu ci czegoś innego.

- Brzmi to bardzo zachęcająco - powiedziała Melinda. Jej umysł pracował szybko. Pięćset gwinei oznaczałoby,

że nie musiałyby natychmiast szukać pracy, lecz mogłaby najpierw pojechać do swojej starej niani, która mieszkała z siostrą w Sussex.

Po utracie rodziców w wypadku drogowym Melinda bardzo zbliżyła się do Nany, jak ją nazywała, znajdując ukojenie tylko w tych ramionach, które przytulały ją, gdy była jeszcze niemowlęciem. Kiedy jednak na scenie pojawił się sir Hektor, od razu dał jasno do zrozumienia, że chociaż gotów jest wspaniałomyślnie wziąć do swego domu osieroconą bratanicę, to jednak nie ma w nim miejsca dla wysłużonych domowników.

Nana została odprawiona z tak nędzną emeryturką, że Melinda poczuła palący wstyd nie tylko z powodu lichej zapłaty za tyle lat wiernej służby, lecz także dlatego, że jej stryj poniżył się do tak małostkowej oszczędności. Nie mogła jednak nic na to poradzić i tylko gorzko płakała, żegnając się z nianią.

Pisywała do niej często i w głębi duszy zawsze marzyła, że pewnego dnia, gdy tylko będzie miała własny dom, Nana powróci do niej. Teraz byłoby to możliwe! Mogłyby zamieszkać wspólnie, w jakiejś małej chatce i być razem przynajmniej tak długo, dopóki nie wydałaby pięciuset funtów, A gdyby w tym czasie znalazła jakiś inny sposób zarabiania na życie, nigdy już by się nie rozstały.

Jakby w obawie, że to tylko sen, Melinda zapytała:

- Powiedziała pani: pięćset funtów, nieprawdaż?
- Pięćset gwinei, ściśle mówiąc - odrzekła pani Harcourt.
- A teraz, jeśli się zgadzasz, musimy się pospieszyć. Ceremonia ma się odbyć dziś po południu.
- Ale co mamy zrobić? - dopytywała Melinda.
- Musimy ci kupić parę eleganckich rzeczy - odpowiedziała pani Harcourt. - Suknię ślubną, a także trochę innej odzieży, na wypadek gdybyś musiała pozostać w tamtym domu na noc.
- Dlaczego miałabym pozostać? - zapytała Melinda.

- Jest to częścią umowy - powiedziała pani Harcourt tonem przecinającym dyskusję, jak gdyby była już zmęczona pytaniami. - Wszystko ci wyjaśnię, ale w tej chwili musisz się ubrać. Pospiesz się, a ja wydam polecenie, żeby powóz zajechał za kwadrans.

Wstała i poszła do drzwi. W chwili gdy ujmowała klamkę, ktoś zapukał i Melinda usłyszała głos Doris, opowiadającej o czymś, co wydarzyło się w pokoju numer cztery. Jak wielu ludzi przebywa jednocześnie u pani Harcourt, pomyślała.

Podniosła się z łóżka i podeszła do umywalki. W tym właśnie momencie drzwi otworzyły się i do pokoju zajrzała dziewczyna. Była ubrana w lekką, prawie przezroczystą sukienkę z szyfonu i koronek, a włosy opadały jej na ramiona. Ku zaskoczeniu Melindy jej twarz była upudrowana i uróżowana, a rzęsy uczernione.

- Halo! - odezwała się zjawa. - Kiedy tu przyszłaś?

- Wczoraj... wczoraj wieczorem - powiedziała Melinda, wciąż wpatrując się prawie niegrzecznie w niebieskie cienie pod oczami, nienaturalnie różowe policzki i purpurowe wargi.

- Gdzie ona cię złapała? - zapytała dziewczyna. - Na stacji kolejowej? To jej ulubiony numer. Zasuwała ci tę łzawą gadkę o stracie biednej córeczki?

- Nie... nie wiem... o czym pani mówi - wyjąkała Melinda.

- Szybko się dowiesz - powiedziała dziewczyna. - Gdyby nie było za późno, doradziłabym, żebyś stąd zwiewała. Ale i tak dam ci pewną radę: po prostu zgadzaj się na wszystko. Ona potrafi być naprawdę nieprzyjemna, jeśli tego nie zrobisz. Będą cię faszerować narkotykami tak długo, aż przestaniesz ci na cokolwiek zależeć.

- O czym ty mówisz? O co ci chodzi? - zapytała ostro Melinda.

Z dołu dały się słyszeć jakieś głosy i tajemniczy gość wycofał się szybko na korytarz.

- Poczekaj! - krzyknęła Melinda. - Poczekaj! Powiedz mi...

Ale już było za późno. Usłyszała twardy teraz i przykry głos pani Harcourt, która pytała:

- Co tu robisz, April? Kto ci pozwolił wejść do tego pokoju?

- Szukałam pani, madame.

- Nie mam teraz czasu - rzekła pani Harcourt. - Cokolwiek masz mi do powiedzenia, możesz z tym poczekać.

- Dobrze, madame. To wcale nie było takie ważne.

April - jeśli rzeczywiście takie było jej imię - zostawiła uchylone drzwi. Melinda słyszała każde słowo i była przerażona. Nie bardzo rozumiała, co się tu dzieje. Wiedziała tylko, że się boi i chce uciekać.

Mniejsza o pięćset gwinei, mówiła sobie, powiem pani Harcourt, że chcę zaraz odejść. A wtedy przypomniały jej się słowa April: „Po prostu zgadzaj się na wszystko. Ona potrafi być naprawdę nieprzyjemna, jeśli tego nie zrobisz...” Z drugiej strony, mając pięćset gwinei, mogłaby być niezależna. Tak czy inaczej, musi najpierw je zdobyć, a potem ucieknie; chociaż nie była pewna, dlaczego czy przed czym...

Trzy godziny później Melinda znajdowała się w wytworknym magazynie przy Bond Street; miała wrażenie, że nogi uginają się pod nią. Zrezygnowała z zadawania pytań, przestała dociekać, dlaczego musi mieć tyle strojów, czy nawet troszczyć się o to, kto za nie zapłaci.

Kiedy pani Harcourt przywiozła ją do tego magazynu, Melindzie wydało się, że jego właścicielka, madame Mercier, w mgnieniu oka zorientowała się w sytuacji.

- Widzę, że panienka będzie potrzebowała sporo rzeczy - powiedziała znacząco do pani Harcourt.

- Ale suknia ślubna, madame, musi być bardzo dystyngowana - nalegała pani Harcourt. - Taka właśnie, jaką włożyłaby elegancka dama. Rozumie pani?

- Doskonale! - odrzekła pani Mercier, kiwając ze zrozumieniem głową.

- Tak samo suknie na kilka następnych dni. Oczywiście, muszą być atrakcyjne, bo inaczej stałyby się później bezużyteczne, lecz także zdecydowanie dystyngowane i wytworne.

- Proszę zostawić to mnie, pani Harcourt - powiedziała pani Mercier,

- Przyszłam do pani, madame - ciągnęła pani Harcourt - ponieważ ubiera się tu tyle osób z elity. Mówiono mi, że księżna Melchesteru wszystkie swoje suknie nabywa właśnie tutaj.

- To prawda - potwierdziła pani Mercier. - A oprócz niej także lady Carrington i lady Alicja St. Helier. To prawdziwa piękność.

- Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że w porównaniu z obowiązującymi zwykle u pani terminami jest to szaleńczy pośpiech - powiedziała pani Harcourt - ale ta suknia ślubna oraz toalety na następne dwie doby muszą być gotowe natychmiast.

- To niemożliwe! - wykrzyknęła pani Mercier, wznosząc w przerażeniu ręce ku niebu.

- Wiem i dlatego cena nie ma znaczenia - odparła pani Harcourt.

Oczy dwu kobiet spotkały się.

- W tej sytuacji - ustąpiła pani Mercier - rzeczywiście mogłabym dysponować suknią ślubną, którą zamówiono dla córki hrabiny Lansdown. To bardzo ładna dziewczyna, wychodzi za mąż za trzy tygodnie. Ma przyjść do ostatniej

miary w przyszły piątek. Przypuszczam, że do tego czasu moglibyśmy uszyć drugą suknię.

- A więc proszę nam pozwolić ją przymierzyć - zaproponowała pani Harcourt.

Madame Mercier klasnęła w dłonie i za kilka minut Melinda patrzyła z niedowierzaniem na swe odbicie w zwierciadle. Nie myślała nigdy, że tak wiele zależy od stroju, że może wyglądać tak wytwornie, a zarazem eterycznie. Bardzo obfita koronkowa spódnica, przystrojona wstążkami i pękami kwiatów pomarańczy, uwydatniała szczupłość jej talii; koronki i kwiaty pomarańczy zdobiły także głęboko wydekoltowany obcisły stanik z krótkimi bufiastymi rękawami.

- Śliczna jak obrazek! - wykrzyknęła pani Mercier. - Mogę ci powiedzieć, młoda damo, że prawdziwa panna młoda, która miała włożyć tę suknię, nie jest ani w połowie tak powabna jak ty.

- Dziękuję pani - powiedziała Melinda.

Wciąż czuła się zakłopotana, kiedy bowiem zdjęła swoją suknię, pani Mercier ujrzała jej plecy i wydała okrzyk grozy.

- Co ci się stało, moje biedne dziecko...? - zaczęła, lecz nagle przerwała.

Odwróciła się do pani Harcourt i powiedziała coś głosem pełnym oburzenia, ale tak cicho, że Melinda nie dosłyszała. Pani Harcourt pokręciła przecząco głową.

- Nie, nie, nic podobnego - rzekła. - Ta młoda dama przybyła do Londynu dopiero wczoraj wieczorem. Znalazłam ją na dworcu kolejowym, zagubioną i zdezorientowaną. Szukała jakiegoś taniego, przyzwoitego noclegu, a ja z największą przyjemnością zaprosiłam ją do siebie.

Wargi pani Mercier zacisnęły się w krzywym uśmiechu.

- Jestem pewna, że zaprosiła ją pani z przyjemnością, madame - powiedziała głosem, w którym pobrzmiwała nuta

sarkazmu. - No cóż, w każdym razie trzeba będzie podnieść plecy tej sukni, żeby nie było widać ran.

- Welon z pewnością zakryje większość z nich - podsunęła pani Harcourt.

- O tak, rzeczywiście, zapomniałam o welonie - zgodziła się pani Mercier. - Lecz w sukniach wieczorowych plecy trzeba będzie podnieść.

- Te ślady znikną. Zawsze schodzą po pewnym czasie. - stwierdziła pani Harcourt. Następnie, zwracając się do Melindy, zapytała: - Co takiego zrobiłaś, dziecko, że wymierzono ci tak surową karę?

- Stryj rozgniewał się na mnie, ponieważ nie byłam mu posłuszna - odpowiedziała Melinda rumieniąc się.

Pani Harcourt nie rozwijała tego tematu i Melinda uspokoiła się. Nie miała zamiaru wyjawiać nikomu obcemu, dlaczego uznała, że musi uciec z domu. Poza tym doszła do wniosku, że pani Harcourt nie jest tak naprawdę zainteresowana jej wyjaśnieniami.

Stało się dla niej oczywiste, że w tej konkretnej sytuacji jej osoba nie ma żadnego znaczenia, że jest po prostu manekinem, na którym pani Mercier może prezentować swoje wyroby. Właścicielka magazynu najwyraźniej miała tylko jeden cel - sprzedać jak najwięcej sukien, pani Harcourt chciała zaś ich kupić możliwie dużo. Melinda nie rozumiała, w czym rzecz, i po pewnym czasie przestała się tym trapić. Nalegała tylko, aby suknie nie miały zbyt głębokiego dekoltu.

- Ależ, mademoiselle, nie będziesz wtedy elegancka! - zaprotestowała pani Mercier.

- Nie dbam o to, czy będę elegancka, czy nie - oświadczyła Melinda. - Nie sądzę, żebym nosiła choćby połowę tych sukien. Ale gdyby do tego doszło, nie włożyłabym sukni tak głęboko wyciętej jak ta.

Mówiąc to podciągnęła suknię na swe małe, krągłe piersi.

- Nieco więcej tiulu i trochę wstążek podniesie ją o dwa do trzech cali, jeśli tak sobie życzysz - powiedziała pani Mercier i spojrzała na Ellę Harcourt, jakby szukając u niej poparcia.

- Młodość i niewinność są zawsze urocze i bardzo pociągające - stwierdziła pani Harcourt.

Kiedy madame Mercier dawała krawcowej dokonującej przymiarki polecenie podniesienia stanika sukni tak, jak żądała Melinda, na jej wargach znowu pojawił się ów krzywy uśmiech.

W końcu zabrakło czasu na dalsze przymiarki, co Melinda przyjęła z ulgą.

- To wszystko trzeba dostarczyć na Grosvenor Square dziś po południu - oświadczyła pani Harcourt.

- Grosvenor Square! - W głosie pani Mercier zabrzmiała teraz wyraźnie nuta zaciekawienia.

- Wiem, że mogę ufać pani dyskrecji - rzekła pani Harcourt. - Nie wolno powiedzieć o tym nikomu ani słowa.

- Swoją obecną klientelę pozyskałam dzięki temu, że wiem, kiedy trzeba mieć usta zamknięte - uspokoiła ją madame Mercier.

- A więc rozumie pani, że jest to największy sekret - powiedziała z naciskiem pani Harcourt. - Do tych ubiorów należy dołączyć rachunki wypisane na nazwisko markiza Charda.

Oczy pani Mercier rozbłysły.

- Ach, markiza, doprawdy! Bardzo dziarski młody człowiek, jak słyszałam.

- Bardzo dziarski - zgodziła się pani Harcourt. - Nie musi się pani troszczyć o zapłatę za wszystko, co wybrałyśmy. Pozostawiam pani, madame, dostarczenie halek i innej bielizny, odpowiednio dobranych do każdej z sukien.

- I bucików? - zapytała pani Mercier.

- Oczywiście, bucików, rękawiczek, torebek. Ponadto jestem zupełnie pewna, że każda elegancka młoda dama powinna mieć szale i płaszcze.

- Wszystko będzie gotowe na czas - obiecała madame Mercier.

- Suknię ślubną weźmiemy ze sobą - powiedziała pani Harcourt - jeśli będzie pani uprzejma ją zapakować, miss Stanyon włoży zaś ten bladobłękitny komplet, który wybrałyśmy na samym początku. Jest niezwykle twarzowy i chociaż kosztuje najdrożej, myślę, że markiz nie będzie żałował takiego wydatku.

- Czy jednak nie powinniśmy go najpierw zapytać o to? - odezwała się Melinda.

Obie kobiety odwróciły się i spojrzały na nią ze zdziwieniem. Ponieważ długo milczała, wyglądało to niemal tak, jak gdyby w ogóle zapomniały o jej obecności.

- Może nie chce, żebym miała tak kosztowne rzeczy - dodała Melinda.

- Zapewniam cię, że będzie zachwycony - zapewniła pani Harcourt z nutą satysfakcji w głosie.

Melinda nadal nie była tego pewna, gdy ubrana w błękitny komplet i stosowny czepek, przyozdobiony małymi błękitnymi piórami strusimi, wsiadała do karety.

- Jesteś zmęczona? - zapytała pani Harcourt.

- Nigdy nie myślałam, że wybieranie strojów może być tak wyczerpujące - odpowiedziała Melinda. - A może to dlatego, że jestem głodna?

- Tak, jestem tego pewna - potwierdziła pani Harcourt. - Ale obawiam się, że kiedy zajedziesz na miejsce, będziesz musiała poprosić lorda Charda o coś do jedzenia. Nie chcę, żebyś w tej chwili wróciła do mojego domu, bo czekają tam na mnie goście, proponuję więc, żebyś pojechała prosto na

Grosvenor Square. Jest jeszcze wczesnie, przypuszczam jednak, że nikt nie zwróci na to uwagi.

- Ach, ale czy nie sprawię kłopotu? - zapytała Melinda. - Na którą godzinę mnie zaproszono?

- Nie martw się o to - uspokajała pani Harcourt, klepiąc ją po ręce. - Wszystko pójdzie doskonale. Musisz tylko nosić te piękne stroje, a kiedy tam przyjedziesz, poprosić pokojówkę, żeby pomogła ci przebrać się w twoją suknię ślubną. Wtedy lord Chard lub jego przyjaciel, kapitan Vestey, wyjaśnią ci, kiedy będziesz mogła wrócić do mnie.

- To bardzo uprzejmie z pani strony... - zaczęła Melinda.

- Jest jeszcze coś, o czym chcę ci powiedzieć - przerwała jej pani Harcourt. - Kiedy będą chcieli wręczyć ci pięćset gwinei, czy nie powiedziałaś kapitanowi Vesteyowi - myślę, że to on zajmie się finansową stroną tego przedsięwzięcia - aby przekazał te pieniądze mnie, a ja przechowam je dla ciebie? Nie byłoby rozsądne, żeby młoda dziewczyna w twoim wieku, nie znająca Londynu ani jego niebezpieczeństw, chodziła po mieście z dużą sumą pieniędzy przy sobie. Po prostu powiedz kapitanowi Vesteyowi, że twoje wynagrodzenie ma przekazać pani Eleonorze Harcourt. Czy będziesz o tym pamiętać? Nie chciałabym, żebyś popełniła jakiś błąd.

- Tak, będę pamiętać - zapewniła Melinda.

- Bądź rozsądną dziewczyną - kontynuowała pani Harcourt - i dokładnie wykonuj to, czego się od ciebie wymaga. Pamiętaj, że twój występ musi być całkowicie przekonujący dla osób, które będą go obserwować. W przeciwnym razie lord Chard przegra zakład, a ty stracisz pięćset gwinei; byłaby to wielka szkoda, nieprawdaż?

- Będę tak przekonywająca, jak tylko potrafię - obiecała Melinda.

- Po prostu będziesz musiała przejść normalną ceremonię zaślubin, ale pamiętaj, że to tylko przedstawienie. Pastor nie będzie prawdziwy, chociaż będzie wyglądał wystarczająco prawdziwie.

Melinda wstrzymała oddech. Przez chwilę ogarnął ją paniczny strach. Dlaczego to robi? Czy to jest słuszne? Czy jest bezpieczne? Od momentu, gdy obudziła się tego ranka, miała poczucie zagrożenia, a teraz wydało się jej, że czyhają na nią jeszcze większe niebezpieczeństwa. To, czego od niej oczekiwano, wyglądało niewinnie, a jednak czuła, że kryje się za tym jakieś drugie dno. Coś, czego nie rozumiała, coś złego.

Chciała krzyknąć, że nie zrobi tego, wiedziała jednak, iż nie ma już odwrotu. Czuła pod palcami delikatny jedwab swej nowej toalety. Naprzeciw niej na siedzeniu powozu leżała suknia ślubna, w którą miała się ubrać. Wszystkie stroje, które zamówiły tego ranka, musiały kosztować setki funtów. Nie mogła się już wycofać, ale bała się, okropnie się bała!

Kareta zatrzymała się. Melinda, zobaczywszy wielkie drzwi frontowe między kolumnami portyku, spojrzała prawie błagalnie na swą towarzyszkę.

- Nie bój się, kochanie - uspokajała pani Harcourt. - Czekają na ciebie. Gdy się to skończy, wrócisz prosto do mnie. Tak, prosto - wszystko już załatwione. Tylko rób to, czego będą od ciebie żądać w danej chwili.

Poklepała ją po ręce, a tymczasem lokaj w liberii ze srebrzystymi, ozdobionymi herbem guzikami, które lśniły u promieniach popołudniowego słońca, otworzył drzwiczki karety. Melinda wysiadła. Od skraju chodnika do drzwi domu rozłożono czerwony kobierzec, na którym postawiła swe stopy w nowych atłasowych pantofelkach błękitnego koloru.

Dwaj inni lokaje stali w sieni po obu stronach drzwi wejściowych. Podszedł do niej siwy kamerdyner, wyglądający bardziej na arcybiskupa niż służącego.

- Jest panienka oczekiwana - powiedział, zanim Melinda zdążyła się odezwać. - Zechce pani pójść tędy.

Poprowadził ją przez długi marmurowy hall. Dostrzegła kątem oka wykwintne meble, zwierciadła w rzeźbionych pozłacanych ramach, kryształowe żyrandole u sufitu. Gdy doszli do końca, nagłym ruchem otworzył przed nią drzwi.

- Młoda lady, milordzie - oznajmił donośnym głosem.

Była to duża sala z rzędami oszklonych szaf pełnych książek. W głębi Melinda spostrzegła dwóch mężczyzn stojących przy kominku. Jeden z nich podszedł, by ją przywitać - wytworny, doskonale ubrany młody człowiek z wąsami i jasnymi, falującymi włosami. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- To bardzo miło z twej strony, że przyszedłaś - powiedział.

- Nazywam się Vestey, Gerwazy Vestey, a to jest mój przyjaciel, lord Chard, któremu zgodziłaś się pomóc.

Melinda spojrzała na drugiego dżentelmena, który nadal stał bez ruchu przy kominku. Przez moment pomyślała, że jest to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziała w życiu, po czym uznała, iż ma wygląd raczej rozpustny i cyniczny. Był gładko ogolony, a odgarnięte do tyłu ciemne włosy odsłaniały szerokie, prostokątne czoło, którego kształt harmonizował z kanciastością silnie zarysowanego podbródka. Jego oczy zdawały się badać ją dokładnie, jak gdyby była koniem, rejestrując charakterystyczne cechy jej postaci i wędrując po całym ciele, aż odczuła zakłopotanie, a następnie niechęć.

Prawie odruchowo podniosła głowę i zamiast uciec przed natarczywością tych oczu, przeciwstawiła się im w niemal wyzywający sposób.

- Nazywam się Melinda Stanyon - powiedziała. Lord Chard, jak gdyby nagle przypomniał sobie o dobrych manierach, wyciągnął rękę.

- Dziękuję ci, panno Stanyon, za przyjście mi z pomocą - powiedział. - Sądzę, że wyjaśniono ci okoliczności, które zmusiły mnie do wystąpienia z taką prośbą.

Melinda skinęła głową.

- Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia - powiedział szybko kapitan Vestey. - Myślę, że panna Stanyon chciałaby się przebrać. To zajmie jej trochę czasu, a ty także musisz przywdziać swój strój ślubny.

- Sądzę, że byłoby bardziej uprzejmie, gdybyśmy zaproponowali pannie Stanyon coś do wypicia - powiedział lord Chard. - Nie ma powodu, abyśmy przystępowali do tej radosnej ceremonii w ponurym stanie ducha, nieprawdaż?

- Nie, oczywiście, że nie - zgodził się kapitan Vestey. - Czego się napijesz, panno Stanyon? Szampana?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała Melinda. - Chciałabym... chciałabym prosić o coś do jedzenia. O jakąś kanapkę czy coś innego.

- Dobry Boże! Nie jadłaś lunchu?! - zawołał kapitan. - Oczywiście, zaraz postaramy się o parę kanapek.

- Wolałabym nie jeść ich tutaj - zastrzegła się Melinda, czując, że nie przełknęłaby kęsa. gdyby obaj mężczyźni patrzyli przy tym na nią - ale, jeśli można, proszę je przysłać do tej... sypialni, gdzie będę się przebierać...

Przez cały czas miała nieprzyjemne uczucie, że oczy lorda obserwują ją krytycznie. Na jego wargach dostrzegła coś w rodzaju krzywego uśmiechu, który ją drażnił. Poczuła, że musi się do niego odezwać, powiedziała więc:

- Mam nadzieję, że zrobię wszystko ku pańskiemu zadowoleniu, milordzie.

- Istotnie, ty potrafisz to uczynić - odpowiedział, - Wystarczy na ciebie spojrzeć, aby uświadomić sobie, że będziesz świetna w tej roli.

Kapitan Vestey przeszedł na drugą stronę sali, żeby wydać polecenie służącemu, który zjawił się, wezwany dzwonkiem.

- Wydajesz się raczej młoda, jak na sprawy tego rodzaju - powiedział lord Chard do Melindy.

- Mam nadzieję, że nie wyglądam zbyt młodo - odparła. - Ostatecznie można wyjść za mąż, mając szesnaście lat.

- Można wyjść? - zapytał. - Wnioskuje z tego, że nigdy nie byłaś zamężna?

- Nie, nigdy - odrzekła.

- I nigdy nic pomyślałaś, że zamążpójście byłoby lepsze niż to, co robisz teraz? - zapytał lord Chard.

- Wszystko jest lepsze niż pewien rodzaj zamążpójścia - odpowiedziała Melinda, myśląc o pułkowniku Gillinghamie.

Nuta zdecydowania w jej głosie musiała zdziwić lorda. bo po chwili powiedział: - To brzmi tak, jak gdybyś obawiała się małżeństwa.

- Bardzo się boję - potwierdziła Melinda. Roześmiał się głośno.

- Więc jest nas dwoje - zauważył. - Chodź, wypijemy za to. Gdzie jest ten szampan, Gerwazy?

- Już podaję - odrzekł kapitan Vestey.

Podszedł do tacy, na której stały karafki i duże srebrne wiaderko z lodem i spoczywającą w nim otwartą butelką szampana. Wziął butelkę i napełnił trzy kieliszki musującym winem.

- Chodźcie - powiedział. - Wypijmy toast za udane małżeństwo, którego naprawdę nigdy nie było.

Mówiąc to podał Melindzie kieliszek; wprawdzie nie lubiła szampana, którego spróbowała kiedyś jeszcze ze swym ojcem i stwierdziła, że woli lemoniadę, teraz jednak uznała, iż niegrzecznie byłoby odmówić.

Lord Chard podniósł kieliszek.

- Za moją pannę młodą! - powiedział. - Za kogóż innego mógłbym pić w tej chwili?

- Za was oboje! - wznosił toast kapitan Vestey. - I oboje nie zostali zdemaskowani.

Popatrzyli na Melindę i czekali.

- Za szczęście! - powiedziała, a w jej głosie zabrzmiała nieoczekiwana nuta szczeroci.

Wypiła mały łyk i postawiła kieliszek.

- Chyba lepiej pójdę się ubrać - oświadczyła, zwracając się do kapitana Vesteya. - To zabierze mi trochę czasu.

- Poleciałem pokojówce, żeby ci pomogła - odparł kapitan. - Nie zapominaj, że na razie nikt ze służby o niczym nie wie. - Przerwał na chwilę i spojrzał na przyjaciela. - Rozmawialiśmy już o tym, co powiemy, kiedy przyjedziesz. Kamerdynera poinformowaliśmy po prostu, że oczekujemy młodej damy. Myślę, Gilbertcie, że byłoby wskazane, żebyś teraz oznajmił służbie, iż zamierzasz dzisiaj wziąć ślub. Tak czy owak, dowiedzą się o tym, gdy tylko rozpakują suknię ślubną miss Stanyon.

- We wszystkim zdaję się na ciebie - powiedział lord Chard.

- Bardzo dobrze - zgodził się kapitan Vestey. - Nasz plan, panno Stanyon, jest następujący. Oznajmimy domownikom, że z powodu choroby markizy ślub musi być utrzymany w zupełnej tajemnicy. Służba to zrozumie. Ludzie należący do tej klasy zawsze interesują się bardziej śmiercią niż życiem. Powiemy, że jest absolutnie konieczne, aby wiadomość o tym małżeństwie nie dostała się do prasy, i zażądamy od nich słowa honoru, iż dochowają sekretu. Potem, jak tylko wdowa umrze, ty w jakiś stosowny sposób znikniesz, a my ogłosimy, że zginęłaś w wypadku czy coś podobnego.

- Ale kim jest wdowa? - zapytała Melinda. - I co jej śmierć ma z tym wspólnego?

- Sądziłem, że wszystko ci wyjaśniono - powiedział lord Chard poirytowanym tonem.

- Powiedziano mi tylko, że chodzi o zakład - odparła Melinda - i że muszę przekonująco odegrać rolę panny młodej przed ludźmi, którzy będą obserwować zaślubiny.

Kapitan Vestey spojrzał na markiza.

- No cóż, taka jest mniej więcej sytuacja. Jest to pewien rodzaj zakładu. W grę wchodzi mnóstwo pieniędzy, a ty rzeczywiście musisz sprawić, aby osoby obserwujące ceremonię sądziły, że to prawdziwy ślub. Tylko to się liczy.

Wylękniona twarz Melindy rozpogodziła się.

- To właśnie powiedziała mi pani Harcourt. Nie zrozumiałam, o czym panowie mówili przed chwilą.

- Nie myśl o tym - uspokajał ją kapitan Vestey. - Zawsze gadam mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Po prostu skoncentruj się na tym, co masz zrobić, i pozwól lordowi Chardowi i mnie zatroszczyć się o całą resztę.

- Uczynię to z wielką przyjemnością - zapewniła Melinda.

Skierowała się ku drzwiom, ale tuż przed nimi zatrzymała się nagle.

- Jest jeszcze jedna sprawa, o którą chciałam zapytać - powiedziała. - Kiedy będziecie mi, panowie, wypłacać pieniądze - te pięćset gwinei, o których była mowa - czy mogłabym prosić o wręczenie ich mnie, a nie komuś innemu?

- Ależ oczywiście - odrzekł kapitan Vestey. Melinda zawahała się znowu.

- Zastanawiam się, czy byłoby możliwe złożenie ich w banku na moje nazwisko?

- Nic łatwiejszego ~ odpowiedział kapitan Vestey. - Czy masz swój bank?

- Nie, nie! - zaprzeczyła Melinda. - Ale mój ojciec korzystał z usług banku Coutts. Czy mogłabym umieścić je w tym banku na swoje nazwisko?

- Tak, oczywiście - potwierdził kapitan Vestey. - Nie możesz przecież chodzić po mieście z taką sumą przy sobie.

- Naprawdę bardzo dziękuję - powiedziała Melinda i nagle uśmiech rozjaśnił jej twarz.

Mówiąc te słowa spojrzała na lorda Charda, jak gdyby i jego obejmowała swą wdzięcznością. Uniósł ku niej kieliszek.

- Jesteś prześliczną kobietką - powiedział - i tak wyrachowaną jak one wszystkie. Pasujemy do siebie. Przynajmniej wiemy oboje, na jakim świecie żyjemy.

Pod wpływem tych słów uśmiech zniknął z jej warg. Przez chwilę patrzyła na niego, a potem odwróciła się gwałtownie. Pomyślała, że żal jej dziewczyny, którą ten mężczyzna naprawdę poślubi. Był niesympatyczny, a ponadto miał w sobie coś takiego, co budziło podejrzenie, że jest okrutny, że lubi zadawać ból i niszczyć.

Ponownie odczuła chęć, aby rzucić to wszystko, zapomnieć o pięciuset gwineach, opuścić ten wspaniały dom i poszukać zwyczajnej, choć gorzej płatnej pracy. Ale zaraz przypomniała sobie Nanę. Jak cudownie byłoby pojawić się w chacie w Sussex, gdzie mieszka teraz ze swą siostrą, i przekazać jej wiadomość, że ich rozłąka dobiegła końca, że znów mogą być razem.

- Będę gotowa tak szybko, jak tylko potrafię - powiedziała do kapitana Vesteya, a jej głos był twardy i stanowczy.

Rozdział 5

Ach, panienko, jak panienka ślicznie wygląda!

Młoda pokojówka w krochmalonym czepku i fartuszkę obszytym falbankami klasnęła z podziwu w ręce.

- Dość tego, Gladys - powiedziała ostro jej przełożona, lecz sama dodała: - Ona ma zupełną słuszość. Rzeczywiście, panienka wygląda jak marzenie panny młodej, nie można zaprzeczyć!

Melinda spojrzała w zwierciadło. Trudno jej było uwierzyć, że widzi naprawdę swoje odbicie. Długi welon z brukselskiej koronki, opadający na szerokie spódnice sukni, okalał jej twarz, nadając całej postaci eteryczny, nieziemski wygląd. Była tak drobna, tak delikatna, iż zdawało się, że mogłaby ulecieć w powietrze albo że jest po prostu wytworem czyjejś wyobraźni.

Zastanawiała się, co czułaby w tej chwili, gdyby naprawdę miała poślubić kogoś, kogo by kochała i kto kochałby ją. W głębi duszy zawsze pragnęła się zakochać, drżeć pod dotknięciem mężczyzny, wiedzieć, że należy do niego i że on da jej swoje nazwisko.

Nagle odczuła, że to, co robi, jest kpina z wszystkiego co święte., Zapragnęła być wystarczająco niezależna, by móc powiedzieć, że nie będzie brać udziału w całej tej farsie. Potem pomyślała o Nanie, usychającej z tęsknoty w Sussex u swej siostry, której nigdy nie lubiła. Zamieszkałyby razem w małej chatce, a gdyby rzeczywiście wyszła kiedyś za mąż, wzięłaby nianię ze sobą. Nigdy już nie czułaby się zagubiona i samotna jak w domu stryja.

- Czy możecie poinformować jego lordowską mość, że jestem już gotowa? - zapytała, zdając sobie sprawę, że oczy zwilgotniały jej nieco na myśl o tym, co wycierpiała po śmierci rodziców.

- Natychmiast zawiadomię jego lordowską mość, panienko - powiedziała starsza pokojówka. - A ty, Gladys, doprowadź pokój do porządku.

Wydawszy ten rozkaz, starsza kobieta, która niewątpliwie była trochę służbistką, poszła poszukać lokaja, żeby ten znalazł kamerdynera, tamten zaś przekazał lordowi Chardowi wiadomość od Melindy.

Teraz, gdy przełożona się oddaliła, Gladys mogła wreszcie powiedzieć, co jej leżało na sercu.

- To prawdziwy wstyd, panienko, że nie może panienka mieć wspaniałego ślubu u Świętego Jerzego przy Hanover Square. Gdy miałam wychodne, często stawałam tam, na zewnątrz kościoła, aby przyjrzeć się wchodzącym pannom młodym, ale żadna z nich ani się umywała do panienki.

- Dziękuję, Gladys - uśmiechnęła się Melinda - ale nie chciałabym, żeby na moim ślubie był tłum obcych ludzi wpatrujących się we mnie. Gdybym mogła wybierać, chciałabym mieć ślub bardzo skromny, w małym wiejskim kościółku, w obecności tylko tych osób, które naprawdę kocham.

- To brzmi bardzo miło - powiedziała Gladys w zadumie - ale brać ślub w sypialni nie jest tym samym, czyż nie?

- Ślub w sypialni? - zapytała ze zdziwieniem Melinda.

- Tak, to panienka nie wie? Ślub ma się odbyć w pokoju jej lordowskiej mości. A ona jest tak bliska śmierci, że panna Matthews - pokojówka jej lordowskiej mości - mówi, że nie sądzi, aby przeżyła tę noc.

Melinda poczuła, jak dreszcz przebiega jej po plecach; następnie, odwołując się do rozsądku, powiedziała sobie, że wcale jej to nie dotyczy. Po prostu musi zagrać swoją rolę. Chociaż zakład jest z pewnością w bardzo złym guście, skoro została do niego wciągnięta umierająca kobieta.

Uświadomiła sobie, że jej nieufność wobec lorda Charda przekształca się w żywą niechęć. Chętnie wzięłaby zapłatę i opuściła ten dom. W jego spojrzeniu było coś, czego nie potrafiła nazwać, a co sprawiało, że czuła się kimś nieważnym i pozbawionym wartości.

- Nie pozwolę, żeby mnie dręczył - wyszeptała.

- Co panienka powiedziała? - zapytała Gladys.

- Nic - odrzekła Melinda - jednakże będę zadowolona, kiedy to się skończy.

- Myślę, że panienka czuje się onieśmielona - powiedziała ze współczuciem Gladys, - Jego lordowska mość wcale nie jest taki zły, na jakiego wygląda. Mogę panienkę zapewnić o tym. Zawsze jest uprzejmy dla służby, a w majątku wszyscy go kochają. Wiem, bo urodziłam się w tej posiadłości.

Melinda nie powiedziała nic. Prawie nie słuchała wynurzeń młodej pokojówki.

- Oczywiście, mówią o nim, że jest narwany. Słyszałam, że nazywają go „rozhukany Gilbert”. Ach, panienko! Nie powinnam mówić w ten sposób o jego lordowskiej mości. Ale panienka nie powie o tym pannie Jones, prawda? Odesłaliby mnie na wieś, gdyby panienka to zrobiła.

- Nie, Gladys, nikomu tego nie powtórzę - uspokoiła ją Melinda. - Tak czy owak, ma to niewielkie znaczenie.

- Ale jeśli panienka go kocha, wszystko będzie dobrze, nieprawdaż? - upewniała się.

- Oczywiście - zgodziła się Melinda, nie chcąc zniweczyć wiary i zaufania, widocznych w błyszczących oczach dziewczyny.

- Wiedziałam! - powiedziała z triumfem Gladys. - To samo mówi moja mama: „Poczekaj, aż jego lordowska mość znajdzie żonę! Jej lordowska mość szybko uciszy plotki. Lord się ustatkuje. To wina jego nieszczęśliwego dzieciństwa, że teraz jest taki”.

Słowa Gladys nie zainteresowały Melindy. Oczekiwanie na wezwanie markiza było dla niej przykre i irytujące. Przypuśćmy, że go zawiedzie? Przypuśćmy, iż ujawni, że nie jest to prawdziwy ślub? Wówczas odmówiłby jej zapłaty, i co stałoby się ze wszystkimi tymi sukniami, które zamówiła pani Harcourt? A jeśli nie zechciałby zapłacić także za nie?

W nagłym rozdrażnieniu klasnęła w ręce; w tym momencie otworzyły się drzwi i stanęła w nich starsza pokojówka.

- Jego lordowska mość czeka w błękitnym salonie. Jeden z lokajów zaprowadzi tam panienkę.

- Dziękuję - powiedziała Melinda. - Dziękuję także za pomoc w ubieraniu się.

- To była prawdziwa przyjemność, panienko. Życzę szczęścia! Wszyscy mamy nadzieję, że panienka będzie bardzo szczęśliwa.

- Będzie! Wiem, że będzie! - zawołała Gladys impulsywnie. - Panienka jest taka piękna!

- Dość tego, Gladys! - przerwała jej ostro starsza pokojówka.

Melinda wolnym krokiem wyszła z pokoju. Lokaj czekał na nią u szczytu schodów. Był bardzo wysoki. Przypomniała sobie, jak jej matka mówiła, że w wielkopańskich domach wszyscy lokaje muszą mieć ponad sześć stóp wzrostu. Ten był młody, lecz zdawał się odznaczać opanowaniem i zimną krwią.

- Tędy, panienko, jeśli łaska - powiedział i poprowadził ją powoli w dół po schodach wysłanych miękkim dywanem.

Gdy dotarli do drzwi błękitnego salonu, Melinda nagle odczuła niepokój i uświadomiła sobie, że serce bije jej mocno pod obcisłym koronkowym stanikiem sukni.

To dlatego, że boję się kompromitacji, pomyślała, lecz dobrze wiedziała, że naprawdę boi się ponownego spotkania z markizem.

A on stał w salonie, niezwykle wytworny w swym czarnym surducie, białym jedwabnym fularze na szyi, z białym kwiatem w butonierce. Patrzył na nią, gdy weszła, ona zaś spuściła wzrok i jej ciemne rzęsy dotknęły bladych policzków. Nastąpiła chwila ciszy, spowodowana, jak się domyślała, jej pojawieniem się. Nie miała jednak pojęcia, jaki ją spotka komplement; czekała, trochę drżąc, wsłuchana w głucho uderzenia swego serca.

- Cudowna! Wspaniała! - wykrzyknął markiz, a jego głos wydał się jej szorstki i nienaturalnie hałaśliwy. - Nie mogłabyś lepiej dostosować się do tej roli. Gratuluję ci, moja droga.

- Dam ci kieliszek szampana - odezwał się kapitan Vestey.

Melinda potrząsnęła przecząco głową.

- Raczej nie - powiedziała. - Ja nie... ja nie jestem... do tego przyzwyczajona.

Markiz odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- „Nie jestem do tego przyzwyczajona!” - powtórzył. - To doskonale! Jesteś wspaniałą aktorką. Gdybym miał trochę rozsądku, wynajęłbym ci teatr i zbił fortunę!

Melinda. spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs. Może jest przystojny, pomyślała, lecz nadzwyczaj niesympatyczny pod każdym względem. Nie wiedziała, dlaczego miałby wątpić w prawdziwość jej stwierdzenia, że nie jest przyzwyczajona do szampana, przypuszczała jednak, iż w towarzystwie, w którym się obraca, szampan płynie jak woda.

- Jeśli jesteście gotowi - powiedział kapitan Vestey - to myślę, że powinniśmy pójść na górę. „Pastor” już tam jest.

- Już jest? Lepiej więc nie pozostawiamy go zbyt długo z jej lordowską mością. Mogłaby zacząć coś podejrzewać - zauważył lord Chard. - Jak wchodzimy? Melinda u mego ramienia?

- Myślę, że tak byłoby najlepiej - zgodził się Gerwazy Vestey. - Doktor nakazał jej lordowskiej mości, aby mówiła jak najmniej. Otrzymała jakiś środek pobudzający i dobrze byłoby nie męczyć jej przed ceremonią.

- Przed uzyskaniem jej podpisu... - powiedział markiz.

Postawił swój kieliszek i wtedy Melinda uświadomiła sobie, że musiał sporo wypić. Nie był pijany, ale - jak to zwykł żartobliwie nazywać jej ojciec - „troszeczkę podchmielony”.

Całe szczęście, że nie jestem jego prawdziwą żoną. pomyślała Melinda, gdy przyjąwszy podane jej ramię, szła z markizem przez pokój. Kapitan Vestey otworzył im drzwi. Weszli po szerokich schodach na podest, po którego drugiej stronie znajdowały się wielkie mahoniowe drzwi.

- Jesteście gotowi? - zapytał szeptem kapitan Vestey. - Melindo, wyglądasz czarująco. Nie bój się, po prostu powtarzaj słowa, które będzie wypowiadał „pastor”. Nie musisz robić nic innego.

Melinda nie odpowiedziała, tylko skinęła głową. Jedyne czubki jej palców spoczywały na ramieniu lorda Charda, lecz mimo to czuła, że całe jego ciało jest napięte. To wiele dla niego znaczy, pomyślała i zadała sobie pytanie, jak wysoka musi być stawka zakładu, skoro mężczyzna z tej sfery tak to przeżywa.

Drzwi otworzyły się. Pokój był pogrążony w mroku, zasłony na oknach zaciągnięto. Po kilku jednak krokach Melinda zaczęła widzieć zupełnie wyraźnie. Po lewej stronie komnaty znajdowało się ogromne łóżko pod baldachimem. Siedziała w nim, podparta niezliczonymi poduszkami, bardzo

stara kobieta. Oprócz niej w pokoju byli dwaj mężczyźni; Melinda domyślała się, że jeden z nich jest lekarzem. U stóp łoża, czekając na nich, stał „pastor”. Jego biała komża jaśniała w mroku.

W całkowitym milczeniu stąpali krok po kroku, aż stanęli tuż przed „duchownym”. Stara kobieta obserwowała ich z łoża. „Pastor” cichym głosem rozpoczął ceremonię. Melinda miała wrażenie, że on również jest napięty i niespokojny, pomyślała jednak, iż jeśli gra rolę, to gra ją dobrze.

Modlitwy rozpoczynające obrzęd zaślubin zostały znacznie skrócone i wkrótce nadszedł decydujący moment.

"Czy ty, Aleksandrze Gilbercie Fredericku Johnie, bierzesz tę kobietę, Melinę, za swoją żonę? Aby dochować jej wierności w bogactwie i ubóstwie, w chorobie i zdrowiu, dopóki śmierć was nie rozłączy?"

Markiz powtarzał te słowa powoli, wyraźnie, głosem zupełnie beznamietnym. Melinda czuła, że zaczyna drżeć. Było to zbyt realne, zbyt przerażające. Nie patrzyła na markizę, lecz wiedziała, że przez cały czas obserwuje ich ona z łóżka; zdawała sobie sprawę z panującej w pokoju ciszy i z napięcia obu mężczyzn. Drżały jej kolana; czuła, że nie potrafi wyrzec tych słów - tych świętych słów, które zawsze pragnęła powiedzieć komuś, kogo by kochała.

Jak gdyby odgadując, co się z nią dzieje, markiz nagle wyciągnął rękę i ujął jej dłoń; poczuła siłę jego palców przez cienką koronkową rękawiczkę. Uścisk ten był ciepły, mocny i w jakiś sposób podtrzymujący na duchu.

On myśli, że nie dotrzymam słowa, że się załamie, pomyślała Melinda, i wtedy z pomocą przyszła jej duma. Jak to już często bywało.

„...w bogactwie i ubóstwie, w chorobie i zdrowiu, dopóki śmierć nas nie rozłączy... Przysięgam...”

Jej głos był cichy, lecz zupełnie wyraźny. Gdy mówiła te słowa, zamknęła oczy, przenosząc się myślą do małego kościółka w rodzinnych stronach, gdzie była drużką na ślubie swej kuzynki.

„Pastor” pobłogosławił obrączki i za chwilę poczuła, że markiz jedną z nich wsuwa jej na palec. Uklękli, a „duchowny” udzielił im „błogosławieństwa”.

O Boże, wybacz mi to oszustwo, modliła się Melinda. Z pewnością jest to grzech, ale wydawało mi się, że wystarczy zrobić tak niewiele, żeby dostać tak dużo pieniędzy. Wybacz mi!

Trwała jeszcze w modlitwie, kiedy poczuła, że markiz pomaga jej wstać.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała. Odwrócił się od niej w stronę łóżka.

- Gilbercie, czy zapomniałeś? - dobiegł ich z cienia ostry starczy głos.

- O czym, madame? - zapytał markiz.

- Pocałować pannę młodą. Z pewnością wiesz, że taki jest obyczaj.

- Oczywiście. Zapomniałem.

Markiz zwrócił się ku Melindzie. Poczowała, że przyciąga ją ku sobie. Chcąc uniknąć pocałunku w usta, odwróciła głowę tak, że jego wargi dotknęły tylko jej delikatnego policzka.

- Ty nazywasz to pocałunkiem? - zachichotała stara kobieta. - Za moich czasów mężczyźni nie byli takimi niedołęgami.

- Osiągnęłaś to, na czym ci zależało - odparł markiz - Czyżbyś chciała wprowadzić w zakłopotanie pannę młodą w takim momencie?

- Nie, skądże - zaprzeczyła stara kobieta. - Podejź tu, dziewczyno, niech ci się przypatrzę.

- Z pewnością tego już za dużo dla ciebie - powiedział markiz, spoglądając na lekarza.

- Niczego nie może być za dużo dla kogoś, kto jest umierający - odrzekła macocha. - Chodź tu, Melindo, jeśli takie jest twoje imię.

Melinda usłuchała i podeszła do bocznej krawędzi łóżka. Zobaczyła bladą twarz, zniszczoną wiekiem i chorobą, lecz ze śladami dawnej urody. Stara kobieta spojrzała na nią, po czym wyciągnęła swą chudą kościstą rękę i ujęła jej dłoń.

- A więc poślubiłaś mojego pasierba - powiedziała. - Jesteś dzielną dziewczyną.

Melinda nie odpowiedziała; zdawała sobie sprawę, że oczy starej kobiety badają jej twarz, jak gdyby szukały czegoś szczególnego.

Nagle mężczyzna, który stał po drugiej stronie łóżka, pochylił się i kładąc przed markizą jakiś obszerny dokument, podał jej gęsie pióro.

- Byłoby najlepiej - rzekł - gdyby jaśnie pani podpisała teraz, zanim zanadto się zmęczy.

Stara kobieta zachichotała.

- To jest to, na czym ci zależy, nieprawdaż, Gilbercie? No cóż, ty dotrzymałeś umowy, więc i ja muszę.

Złożyła swój podpis na pergaminie. Melinda usłyszała, jak stojący obok niej markiz wydał ledwo uchwytnie dla ucha westchnienie ulgi. Podpis był nagryzmołony i dość niewyraźny, ale czytelny. Skończywszy markiza oddała gęsie pióro i pergamin mężczyźnie, w którym Melinda odgadła teraz prawnika.

- Zabierz to - powiedziała. - Skończyłam już z dobrami tego świata. Miejmy nadzieję, że na tamten świat nie pójdę z zupełnie pustymi rękami!

- Wszelkie życzenia jej lordowskiej mości zostaną spełnione - oświadczył prawnik. - Czy mógłbym teraz odejść?

- Tak, idź, idź! - rzekła stara kobieta. - To jest chwila dla rodziny, nieprawdaż? - Znów spojrzała na Melindę. - Jesteś bardzo młoda. Czy myślisz, że potrafisz poradzić sobie z moim pasierbem? Jest narowisty i nikt go dotąd nie okiełznał.

- Wprawiasz nas w zakłopotanie, madame! - powiedział porywczo markiz. - Melinda jest nieśmiała; czy można jej mieć to za złe?

- Nie będzie długo nieśmiała, jeśli wyszła za ciebie - odparła stara kobieta z nutą sarkazmu w głosie. Wkrótce jednak twarz jej złagodniała. - Podejdź bliżej, dziecko - zwróciła się do Melindy. - Jest coś, o czym chcę powiedzieć tobie... tylko tobie.

Melinda pochyliła się nad nią, a jej koronkowy welon dotknął pościeli, jak gdyby zasłaniała tę umierającą kobietę i siebie samą przed wzrokiem innych ludzi. Wówczas uświadomiła sobie, że środek pobudzający, który pozwolił markizie dotrzeć do tej chwili, przestaje działać: wyraźnie osłabła, opadła na poduszki, ponieważ jednak miała coś ważnego do przekazania, całą siłą woli, która jeszcze nie całkiem wygasła, zmusiła się do wypowiedzenia tego.

- Bądź dobra... dla niego - wyszeptała tak cicho, że tylko Melinda mogła ją usłyszeć. - Ja... traktowałam go źle... przez całe życie... Chyba dlatego... że byłam zazdrosna... że nie miałam własnego syna... Przez to... trudno mu było... znaleźć szczęście. Ty... nie... możesz... go... zawieść.

- Tak, madame - odrzekła Melinda. Nie mogła powiedzieć nic innego.

- Obiecuj... mi... że będziesz... się... starać.

Jej głos był teraz bardzo słaby i Melinda ledwo ją słyszała.

- Obie... cają... mi.

- Obiecuję.

Usta Melindy wypowiedziały to słowo prawie bez świadomego udziału woli, wiedziała jednak, że stara kobieta

usłyszała je. Na jej bladych wargach pojawił się nagle uśmiech, po czym powieki opadły.

Melinda odstaąpiła od łoża; jej miejsce zajął lekarz.

- Jej lordowska mość śpi - oznajmił. - Ceremonia zaślubin była dla niej, ciężką próbą, lecz bez wahania zdecydowała się ją przejść.

- Zawiadomisz mnie natychmiast, gdyby coś się zmieniło - powiedział markiz.

- Oczywiście, milordzie - potwierdził lekarz. Markiz podał Melindzie ramię. Przez chwilę patrzyła jeszcze na bladą wychudzoną twarz na poduszkach, tak starą, tak zniszczoną, a jednak nadal wyrażającą niezniszczalną indywidualność. Pomyślała, że chciałaby znać markizę w czasach, kiedy nie była tak ciężko chora.

Markiz wyprowadził ją z pokoju, a za nimi podążył kapitan Vestey. W milczeniu zeszli po schodach i skierowali się do biblioteki po drugiej stronie hallu. Promienie słońca wpadały przez okna, za którymi Melinda ujrzała niewielki ogród z tryskającą fontanną. Był tak kolorowy od kwiatów, iż odniosła wrażenie, że ten nagły kontrast zalanego słońcem ogrodu z mrokiem sypialni na górze ma jakiś wzruszający sens o którym nigdy nie powinna zapomnieć. Nie potrafiła wyrazić tego słowami, wiedziała tylko, że sens taki istnieje.

- Na miłość boską, daj mi się czegoś napić! - usłyszała słowa markiza skierowane do kapitana Vesteya.

Odszedł od niej w drugi koniec sali i stał odwrócony tyłem do nich obojga, spoglądając na ogród.

- Napijesz się czegoś, Melindo? - zapytał kapitan. - Chyba nie odmówisz teraz jednego?

- Proszę o szklankę wody - odpowiedziała.

- Ach, nie musisz grać dalej swej roli, kiedy jesteśmy sami - wtrącił szorstko markiz. - To było znakomite! Wspaniałe! Ale teraz kurtyna opadła! Nawiasem mówiąc, jaki

to sekret powiedziała ci moja macocha, że nie wolno mi go było usłyszeć?

Melinda spojrzała na niego i odparła głosem, w którym brzmiała pogarda:

- To było coś, co nie powinno pana interesować, milordzie. Po prostu ostatnie życzenie umierającej kobiety.

Markiz był bardzo spokojny i tylko ich oczy się spotkały. Oboje wiedzieli, że toczą ze sobą coś w rodzaju duchowej wojny. Istniał między nimi jakiś podziemny nurt emocji, z którego każde z nich dobrze zdawało sobie sprawę. Markiz pierwszy odwrócił wzrok.

- Jesteś bardzo apodyktyczna, nieprawdaż? - powiedział głosem, któremu starał się nadać beztroskie brzmienie. - Nie musisz wtrącać się w moje prywatne sprawy tylko dlatego, że podjęłaś się wykonać pewne zadanie i wykonałaś je doskonale.

- Na pewno się nie wtrącam - orzekła dumnie Melinda.

- Chwileczkę, Gilbercie! - przerwał kapitan Vestey. - Oboje jesteście rozdrażnieni i trudno się wam dziwić. Było to dosyć przykre widowisko, ale już się skończyło. Teraz najlepiej będzie, jeśli pójde zwolnić Freda i każę mu opuścić dom. Nie przyprowadzę go tutaj. Gdybyśmy bratali się ze wszystkimi, Bóg wie, co mogliby podsłuchać.

- Mądrze mówisz - pochwalił go markiz. - Nie zapomnij mu zapłacić.

- Już to zrobiłem - uspokoił go kapitan Vestey, kierując się ku drzwiom.

- Pójde się przebrać - powiedziała szybko Melinda, nie chcąc pozostać sama z markizem. - Czy potem będę mogła odejść?

- Ach nie, jeszcze nie! - odrzekł kapitan. - Czy pani Harcourt nie wyjaśniła ci, że byłoby najlepiej, gdybyś pozostała tu, dopóki wdowa nie umrze? Może chcieć cię

widzieć lub coś podobnego, i wydawałoby się jej dziwne, gdyby nie było cię w domu.

- Tak, istotnie - przyznała Melinda. - Ale takie oczekiwanie jest czymś okropnym, nie sądzisz?

- Z twojego punktu widzenia nie musi być okropne - powiedział markiz. - Ostatecznie dla ciebie jest tylko kimś obcym.

- Niemniej jednak jest człowiekiem - odparła Melinda. - Kobieta, która była młoda, która kochała życie, a teraz dochodzi do jego kresu. Kimkolwiek jest umierający, jest to zawsze smutne i trochę przerażające.

Mówiła bardzo cicho, a mimo to nawet w tej wielkiej sali jej słowa były słyszalne. Żaden z mężczyzn nie powiedział nic. po czym nagle Gerwazy Vestey otworzył drzwi, wyszedł i zamknął je za sobą.

Markiz usiadł w fotel przy kominku.

- Jesteś bardzo dziwną dziewczyną - powiedział i Melinda zdała sobie sprawę, że teraz nie drwi. - Chodź tu, chcę z tobą porozmawiać.

- Myślę, że powinnam pójść się przebrać - rzekła porywczo.

- Nie ma pośpiechu - odparł. - Wyglądasz bardzo ponętnie w tej sukni. Przypuszczam, że dobrze o tym wiesz.

Melinda spojrzała w dół na swe obfite koronkowe spódnice przybrane małymi bukietkami kwiatów pomarańczy, spiętymi atłasowymi wstążkami.

- To bardzo piękna suknia - powiedziała. - Najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek widziałam.

- Jesteś bardzo młoda - stwierdził jakby ze zdziwieniem markiz. - Dlaczego robisz tego rodzaju rzeczy?

Melinda pomyślała, że mówi o udawaniu panny młodej.

- Potrzebuję pieniędzy - odpowiedziała po prostu.

- No, oczywiście! - Ton jego głosu zmienił się. - Pieniądze! Pieniądze! Tylko to się liczy, nieprawdaż? Dla ładnej dziewczyny, takiej jak ty, to jest najważniejsze.

Melinda nic nie odpowiedziała. Po chwili dodał:

- Ale dlaczego miałbym się uskarżać? Jestem ci bardzo wdzięczny. Ella Harcourt nie mogłaby wybrać nikogo lepszego do odegrania tej roli.

- Dziękuję - powiedziała Melinda. - A teraz, milordzie, jeśli nie ma pan nic przeciw temu, chciałabym pójść się przebrać.

- Dajesz mi bardzo jasno do zrozumienia, że nie jesteś szczególnie zainteresowana moim towarzystwem - rzekł markiz.

- Nie chciałabym wydać się nieuprzejma - odpowiedziała - skoro jednak prawdopodobnie nigdy się już nie zobaczymy, uważam, że dla nas obojga najlepiej byłoby zapomnieć. Ja będę się starała, chociaż może to być trudne.

- Zapomnieć o czym? - zapytał markiz.

- O tym, co się zdarzyło - powiedziała. - Ja naprawdę myślę, że to, co zrobiliśmy, było złe - oszukaliśmy umierającą kobietę. Kiedy tu przybyłam, oznajmiono mi, że życzy pan sobie, abym udawała pannę młodą ze względu na zakład. Nie mogę sobie wyobrazić, w jaki sposób pańska macocha, markizie, mogłaby wziąć udział w jakimś zakładzie. Sądzę, że się myliłam, że było to coś zupełnie innego.

- Jeśli tyle już powiedziałaś - rzekł ostro markiz - to równie dobrze możesz mi powiedzieć, co podejrzewasz.

- Myślę - ciągnęła powoli Melinda - że człowiek wyglądający na prawnika miał testament pańskiej macochy, a ona, sądząc, że wziął pan ślub, podpisała ten dokument, przekazując panu, jak przypuszczam, mnóstwo pieniędzy.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza - powiedział markiz nieprzyjemnym tonem. - Cóż teraz zamierzasz zrobić? Szantażować mnie?

- Nie wiem, co pan ma na myśli - odrzekła Melinda.

- Wiesz, wiesz - stwierdził szorstko. - To, co powiedziałaś, oznacza, że jeśli nie podniosę wynagrodzenia, które ci obiecałem, pójdziesz na górę i powiesz mojej macosze, iż ślub był upozorowany, a to pozwoli jej unieważnić testament. Czyż nie?

Mówiąc to podniósł się z fotela i stanął przed nią, wysoki i groźny; cedził słowa z pogardą, a jego oczy pociemniały od gniewu. Melinda była bardzo spokojna.

- Nie powinien pan sądzić każdego według siebie, lordzie Chardzie - powiedziała lodowatym tonem. - Myślę, że jest pan skończonym nikczemnikiem, zasługującym wyłącznie na pogardę. Mam jednak nadzieję, że będę mogła opuścić ten dom jak najszybciej i że nigdy już pana nie zobaczę.

Mówiąc to patrzyła mu prosto w oczy, po czym z szelestem spódnic odwróciła się na pięcie i rezolutnie pomaszerowała ku drzwiom.

- Co, u diabła...? - zaczął markiz, lecz jedyną odpowiedzią było głośnie trzaśnięcie drzwiami i odgłos kroków Melindy biegnącej po marmurowej posadzce hallu.

Przez długą chwilę lord Chard stał, patrząc na drzwi, po czym podszedł do tacy z trunkami i nalał sobie dużą porcję brandy. Gdy po kilku minutach wrócił kapitan Vestey, zastał go wpatrującego się w szklanekę takim wzrokiem, jakby zawierała truciznę.

- Melinda poszła się przebrać? - zagadnął kapitan tonem człowieka prowadzącego zwykłą rozmowę.

- Gdzie, u diabła, znalazłeś tę dziewczynę? - zapytał markiz.

- U Kate, już ci mówiłem - odpowiedział kapitan. - Muszę przyznać, że jest fantastyczna! Wygląda na prawdziwą arystokratkę. Przysięgam, że nikt nie dostrzegłby różnicy. Naprawdę pomyślałem sobie, że musi być nieślubnym dzieckiem jakiegoś wielkiego pana. Płynie w niej błękitna krew.

- Po prostu nic nie rozumiem - stwierdził markiz. - Zaczęła mnie pouczać, co dobre i słuszne. Sądziłem, że chce mnie szantażować, ale wydaje się, iż jestem skończonym draniem, że w ogóle przyszło mi coś takiego do głowy.

- No, muszę powiedzieć - zauważył kapitan Vestey - że byłeś dość antypatyczny, odkąd ona tu przybyła. Wiem, miałeś powody do rozdrażnienia, ale kobiety tego pokroju wymagają trochę komplementów, całowania rączek; zresztą nikt nie wie o tym lepiej od ciebie.

- Wydaje się, że ona nie należy do tego typu kobiet - odparł markiz.

- Ach, nie martw się - powiedział kapitan Vestey. - To miła kobietka, a jeśli spróbuje jakichś sztuczek, Kate sobie z nią poradzi.

- Tak, przypuszczam, że sobie poradzi - zgodził się markiz, ale ton jego głosu świadczył, że miał co do tego wątpliwości.

- Nie bądź taki przygnębiony - dodawał mu otuchy kapitan Vestey - Głowa do góry! Wszystko już za nami. Jeszcze raz udało ci się w końcu dokonać rzeczy niemożliwej. Masz do tego talent, Gilbercie!

Nastąpiła chwila ciszy, po czym markiz powiedział:

- Możesz mi nie uwierzyć, lecz ta dzierlatka sprawiła, że jest mi cholernie nieprzyjemnie. Do diaska! Czuję się jak łajdak. Nie doznawałem czegoś takiego od czasu, gdy w Eton przyłapano mnie na oszukiwaniu.

Kapitan Vestey popatrzył na niego.

- To do ciebie nie pasuje, Gilbercie. Jeśli masz wyrzuty sumienia z powodu oszukania macochy, przypomnij sobie, jak cię traktowała przez całe twoje życie. Obcięła ci kieszonkowe; kazała sprzedać konie na zapłacenie twoich długów; źle się o tobie wyrażała przed twym ojcem. Nie uwierzyłbym w połowę historyjek, które mi o niej opowiadałeś, gdybym nie widział tego na własne oczy. Nie cierpiałem, kiedy zapraszałeś mnie do Chardu. To przez nią czułem się tam źle: zawsze potrafiła ugodzić cię w czułe miejsce.

- Wiem - powiedział markiz - ale teraz jest umierająca i myślę, że nie powinienem jej oszukiwać.

- Ludzie nie stają się święci tylko dlatego, że są umierający - stwierdził kapitan Vestey. - Ona jest równie jadowita teraz, jak była przedtem, i mogę się z tobą założyć, że jeśli wyzdrowieje, nazajutrz wszystko odwoła, unieważni testament i będzie trzymać cię w niepewności przez następnych dwadzieścia lat.

Markiz nie odrzekł nic; siedział i nadal wpatrywał się w nietkniętą szklanekę brandy.

- Ach, głowa do góry - powiedział kapitan Vestey. - Nie mogę sobie wyobrazić, co powiedziała ta mała ulicznica, że tak cię to wyprowadziło z równowagi. Nie zapominaj, że twoja macocha zrobiła dokładnie to samo co ty, gdy umierał twój ojciec: w ostatniej chwili nakłoniła go do podpisania testamentu, w którym wszystkie pieniądze zostawił jej. Był już zbyt zramolały, lub zbyt słaby, żeby odmówić. To jest sprawiedliwa zapłata! Gdybyś tego nie zrobił, Chard zostałby wystawiony na licytację, a wiesz, co oznaczałoby to dla wszystkich starych domowników, dzierżawców i innych, którzy pracowali tam od pokoleń.

- To oznaczałoby, że Chard musiałby pójść w obce ręce - powiedział cicho markiz.

- Czym więc się martwisz? - zapytał kapitan Vestey. - Metoda może i była trochę wątpliwa, lecz motyw najzupełniej słuszny. I tylko to się liczy. Teraz miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli siedzieć tu zbyt długo. Potem wsadzimy gołąbeczkę z powrotem do gołębnika i wyjedziemy na kilka miesięcy za granicę. Paryż mógłby być zabawny! Co ty na to? Pamiętasz Desiree? Na Boga, to był ubaw!

- Im szybciej opuści ona ten dom, tym lepiej - powiedział markiz.

- O kim mówisz? - zapytał kapitan.

- O tej dziewczynie - odrzekł markiz. - Kate może nią dysponować, tą małą złością! Ale z drugiej strony, ona nie chciała więcej pieniędzy. . Nie rozumiem tego!

Rozdział 6

Podczas obiadu panowała przykra atmosfera. Melinda ciągle wracała myślą do umierającej na górze kobiety i trudno jej było skupić uwagę na konwersacji.

Markiz był wyraźnie w złym nastroju i machnięciem ręki odprawiał większość lokajów wnoszących wspaniałe egzotyczne dania" na srebrnych, ozdobionych herbem półmiskach. Natomiast jego kielich z rżniętego kryształu z wyrytym herbem Chardu często był napełniany przez jednego ze strojnych w liberię służących.

Kapitan Vestey dokładał wszelkich starań, aby poprawić atmosferę. Rozmawiał z markizem, próbował także zabawiać Melinę, wyjaśniając jej, kim są ludzie, o których mówili, i opisując miejsca, które odwiedzili. Raz czy dwa razy udało się mu pobudzić ją do śmiechu, lecz cały czas była świadoma cynicznego wyrazu twarzy gospodarza i jego ponurego nastroju.

Po pewnym czasie zamilkł także kapitan Vestey. Na koniec lokaje wnieśli półmiski z sewrskiej porcelany pełne ogromnych brzoskwiń, purpurowych winogron i zielonych fig.

- Czy to owoce wyhodowane w oranżeriach Chardu? - zapytał kapitan, aby przerwać kłopotliwe milczenie.

- Oczywiście - odparł szorstko markiz. - Nie przypuszczasz chyba, że jadłbym to paskudztwo, które sprzedają w sklepach?

Znowu zapadła cisza. Wreszcie kapitan Vestey powiedział:

- Posłuchaj, Gilberte, nie możemy tutaj tak siedzieć, pogrążeni w czarnych myślach. Dlaczego nie mielibyśmy pójść na przyjęcie do Sebastiana? To kameralna impreza i jest mało prawdopodobne, żeby obecni tam ludzie wiedzieli, czy twoja macocha czuje się dobrze, czy źle.

- To nie byłoby stosowne - zaprotestował markiz.

- Przypuszczalnie masz rację - zgodził się kapitan Vestey.
- Ale kto się o tym dowie? W dodatku Melinda trochę się rozerwie. Musi się straszliwie nudzić, słuchając, jak docinamy sobie nawzajem.

Markiz uniósł brwi.

- Myślisz, żeby wziąć Melinę? - zapytał niemal tak, jakby jej przy tym nie było.

- Dlaczegoż by nie? - zapytał kapitan Vestey. - Przypuszczam, że spotka tam niektórych swych przyjaciół.

- Nie mam w Londynie żadnych przyjaciół - wtrąciła szybko Melinda.

- Czas więc, żebyś znalazła paru - odrzekł kapitan Vestey, zdecydowany postawić na swoim.

- A zatem dobrze - powiedział markiz, wstając z krzesła. - Idziemy.

Melinda podniosła się powoli. Usłyszała, jak kamerdyner mówi prawie z oburzeniem:

- A porto, milordzie?! Nie napije się jaśnie pan porto?

- Nie, nie potrzebuję niczego więcej - powiedział markiz, jak gdyby podejmował ważną decyzję.

Gdy Melinda opuszczała jadalnię w towarzystwie obu dżentelmenów nie mogła powstrzymać się od uśmiechu na widok twarzy kamerdynera. Etykieta została pogwałcona: nie wycofała się, jak było w zwyczaju, do salonu, a dżentelmeni nie pozostali przy stole, żeby wypić swoje porto.

Gdy doszli do hallu, kapitan Vestey zwrócił się do niej:

- Będzie ci potrzebne jakieś okrycie.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Pójdę na górę i wezmę szal.

Pobiegła do swej sypialni, myśląc o tym, jak dziwne stało się nagle jej życie. Spodziewała się, że ten wieczór spędzi w jakimś tanim pensjonacie, jedząc skromny posiłek wraz z innymi stołownikami i zastanawiając się, na jak długo

wystarczy jej cennych gwinei, które zabrała z sekretarzyka stryjenki. Tymczasem zjadła obiad podany w takim stylu, że nawet najbardziej oficjalne przyjęcia u sir Hektora wydały jej się teraz skromne i mało ważne. Potrawy były znakomite.

Markiz musi być bardzo bogaty, pomyślała Melinda i resztki dokuczliwego poczucia winy, że wydała tyle jego pieniędzy, zdawały się szybko słabnąć.

Zastanawiała się, czy to z powodu wyrzutów sumienia, czy też ze względu na zły humor markiz unikał jej spojrzenia, mówił tak, jakby jej nie było, i zupełnie niepotrzebnie okazał niechęć do wzięcia jej na przyjęcie. Tłumaczyła sobie, że być może myślał o jej reputacji, miała jednak co do tego wątpliwości. Ostatecznie w tym obcym mieście, gdzie nie знаła nikogo, nie było powodu, aby ona sama lub ktokolwiek inny troszczył się, czy to, co robi, jest zgodne z przyjętymi zwyczajami.

Wykrzywiła się trochę do swego odbicia w lustrze.

- Jak cię widzą, tak cię piszą! - powiedziała głośno. - Z drugiej strony, jak mawiała Nana, jest w tym wszystkim pewien sęk. Nic mi jest w pełni doskonałe.

Tym sękiem było dla niej zachowanie markiza. Zupelnie go nie rozumiała. Z niczym podobnym nie spotkała się u żadnego z mężczyzn, których znała przedtem. Wyglądało to tak, jakby ją lekceważył, a jednocześnie odnosił się do niej prawie wrogo. Nie potrafiła sobie tego wyjaśnić.

Tak czy owak. czym tu się przejmować? - pytała siebie z gniewem. Ma pięćset gwinei. Co najmniej przez rok lub dwa mogłyby żyć z Naną bez żadnych trosk. Wiedziała, że jest niegodziwością pragnienie, żeby ta biedna stara kobieta, przed którą odegrała farsę zaślubin z markizem, nie pożyła długo. Jednocześnie marzyła, by jak najszybciej wyrwać się z tego domu i zniknąć w otaczających go ciemnościach ze

świadomością, że nigdy więcej nie będzie musiała ujrzeć lorda Charada.

Nagle zdała sobie sprawę - co było dla niej pewnym wstrząsem - że od dłuższego czasu wpatruje się w swe odbicie w lustrze. Nie dostrzegała wdzięku i piękna nowej sukni, która podkreślała kształty jej młodego ciała, ani wykwintnej fryzury, dzieła rąk jednej z pokojówek, widziała tylko udrekę w swych oczach, których wyraz zmieniał się nieustannie. W tej chwili były to dwa ciemne jeziora, w których odzwierciedlał się wewnętrzny - konflikt.

- Wolna! Muszę być wolna! - szepnęła, po czym zastanowiła się nad tymi słowami.

Uciekła od stryja; z pewnością nie domyśla się on, że należałoby jej szukać na Grosvenor Square. Uciekła od przymusowego małżeństwa z pułkownikiem Gillinghamem. Teraz, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, zarobiła dużą sumę pieniędzy. Za kilka godzin powinna być w drodze do Sussex, gdzie w ramionach Nany znajdzie pociechę i bezpieczeństwo.

Kiedy pomyślała o tym, uśmiech pojawił się na jej twarzy; wzięła z szafy jakiś szal i zbiegła po schodach tak radośnie, - jak dziewczyna udająca się na swój pierwszy bal. Dopiero gdy znalazła się w hallu, spostrzegła, że szal z bladoniebieskiego aksamitu jest podszyty gronostajami. Pomyślała, że jest to jedna z bardziej kosztownych ekstrawagancji pani Harcourt.

Kapitan Vestey wziął szal z rąk Melindy i okrył nim jej ramiona.

- Wyglądasz prześlicznie. - powiedział.

- Naprawdę? - Jej zdziwienie było zupełnie szczere; po czym zarumieniła się nieco, gdy kapitan odpowiedział:

- Bez wątpienia widziałaś swe odbicie w zwierciadle. Zapewniam cię, że w tym domu nigdy nie otaczało ono twymi ramami piękniejszego obrazu.

- Dziękuję - rzekła cicho Melinda. Spuściła wzrok, a jej ciemne rzęsy dotknęły policzków.

Było bardzo przyjemnie zbierać pierwsze w życiu komplementy. Jednocześnie miała poczucie, że są trochę przesadne i zbyt bezceremonialne. Było to rozszczepianie włosów na czworo, a jednak tlił się w niej jakiś niepokój.

- Powóz czeka przed bramą, milordzie!

Donośny głos kamerdynera uwolnił Melinę od dalszego udziału w tej rozmowie. Po czerwonym chodniku, rozciągniętym od drzwi pałacu aż do skraju jezdni, przeszła do wytwornego zamkniętego powozu, zaprzęzonego w dwa siwe konie, których czoła przybrane były czarnymi pióropuszcami powiewającymi na wietrze. Zobaczyła je tylko w przelocie, gdy zajmowała miejsce w miękkim, wyściełanym wnętrzu powozu, lecz mimo to wykrzyknęła impulsywnie do markiza i kapitana Vesteya, którzy także zasiedli już w środku.

- Jakie piękne konie! Czy mogłabym jutro zajrzeć do stajni? To znaczy, jeżeli jeszcze nie odejdę.

- Tak, oczywiście - odpowiedział markiz. - Czy umiesz jeździć konno?

- Uprawiam jazdę konną od trzeciego roku życia - odparła Melinda.

- A zatem będziemy musieli zabrać cię do Row - powiedział markiz. - Wszystkie śliczne „ujeżdżaczki” gromadzą się w tym parku pod posągiem Achillesa, o czym zapewne dobrze wiesz.

Melinda spojrzała na niego zdziwiona. Nie wiedziała, co miał na myśli, mówiąc o „ujeżdżaczkach” (W oryginale; horse - breaker - gwarowe dziewiętnastowieczne określenie kobiety towarzyszącej za opłatą w przejażdżkach wierzchem, a także prostytutki uprawiającej jazdę konną (przyp. tłum.)). Pomyślała, że tak się zapewne określa potocznie osobę, która potrafi dobrze jeździć konno.

- Chciałabym nade wszystko przejechać się na jednym z pańskich koni, markizie - rzekła.

- A więc sprawa załatwiona - wtrącił kapitan Vestey. - Weźmiemy cię na konną przejażdżkę, Melindo, a jeśli na koniu wyglądasz tak szykownie jak w wieczorowej sukni, to wszystkie one na twój widok padną jak rząd kręgli.

Mówiąc to spojrział z ukosa na markiza.

- To niezbyt zabawne, Gerwazy - stwierdził lodowatym tonem lord Chard.

- Pomyślałem sobie, że to dość trafne - powiedział kapitan Vestey. Zwrócił się do Melindy. - Przypuszczam, że słyszałaś o słynnej Skittles (Skittles (ang.) - kręgle.).

- Czy ma pan na myśli grę? - zapytała Melinda. Kapitan Vestey zaśmiał się,

- Nie, mam na myśli pewną damę, znaną jako Skittles, gdyż pewnego razu powiedziała kilku oficerom gwardii, że jeśli nie zrobią tego, czego chce, to rozłoży ich wszystkich jak roztracone kręgle.

Melinda starała się okazać zainteresowanie.

- A jak się naprawdę nazywa ta dama? - zapytała.

- Nie, doprawdy! - wtrącił się markiz. - Nie możesz chyba oczekiwać, żebyśmy uwierzyli, iż nigdy nie słyszałaś o Karolinie Walters ani o tym, że nazywają ją Skittles.

- Nie, nigdy o niej nie słyszałam - odpowiedziała Melinda.

W przesuwającej się smudze światła wpadającego przez okienko powozu dostrzegła wyraz niedowierzania na twarzy markiza.

- No wiesz - powiedział nieprzyjemnym tonem - doszedłem do wniosku, że rzeczywiście jesteś skończoną kłamczuchą!

Ton jego głosu, bardziej niż jego słowa, sprawił, że Melinda wyprostowała się i podniosła dumnie głowę.

- Nie mogę zrozumieć, milordzie - powiedziała oficjalnie i zimno - dlaczego pozwala pan sobie mówić do mnie w ten sposób. Zapewniam pana, że mówię prawdę. Nigdy nie słyszałam o panie Karolinie Walters, ani pod jej prawdziwym nazwiskiem, ani pod przydomkiem, którym, jak się zdaje, zwykle się ją określa.

Mówiąc to przeszywała go gniewnym wzrokiem, lecz on bynajmniej nie przejawiał skruchy, siedząc w kącie powozu, wygodnie oparty na poduszkach, z tym swoim zniechęconym uśmiechem na wargach.

- Słuchajcie! Zaczekaj, Gilbercie! - wtrącił się kapitan Vestey. - Jesteś trochę gburowaty, nie sądzisz? Jeśli Melinda mówi, że nie zna Skittles, to dlaczego, u licha, miałyby kłamać?

- Wszystko to jest częścią roli - odparł markiz. - Po prostu nie lubię, jak ktoś bierze mnie za żółtodzioba. Nie można się spodziewać, że przełknę wszystko, choćby to było podane z najbardziej niewinną minką.

- Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego pan sądzi, że mogłabym poniżyć się do kłamstwa - powiedziała Melinda. - I bardzo nie lubię, kiedy się mnie nazywa kłamczuchą.

- Oczywiście, jest tak, jak mówisz - łagodził kapitan Vestey - Dalej, Gilbercie! Przepróż! Nie masz racji, i wiesz o tym.

- Jeśli Melinda istotnie mówi prawdę - odrzekł markiz - to muszę stwierdzić, że jest bardzo nietypowa. Jak, u diabła, mogła być tutaj, w sytuacji, w jakiej się znajduje, i nie słyszeć o Skittles?

- Ech, Gilbercie, uspokój się - perswadował kapitan Vestey. - Jakie to w końcu ma znaczenie, czy było tak, czy Owak? Melinda zapewnia, że nie słyszała o Skittles, ale teraz na pewno jej nie zapomni. Aby wyrównać rachunek, przedstawimy damy sobie.

- A wtedy - dodał markiz - może się dowiemy, czy Skittles słyszała kiedyś o Melindzie!

- Rozumie się, że nie słyszała o mnie - powiedziała Melinda. - Dlaczego miałyby słyszeć? Chciałabym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Myślę, że byłoby chyba lepiej, gdybym nie poszła na to przyjęcie. Proszę, panowie, odwieźcie mnie z powrotem do waszego domu.

- Nie! Nie! - zawołał markiz. - Podejrzewam teraz, że obawiasz się stanąć twarzą w twarz z kobietą, znajomości z którą tak się wypierasz. Znalazłabyś się w kłopotliwej sytuacji, gdyby powitała cię z otwartymi ramionami.

- Sądzi pan, że chcę uciec? - zapytała Melinda.

- A nie chcesz? - odpowiedział pytaniem markiz. Potrząsnęła przecząco głową.

- Oczywiście, my ci wierzymy - wtrącił uspokajająco kapitan Vestey.

- Doprawdy, nie rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi - powtórzyła Melinda.

- Ani ja - dodał markiz trochę zbyt głośno. Melinda westchnęła lekko. Mogła mieć tylko nadzieję, że nie będzie musiała zbyt długo przebywać w towarzystwie lorda Charda. Zaczynała uważać je za niezwykle irytujące.

Na szczęście rychło dotarli do miejsca, gdzie odbywało się przyjęcie. Powóz zatrzymał się przed jasno oświetlonym wejściem, nad którym rozpięta była markiza, po czym Melinda znalazła się w hallu domu, najwyraźniej będącego bogatą, luksusową rezydencją. Odczuła ulgę. Obawiała się bowiem, że markiz i kapitan Vestey wiozą ją do jednej z tych nocnych spelunek, w których, jak słyszała, działy się bardzo gorszące rzeczy. Choć, oczywiście, byłoby niepojęte, gdyby pomyśleli o czymś takim. Doszła jednak do wniosku, że są to bardzo dziwni młodzi ludzie, zupełnie niepodobni do tych, których spotykała, czy to w swoim rodzinnym domu, czy też

w domu stryja, i zaczynała podejrzewać, iż to, co ona uznalaby za oburzające, oni uważaliby za zupełnie normalne zachowanie.

Dom, w którym znajdowali się teraz, był niewątpliwie pałacem jakiegoś dżentelmena. Melindę poprowadzono przez marmurowy hall, oświetlony tuzinami świec palących się w srebrnych kinkietach. Kamerdyner otworzył dwuskrzydłowe mahoniowe drzwi i weszła jako pierwsza do pomieszczenia, które - co natychmiast sobie uświadomiła - było salą jadalną.

Była to ogromna, długa sala, rozciągająca się na całą szerokość domu, jasno oświetlona srebrnymi kandelabrami stojącymi na stole i olbrzymimi żyrandolami zwisającymi z sufitu. Wokół stołu siedziało chyba ponad trzydziestu gości. Zauważyła, że kończyli już obiad, na stole bowiem pozostały jeszcze tylko talerze deserowe,

- Chard, świetnie, że jesteś!

Głośny okrzyk dobiegi ich z końca stołu. Młody człowiek o czerwonej twarzy, z kołnierzykiem nieco już pomiętym wskutek gorąca, pędził ku nim, rozpościerając ramiona.

- To wspaniale, że mogliście przyjść. Już jedliście, jak sądzę. Trudno, napijcie się trochę porto. Podejrzewam, że ta młoda dama chciałaby odrobinę szampana.

Nie czekając, żeby go przedstawiono - co Melinda uznała za dziwne - wziął ją pod rękę i poprowadził do szczytu stołu.

- Posuń się, Arturze - zwrócił się do jednego z gości i dał znak służącym, żeby przynieśli trzy krzesła.

Było dość tłoczno, lecz jakoś przedostali się do stołu. Postawiono przed nimi kieliszki i nalano wina.

Melinda rozglądała się z ciekawością. Pierwszą rzeczą, z której zdała sobie sprawę, był straszliwy hałas - nigdy nie była jeszcze na tak głośnym przyjęciu. Gwar głosów prawie zupełnie zagłuszał dźwięki muzyki płynącej z niszy w odległym końcu sali, gdzie grała orkiestra.

Potem przyjrzała się kobietom i doznała szoku. Wiedziała, że mieszkając cały czas na wsi, musi być zapóźniona zarówno pod względem mody, jak i znajomości eleganckiego towarzystwa. Nie spodziewała się jednak, aby damy mogły ubierać się tak ekscentrycznie czy też używać kosmetyków w sposób tak rzucający się w oczy. Ich mocno uróżowane policzki, uczernione rzęsy i purpurowe usta wyglądały niemal groteskowo; pomyślała także, z uczuciem lekkiego zakłopotania, że nigdy przedtem nie widziała tak głębokich dekoltów.

Rozległy się wybuchy śmiechu, po czym wśród radosnych okrzyków niewielkiej grupy mężczyzn jakaś dama i jakiś dżentelmen podnieśli się z miejsc. Inni goście zakładali się, co ci dwoje zamierzają zrobić. Dżentelmen wziął ze stołu talerz deserowy i zaczął nim balansować na swej głowie. Nagle zapadła cisza: wtedy dama uniosła spódnicę i wymierzyła w górę kopniaka. Nie trafiła w talerz, więc wybuchł huragan śmiechu i okrzyków zachęty.

- Jeszcze raz! Spróbuj jeszcze raz! Trzy do jednego, że chybi! - Jednakże za drugim razem damie się udało. Czubek jej pantofelka trafił w porcelanowy talerz - , który wirując przefrunął przez salę, uderzył w ścianę i rozbił się na kawałki.

- Hurra! Doro, zrób to jeszcze raz! Stawiam dwadzieścia gwinei, że chybi za pierwszym razem!

Melinda poczuła, że się rumieni. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że mogłaby zobaczyć, jak dama robi z siebie takie widowisko, i to na proszonym obiedzie! Dżentelmeni krzyczeli i wstawali z miejsc, aby lepiej widzieć. Dora była zarumieniona, a jej i tak głęboki dekolt powiększył się jeszcze bardziej. Gdy próbowała kopniakami strącić talerz, pokazywała nie tylko nogi, lecz także obszyte falbankami desusy.

Melinda zamknęła oczy. Poczula upokorzenie, jakiego musiała doświadczać nie tylko ta kobieta, lecz także każda inna przy tym stole. Za chwilę, chybiwszy znowu, Dora opadła na krzesło wśród okrzyków rozczarowania.

- Nie mogię... złapać... tchu - sapała. - Niech ktoś... da mi... pić.

Nie było wątpliwości, że mówiła, jak ktoś z niższych sfer, i teraz wreszcie Melinda uświadomiła sobie z uczuciem konsternacji, że nie jest to przyjęcie tego rodzaju, na jakim powinna być obecna.

Zastanawiała się właśnie, co powinna zrobić w tej sytuacji, gdy ich gospodarz, który przedtem wraz z innymi klaskał i dopingował Dore, zawołał;

- Chodźcie tańczyć! Może później Dora spróbuje jeszcze raz!

Tłum lokajów rzucił się uprzętać i wynosić stół. Krzesła odsunięto pod ściany. Gdy wszyscy wstali, podniosła się i Melinda. Wtedy właśnie usłyszała, jak markiz mówi:

- Skittles, myślę, że nie spotkałaś jeszcze Melindy Stanyon. Przypuszczam, że to nowicjuszka w zakonie.

Melinda odwróciła się. Stała przed nią bardzo ładna młoda kobieta. Ubrana była niezwykle sztywnie, a w jej powierzchowności nie było nic rażącego czy wulgarnego. Jasne włosy, rozdzielone pośrodku, układały się w loki po obu stronach niemal klasycznie pięknej twarzy. Melinda wyciągnęła rękę, lecz Skittles nie spojrzawszy nawet na nią, uśmiechnęła się do markiza.

- Gdzie, u diabła, się podziewałeś, mój młody byczku? - zapytała. - Cholerny kawał czasu cię nie widziałam,

Melinda poczuła, że cofa się odruchowo, jakby nagle zmija pojawiła się u jej stóp. Nie spodziewała się nigdy, że usłyszy takie wyrażenia z ust damy. Ale Skittles bynajmniej nie skończyła. Szczebotała dalej, wplatając przekleństwa w

każde zdanie, i nie ulegało wątpliwości, że postanowiła oczarować markiza. Dłoń o długich białych palcach oparła na atlasowej klapie jego wieczorowego surduta; głowę odrzuciła do tyłu, by lepiej ukazać swą piękną długą śnieżnobiałą szyję, a jej niebieskie oczy, urzekające i uwodzicielskie, zaglądały w oczy młodego lorda.

Melinda popatrzyła na nich, a potem, gdy nie zwracali na nią uwagi, odeszła i udało się jej wymknąć do hallu. Nie było tam nikogo. Wszyscy lokaje zajęci byli usuwaniem stołu z sali jadalnej. Otworzyła jakieś drzwi i znalazła się w czarującym saloniku z bladobłękitnymi kotarami z brokatu, dywanem z Aubusson i delikatnymi francuskimi meblami. W pomieszczeniu tym panowała atmosfera pogodnego spokoju.

Melinda usiadła na krześle i próbowała pomyśleć o tym, co się wydarzyło. Zdała sobie teraz sprawę, że me jest to ten rodzaj przyjęcia, na który powinno się zapraszać damy. Potrafiła, sobie wyobrazić, jaka zgroza ogarnęłaby jej matkę, gdyby ujrzała kobietę pokazującą nogi lub usłyszała ordynarne przekleństwa Skittles.

To było przyjęcie przeznaczone dla mężczyzn! Dlaczego więc, ach, dlaczego, markiz i kapitan Vestey przyprowadzili ją tutaj? Z lekkim westchnieniem pomyślała, że chyba dlatego, że nikt nie musi się z nią liczyć. Stryj Hektor traktował ją jak ubogą krewną, jak kogoś, komu się wydaje rozkazy i komu nie wolno mieć własnego zdania; również markiz i kapitan Vestey, ponieważ ją wynajęli, myśleli o niej w ten sam sposób.

Potrafiła to zrozumieć; jednocześnie czuła się głęboko upokorzona. Mówiła sobie, że nie powinna zgodzić się na odegranie takiej roli. Przyjęła stroje od mężczyzny, wiedząc, że żadna przyzwoita dama nie uczyniłaby tego. Ale z drugiej strony, żadna przyzwoita dama nie bywa na ogół bita szpicrutą jak pies i zmuszana do ucieczki w poszukiwaniu własnej drogi

życia, nie mając do obrony przed nędzą nic prócz kilku skradzionych gwinei.

Zobaczyła siebie, aż nazbyt wyraźnie, jako istotę tak nieważną i mało znaczącą, że ludzie nie mogą jej uważać za nic innego, niż za służącą posłusznie wypełniającą rozkazy.

Drzwi otworzyły się i Melinda zerwała się na równe nogi. Wszedł dżentelmen z cygarem w dłoni. Gdy ją zobaczył, wydał się zaskoczony.

- Ach, mam nadzieję, że nie przeszkadzam pani - powiedział. - Przyszedłem tu zapalić.

Nie odpowiedziała, a on kontynuował:

- Czy pani czeka na kogoś, czy też po prostu znudziło panią to przyjęcie?

- Mnie... mnie boli głowa - odpowiedziała pośpiesznie.

- Okropnie przykra rzecz - stwierdził mężczyzna. - Ja też często miewam bóle głowy. Zawsze pojawiają się w najmniej odpowiednim momencie. W ubiegłym tygodniu Skittles powiedziała mi: „Te twoje bóle głowy to cholerne utrapienie! Im szybciej się ich pozbędziesz, tym lepiej!” Poczułem się wtedy tak, jakbym był znowu w szkole i został zwymyślany przez wychowawczynię za to, że mam gorączkę.

- Tak, to jest utrapienie - potwierdziła Melinda.

- Nie chcę pani przeszkadzać - ciągnął dżentelmen. - Proszę usiąść. Coś pani powiem. Nie zapalę cygara - mogłoby to pani zaszkodzić.

- Nie chciałabym sprawić panu kłopotu - powiedziała Melinda.

- To żaden kłopot - odpowiedział, - Lepiej się przedstawię. Nazywam się Hartington.

- Markiz Hartington? - zapytała Melinda. - Chyba słyszałam o panu.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Większość ludzi słyszała! Ale tylko dlatego, że gazety rozpisują się o mnie jako o miłośniku gry w kręgle!

Odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Rozumie pani ten żarcik! I ujdzie on im na sucho. To oszczerstwo, ale ja nie mogę się z nimi procesować.

- Pannę Skittles znajdzie pan w jadalni - powiedziała oschle Melinda.

- Ach, już przyszła, naprawdę? - zainteresował się lord Hartington. - Powiedziała mi, że będzie dopiero po jedenastej. Z kim jest?

- Nie widziałam jej z nikim, tyle tylko, że kiedy wychodziłam, rozmawiała z lordem Chardem - odpowiedziała Melinda.

Pogodna twarz lorda Hartingtona zasepiła się.

- Chard! Cholerny kłopot z tym facetem! Zaczynam podejrzewać, że Skittles czuje do niego coś w rodzaju sympatii. Myśli pani, że on się w niej kocha?

- Ja... ja nie wiem - odrzekła Melinda.

- No, jeśli się kocha, to podetnę mu gardło - powiedział lord Hartington dobrodusznym tonem, który zdawał się przeczyć jego krwiożerczym słowom, po czym westchnął. - Czy była pani kiedyś zakochana?

Melinda przecząco pokręciła głową.

- Więc niech się pani nie zakocha - powiedział. - To diabelnie niewygodna rzecz, mogę coś o tym powiedzieć. Kochasz i nienawidzisz - jeśli wie pani, co mam na myśli. Jesteś szczęśliwy i nieszczęśliwy. Moja rada brzmi - daj temu spokój; oczywiście, jeśli pani potrafi. - Z pewnością będę się starać - stwierdziła Melinda.

- Nie ma pani szans - oświadczył lord Hartington, patrząc na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. - Jest pani zbyt ładna. Mężczyźni będą się kochać w pani i prędzej czy później

pani zakocha się w jednym z nich. Żal mi pani, ale nic nie można na to poradzić.

- Dołożę wszelkich starań, żeby się nie zakochać - obiecała Melinda.

- A ja na pewno zrobię, co będę mógł, żeby się odkochać - roześmiał się lord Hartington. - Proszę mi dać rękę. Umawiamy się. Zgadza się pani?

- Umawiamy się - uśmiechnęła się Melinda.

Wziął jej dłoń i podniósł do ust. Był nieco ociężały, prawie niezdarny, a jednak jego szczerłość wzbudziła w niej mimowolną sympatię.

W chwili gdy całował jej dłoń, do pokoju wszedł lord Chard.

- A więc tu się ukrywasz! - Jego głos miał nieprzyjemne brzmienie. - Przykro mi, że przyjęcie ci się nie spodobało.

Melinda cofnęła swoją rękę z dłoni lorda Hartingtona, z jakiegoś niewiadomego powodu czując się prawie winna.

- Rozboliła mnie głowa - powiedziała.

- Właśnie widzę - stwierdził lord Chard. - Dobry wieczór, Hartingtonie, Skittles czeka na ciebie w sali jadalnej; tak przynajmniej zrozumiałem.

- Czeka na mnie! - Twarz lorda Hartingtona rozjaśniła się. - Muszę zaraz do niej iść.

Zwrócił się ku Melindzie.

- Do zobaczenia, moja droga! Nie zapomnij o naszej umowie.

- Będę pamiętała - obiecała Melinda.

Wyszedł z pokoju. Drzwi zamknęły się za nim z cichym trzaskiem. Melinda spojrzała na lorda Charda. Wydało się jej, że rozmyślnie unika jej wzroku. Przeszedł przez pokój i stanął przy kominku, wpatrując się w ogień.

- Zastanawiam się, dlaczego wyszłaś z jadalni - odezwał się markiz.

Pomyślała, żeby powiedzieć mu prawdę, ale szybko zmieniła zamiar.

- Było tam raczej gorąco i duszno - odparła.

- I szczęśliwym trafem spotkałaś lorda Hartingtona - rzekł ironicznym tonem. - Czy to było wcześniej umówione spotkanie?

- Nie, skądże - zapewniła Melinda. - Nigdy przedtem go nie widziałam. Przyszedł tutaj zapalić cygaro i zastał mnie.

- I wtedy właśnie - powiedział markiz szczególnie nieprzyjemnym tonem - zawarliście waszą małą umowę, nieprawdaż? Czy byłoby brakiem dyskrecji z mojej strony, gdybym zapytał o warunki tej umowy lub o to, czego ona dotyczy?

Melinda poczuła, że rośnie w niej gniew. Jak śmiał mówić do niej takim tonem? I o co ją podejrzewał? Umawiać się na spotkanie, też pomysł! Mógł kupić sobie jej usługi, ale z pewnością nie kupi jej ciała ani duszy!

- Myślę, milordzie - powiedziała, starając się uczynić swój głos tak zimnym i nieprzyjemnym jak jego - że moja umowa, jak ją nazywasz, z lordem Hartingtonem nie powinna pana interesować.

- To mnie cieszy - odparł markiz równie przykrym tonem. - Byłoby, łagodnie mówiąc, nielojalne, gdybyś nie wywiązała się ze swych zobowiązań wobec mnie, zanim wejdiesz w nowe układy z kimś innym.

- Mam nadzieję, milordzie, że wiem, jak zachowywać się w sposób właściwy i przyzwoity - powiedziała Melinda. - I nie zwykłam nie dotrzymywać słowa, niezależnie od tego, komu je dałam.

W jej głosie wyraźnie było teraz słycać gniew; patrzyła na markiza wyzywająco. Ich oczy spotkały się niczym dwaj uczestnicy pojedynku, szykujący się do zadania ciosu. Przez

chwilę zmagaly się w milczeniu, po czym niespodziewanie markiz skapitulował.

- O co właściwie chodzi? - zapytał. - Jutro ta śmieszna farsa skończy się i będziesz wolna.

- Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że to faktycznie będzie jutro - powiedziała Melinda równie zdecydowanym głosem i raz jeszcze zastanowiła się, czy życzenie śmierci innej osobie jest czymś złym.

- A teraz, - zanim nadejdzie ten moment cudownej swobody, jak mógłbym cię zabawić? - zapytał markiz. - Czy wziąć cię do Cremorne'a czy do Motts'a? A może wolałabyś inne towarzystwo? Przypuszczam, że można by to zorganizować bez większego trudu,

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, milordzie, to bardzo chciałabym pójść spać - odpowiedziała Melinda - Obawiam się, że nie jestem w odpowiednim nastroju do przyjęć czy zwiedzania lokali rozrywkowych.

- Wiesz, to jest coś niezwykłego - powiedział markiz zupełnie innym tonem - ale kiedy byliśmy w jadalni i ta kobieta ćwiczyła się w kopaniu, wydało mi się, że wyglądasz na oburzoną i zgorszona. A może to po prostu jeszcze jeden przykład znakomitego aktorstwa?

- Czy naprawdę to pana interesuje? - zapytała Melinda - Płaci mi pan za wykonanie konkretnego zadania. A moje uczucia w tej czy innej sprawie nie mają żadnego znaczenia

- Chcę tylko wiedzieć - nalegał markiz - czy byłaś oburzona?

- Tak, byłam - potwierdziła Melinda.

- Ale dlaczego...? - zaczął, lecz przerwał, gdyż do pokoju wszedł kapitan Vestey.

- Ach, tu jesteś, Gilbercie! - powiedział. - Zastanawiałem się, co się, u licha, z wami stało. Tam robi się bardzo hałaśliwie. Szczerze mówiąc, uważam, iż było błędem, że

widziano cię w takim towarzystwie w tym szczególnym momencie.

- W gruncie rzeczy - odparł markiz - bardziej myślałem o Melindzie niż o sobie.

- Tak, oczywiście - przytaknął szybko kapitan Vestey tonem wskazującym aż nazbyt wyraźnie, że do tej chwili nie pomyślał o Melindzie. - Chodźmy więc wszyscy do domu. A może chcecie pójść jeszcze gdzieś? Myślę, Gilberte...

- Dobrze! Dobrze! Oszczędź mi kazań - powiedział markiz. - Zgoda, przede wszystkim nie powinniśmy tu przychodzić. Teraz wrócimy do domu i dowiemy się, jaka jest sytuacja.

Wracali powozem w milczeniu. Co więcej, było ono tak przygniatające, że Melinda zaczęła się zastanawiać, czy to z jej winy podniecenie i zainteresowanie wieczorem u obu mężczyzn tak szybko się rozproszyło. Kiedy jednak dotarli na Grosvenor Square, zrozumiała, iż było to przeczucie tego, co ich czekało.

- Doktor pytał o waszą lordowską mość - oznajmił kamerdyner. - Jej lordowską mość odeszła z tego świata jakieś dwadzieścia minut temu. Posłałem po pana Smithersa; pomyślałem, że wasza lordowska mość życzyłby sobie tego.

- Tak, oczywiście - powiedział markiz.

Nie spojrzawszy nawet na kapitana Vesteya ani na Melinę, zaczął wchodzić po schodach krokiem powolnym i pewnym.

- Kazałem podać trochę napojów i kanapek, milady, do małego salonu - poinformował kamerdyner.

Melinda wzdrygnęła się słysząc, w jaki sposób zwrócił się do niej. Udało się jej jednak odpowiedzieć: - Dziękuję! - a gdy kamerdyner otworzył drzwi, weszła do pokoju.

W kominku palił się ogień i Melinda odruchowo skierowała się ku niemu. Poczwała nagle, że jest jej zimno;

ponadto zdawała sobie sprawę, że się trochę boi, chociaż nie wiedziała dlaczego. Nadszedł decydujący moment! Nadal była wstrząśnięta i przerażona, chociaż go oczekiwała. Śmierć jest czymś absolutnie ostatecznym, pomyślała, i zastanowiła się, czy rzeczywiście markiz jest tak rozradowany, jak się tego spodziewał.

- Pozwól, że dam ci coś do picia - powiedział kapitan Vestey..

Melinda potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, dziękuję!

- Trochę szampana? - nalegał. - Jesteś blada. Po kanapce z pasztetem poczujesz się lepiej.

- Dziękuję, nie chcę jeść - odpowiedziała - ale chętnie przyjmę szklaneczkę lemoniady.

- Obawiam się, że to dzisiejsze przyjęcie miało charakter trochę prostacki - powiedział kapitan Vestey, nalewając jej lemoniadę. - Nie znoszę, kiedy ludzie coś rozbijają czy dewastują, a ty? Przypuszczam, że w ten sposób odzywa się moja szkocka krew; moja matka jest Szkotką. Nie lubię patrzeć, jak ktoś niszczy piękne rzeczy. Te porcelanowe talerze były warte majątek!

Melinda doszła do wniosku, że po jej wyjściu z sali jadalnej musiało się tam jeszcze wiele wydarzyć. Nie odpowiadając kapitanowi, zapytała:

- Dlaczego Sebastian, czy jak tam się nazywał nasz gospodarz, wydaje przyjęcia tego rodzaju?

- Przypuszczam, że nie spotkałaś go nigdy przedtem? - odparł kapitan Vestey. - Sebastian Hedley jest w ciężkiej sytuacji. Jego żona przebywa w zakładzie dla obłąkanych. Nie może się od niej uwolnić, nie ma następcy ani żadnych szans, aby go mieć. Jediną rzeczą, która go bawi, jest wydawanie mało wytwornych i dość hałaśliwych przyjęć.

- To brzmi dość smutno - zauważyła Melinda.

- Przypuszczam, że pod pewnym względem rzeczywiście jest to smutne - zgodził się kapitan Vestey. - Ale czasami te przyjęcia są zabawne. Dzisiejszego wieczoru sprawy zaszły za daleko; przynajmniej ja tak sędę.

Usłyszeli kroki w hallu. Kapitan Vestey otworzył z trzaskiem drzwi i wyrzwał na zewnątrz.

- Przyjechał stary Smithers - rzekł.

- Kto to taki? - zapytała Melinda.

- Prawnik - odpowiedział kapitan. - Nie zauważyłaś go na ceremonii?

- Ach tak, oczywiście! Ten mężczyzna, który dał markizie testament do podpisania.

- Właśnie ten - potwierdził Vestey. - No cóż, mam nadzieję, że przyniósł testament ze sobą. Gdy tylko Gilbert się dowie, że wszystko w porządku, wszyscy będziemy mogli odetchnąć.

Melindzie nagle przyszła do głowy pewna myśl.

- Czy on zechce, żebym już tego wieczoru opuściła jego dom?

Kapitan Vestey uśmiechnął się.

- Nie, skądże! Gilbert nie jest nieludzki. Poznałaś go od najgorszej strony, kiedy był zupełnie wyprowadzony z równowagi. Wiesz, to wszystko bardzo mu się nie podobało. Myślę, że sprawy tego rodzaju nie podobają się żadnemu porządnemu człowiekowi. Musieliśmy jednak w jakiś sposób ocalić rodzinny majątek. Może nie uwierzysz, ale ta kobieta była tak szalona, że chciała przekazać go na przytułek dla kotów

- Nie... nie wiedziałam, że są przytułki dla kotów - powiedziała Melinda.

- Ani ja - zgodził się kapitan Vestey. - Ale przypuszczam, że ufundowałyby taki przytułek czy coś podobnego. Do

diabła! Za dwa czy trzy miliony funtów można by założyć dla nich całą kolonię.

- No cóż, teraz już wszystko jest w porządku - rzekła Melinda z ulgą.

- Dzięki tobie - stwierdził kapitan Vestey. - Byłaś naprawdę wspaniała. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby jakakolwiek inna kobieta mogła to zrobić równie dobrze.

- Dziękuję - odpowiedziała. - Ale nie było to takie trudne. Dręczyła mnie tylko myśl, czy aby nie powinnam odmówić panom pomocy.

- Nie powinnaś - orzekł kapitan Vestey. - I myślę, że Gilbert powinien ci być ogromnie wdzięczny. W gruncie rzeczy wiem, że jest ci wdzięczny, nawet jeśli tego nie mówi.

- Nie chcę jego wdzięczności - odparła Melinda. - Chcę tylko odejść. Przenocuję tu i odejdę bardzo wczesnie rano. Czy może mi pan to załatwić?

- Tak, oczywiście - zapewnił kapitan. - Nie martw się! Wrócisz do Kate, to oczywiste!

Melinda miała właśnie zapytać go, kim jest Kate, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich markiz. Gdy spojrzała na jego twarz, niemal odruchowo zerwała się z miejsca. Coś poszło źle! Bardzo, bardzo źle!

Markiz zamknął za sobą drzwi z nienaturalnym spokojem i stanął na środku pokoju.

- Gilbercie! Co się stało?

Pytanie kapitana Vesteya zdawało się odbijać echem od ścian. Przez chwilę lord Chard nie odpowiadał, po czym oznajmił:

- Ona nie zostawiła mnie jeszcze w spokoju! Nawet zza grobu wyciągnęła rękę, żeby mnie chwycić za gardło; żeby mnie trzymać w niewoli, tak jak trzymała przez wszystkie te lata!

- Dlaczego? Co ona zrobiła? - dopytywał się kapitan Vestey. - Dostałeś chyba pieniądze?

- Tak, dostałem pieniądze - odpowiedział markiz. - Ale do testamentu dołączony jest pewien warunek.

- Warunek?! Co masz na myśli? - zapytał przyjaciel. - Pewnie je otrzymasz, jeśli się ożeniłeś?

- Jeśli się ożeniłem - powtórzył jego słowa markiz - i jeśli moja żona będzie ze mną nadal po upływie sześciu miesięcy od dnia ślubu!

Rozdział 7

Przez chwilę wśród oszołomionych słuchaczy panowała cisza, po czym kapitan Vestey wykrzyknął:

- To niesprawiedliwe! To niesłuszne! Trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł zrobić coś podobnego!

- Chodzi przede wszystkim o to, co ja mam zrobić w tej sytuacji - powiedział markiz z goryczą.

- Moim zdaniem to oczywiste - oznajmił kapitan Vestey. - Musisz nadal postępować tak jak dotychczas. Ostatecznie sześć miesięcy to nie tak długo.

- I wyobrażasz sobie, że potrafilibyśmy utrzymać w tajemnicy to moje niby - małżeństwo? - zapytał markiz.

- Kto wie o nim w tej chwili? - odparł kapitan Vestey. - Tylko służba, a ta jest zbyt lojalna, by plotkować. Oczywiście, jest też Smithers, ale on z pewnością zdaje sobie sprawę, iż nie byłoby dla ciebie korzystne, gdyby ludzie się dowiedzieli, że potajemnie zawarłeś małżeństwo właśnie w dniu śmierci twojej macochy. Smithers zrozumie - lub można go będzie przekonać - że dla honoru rodziny najlepiej byłoby, gdybyś dopiero po zakończeniu żałoby ogłosił, iż wzięliście cichy ślub w gronie najbliższych.

- Po sześciu miesiącach - powiedział markiz.

- Właśnie!

- To jest pomysł - zgodził się markiz - chociaż może się wiązać z wieloma kłopotami.

- Doprawdy, nie mogę zrozumieć, dlaczego się martwisz - pocieszał kapitan Vestey. - Nikt przecież nie będzie oczekiwał, że pojawisz się w towarzystwie przed upływem sześciu miesięcy. Można zażądać od służby, aby przysięgła dochować tajemnicy, możecie pojechać do Chardu albo - jeszcze lepiej - Melinda pojedzie tam pod własnym nazwiskiem. To, że jakaś dama przebywa w domu razem z tobą, nie będzie, myślę, niczym szczególnym.

- Jest jedna rzecz, o której panowie zapomnieli - przerwała spokojnym głosem Melinda.

Ponieważ dotychczas milczała, obaj mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Zapomnieliśmy? - zapytał markiz.

- Tak - odpowiedziała. - Ja nie mam zamiaru brać nadal udziału w tej farsie.

- Nie masz zamiaru! - powtórzył markiz, niemal bełkocząc pod wpływem wzburzenia. Utkwił w niej oczy pociemniałe od gniewu. - Rozumiem! - powiedział powoli, po małej przerwie. - Delikatny charakter sytuacji nie umknął twojej uwagi, panno Stanyon. Uprzytomniłaś sobie, że odgrywasz w tej sprawie główną rolę i że oczywiście nie mogę się bez ciebie obyć. Bardzo dobrze! Jaka jest twoja cena?

- Moja... cena? - zapytała zdumiona.

- Tak, tak, nie udawajmy! - odrzekł ostro markiz. - Masz sporo szczęścia, młoda kobieto, nieprawdaż? Trzymasz mnie w garści i nie pozwolisz, żebym o tym zapomniał. Dajmy sobie spokój z całym tym udawaniem, z fałszywymi uśmiechami i dziewczęcymi chichotami i przejdźmy do interesu. Czego chcesz?

- Nie... nie chcę... niczego - wyjąkała Melinda. - Chcę... tylko... stąd odejść.

- Spodziewasz się, że w to uwierzę? - zapytał markiz, a jego oczy zwęziły się.

- Postaram się przedstawić swoje stanowisko bardzo jasno - odparła Melinda. - Zrobiłam, czego ode mnie żądano. Obiecałście mi, panowie, pięćset gwinei. Jeśli nie sprawi to szczególnego kłopotu, chciałabym otrzymać te pieniądze jak najwcześniej jutro rano i zaraz potem odejść.

- Zaraz potem odejść! - powtórzył markiz. - Czy była kiedykolwiek gorsza pułapka, w którą nieświadomie mógł

wpaść mężczyzna? Masz mnie całkowicie w swojej mocy, nieprawdaż? No cóż, jak już powiedziałem, podaj swoją cenę. Czego oczekujesz? Tysiąca funtów? Dwóch tysięcy? Pięciu tysięcy? To naprawdę nie ma znaczenia. Wiesz tak samo jak ja, że muszę je zapłacić.

Melinda podniosła się z miejsca, a jej szerokie spódnice zafalowały. Twarz miała bladą, delikatne paluszki zaciskała nerwowo.

- Muszę być bardzo... głupia - wykrztusiła - skoro nie potrafię... wyrażać się zrozumiale. To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Po prostu chcę odejść - otrzymać tę kwotę, którą już zarobiłam, i odejść.

- Wysłuchałem tego, co powiedziałaś - rzekł markiz - ale choć niewątpliwie możesz być głupia, to jednak zapewne zdajesz sobie sprawę, że jest to jedyna rzecz, której nie możesz zrobić, ponieważ po sześciu miesiącach muszę cię zaprezentować jako swoją żonę.

- Mogłabym wrócić - zaproponowała Melinda - pod koniec tych sześciu miesięcy.

- Czy sądzisz, że nikt nie doniósłby na mnie w tym czasie? - zapytał lord Chard szorstkim głosem. Było oczywiste, że dokłada wszelkich starań, aby utrzymać nerwy na wodzy.

- Przykro mi - powiedziała Melinda - ale nie mogę zostać.

Rozejrzała się błędnym wzrokiem po pokoju. Miała wrażenie, że ściany zbliżają się ku niej, zamykając ją jak w więzieniu. Przypomniała sobie przyjęcie, z którego dopiero co wyszła. Jeśli tego rodzaju towarzystwo musiałyby znosić przez sześć miesięcy, byłoby to dla niej nie do wytrzymania. Nie wyobrażała sobie, że wielcy panowie mają takie dziwne przyjaciółki. Nie całkiem jeszcze rozumiała to, co się wydarzyło, co widziała na własne oczy, wiedziała jednak, że było to niewłaściwe, złe; ponadto, wyczerpana wszystkim, co

przeszła w ciągu ostatnich dwóch dni, czuła, że niczego więcej nie potrafiłaby już znieść.

- Przykro... mi - powtórzyła - ale muszę... odejść.

- Posłuchaj, Melindo - wtrącił się kapitan Vestey. - Nie możesz tego zrobić biednemu Gilbertowi! Czy nie rozumiesz, że kosztowałoby go to co najmniej dwa miliony funtów? Brzmi to niewiarygodnie, lecz jest prawdą.

- Dlaczego nie wziął pan prawdziwego ślubu z jakąś dziewczyną, którą pan zna i lubi? - zapytała Melinda głosem pełnym żalu.

- Chcesz znać prawdę? - odrzekł szorstko markiz. - Dlatego, że nienawidzę wszystkich kobiet. Czuję do nich odrazę. Nie mam ochoty się żenić.

- Potrafię to zrozumieć - powiedziała Melinda, myśląc o pułkowniku Gillinghamie. - Nie mogę jednak pozostać z panem przez sześć miesięcy, proszę zdać sobie z tego sprawę.

- Dlaczego nie możesz? - zapytał markiz. - Zawarłaś jakieś inne umowy?

- Ja... ja planowałam... - zaczęła, myśląc o Nanie.

- To Hartington, prawda? - przerwał markiz. - No dobrze, co on ci zaproponował? Bez względu na to, co to jest, ja dam ci dwa razy tyle, trzy razy tyle, jeśli chcesz. Dom? Powóz? Klejnoty? Konie? No cóż, przez sześć miesięcy będziesz musiała korzystać z moich koni, ale potem dostaniesz najlepszą parę spośród tych, które Tattersalls dostarcza lordom.

- To nie ma nic wspólnego z lordem Hartingtonem - zaprotestowała Melinda ze znużeniem w głosie. - On jest zakochany w damie, którą panowie nazywacie Skittles. Radził mi, żebym się nie zakochała, a ja zapewniłam go, że nie mam zamiaru tego uczynić.

- To oczywiste - powiedział markiz - bo ty nie masz serca. Gdybyś miała w sobie choć odrobinę litości, zrozumiałabyś moją sytuację i współczuła mi.

Melinda nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Było coś absurdalnego w myśli, że Melinda Stanyon, bez grosza, i w ogóle zero, miałaby się litować nad potężnym lordem Chardem. Po chwili jednak, gdy uprzytomniła sobie, jak bardzo jest on potężny, poczuła lęk.

- Proszę, proszę pozwolić mi odejść - błagała.

- Nie możesz tego zrobić! - wykrzyknął kapitan Vestey. - Musisz to zrozumieć, Melindo. Gilbert robi wszystko, co zechcesz, spełni każde twoje życzenie. Będziesz bogatą kobietą. To chyba coś znaczy.

- Chcę tylko pięćset obiecanych mi gwinei - powiedziała Melinda. - To wystarczy. Markiz uczynił gest zniecierpliwienia.

- Nie spodziewaj się, że w to uwierzę - warknął ze złością. - Czym jest pięćset gwinei dla kobiety takiej jak ty? Przecież wydałabyś je na suknie w ciągu miesiąca, jeśli nie szybciej! Jak możesz woleć życie, które prowadzisz teraz, od tego, które ja mogę ci zapewnić? Będziesz panią siebie, będziesz mogła obdarzać swymi łaskami, kogo zechcesz; nie będziesz miała nikogo, kto by ci rozkazywał. Będziesz prowadzić życie wygodne i zbytkowne, a nawet stać się kimś ważnym w twym świecie. Będziesz utrzymywać stosunki towarzyskie. Czy cię to wszystko nie nęci?

Melinda potrząsnęła przecząco głową. Pomyślała o małym domku na wsi, w jakim planowała zamieszkać z Naną. z uczuciem podobnym do wstrętu przypomniła sobie przyjęcie, które opuściła niedawno. Ludzi tego pokroju nigdy nie powinno się przyjmować w jej domu.

- Mój Boże! Co robić? - zapytał kapitana Vesteya doprowadzony do desperacji markiz. - Gdyby na jej miejscu

była jakakolwiek inna kobieta: Rosie, Laura, Jolanta, a nawet Skittles, to skwapliwie skorzystałaby z tej propozycji. O co jej naprawdę chodzi? Czy jest pod opieką kogoś innego?

- Nic o tym nie wiem - odrzekł kapitan. - Musisz przyznać, że robiliśmy to wszystko w dużym pośpiechu.

Mówiąc to spojrzął na Melindę i stwierdził, że pomimo dramatyzmu sytuacji jej oczy zamknęły się i zapadła w półsen. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym rzekł:

- Najlepiej będzie, Gilbercie, jeśli już pójdę. Możesz odprowadzić mnie do drzwi? Dobranoc, Melindo!

- Dobranoc - odpowiedziała.

- Wrócę rano - dorzucił kapitan - i zabiorę cię tam, dokąd zechcesz się udać, jeżeli do tego czasu nie zmienisz postanowienia.

- Nie zrobię tego - zapewniła Melinda.

Gerwazy Vestey skierował się ku drzwiom i nieznacznym skinieniem głowy zachęcił markiza, by poszedł za nim. W hallu odezwał się półgłosem:

- Próbowalesz traktować ją z góry i nie przyniosło to pożądanego efektu. Dlaczego nie spróbujesz posłużyć się swym czarem? Jak dotąd, nigdy cię jeszcze nie zawiódł, zawsze pozwalał ci uzyskać to, czego chciałeś. Jesteś przystojnym mężczyzną, Gilbercie.

- Znacznie chętniej dałbym tej małej idiotce parę porządnych klapsów - odparł ponuro markiz.

- Ona jest dosyć ładna - ciągnął kapitan Vestey - a wiemy obaj od dawna, że płeć piękna nie potrafi ci się oprzeć.

- Ech, zamknij się! - rzucił ze złością markiz, ale po chwili dodał: - Może zresztą masz rację. Spróbuję odwołać się do lepszej strony jej natury. Nie rozumiem jednak, dlaczego jedna z „pensjonariuszek” naszej Kate odrzuca fortunę?

- Rzeczywiście, to wydaje się niewiarygodne - zgodził się kapitan.

- Tak, nie rozumiem tego - powtórzył markiz. - Rzecz jednak w tym, że nie możemy zebrać o niej informacji. Jeśli w końcu zgodzi się na naszą propozycję, będziemy musieli zapewnić jej spokój.

- Myślę, że najlepiej byłoby pojechać do Chardu - powiedział kapitan Vestey. - W lecie jest tam przecież bardzo przyjemnie. Niedługo zaczną się polowania, a wtedy czas szybko mija. Ponadto możesz wydawać kilkudniowe przyjęcia dla przyjaciół.

- Nie mam ochoty na wydawanie w Chardzie tego rodzaju przyjęć - stwierdził dość zimno markiz. - Ale to nie ma znaczenia; trzeba zrobić wszystko, żebym mógł tam mieszkać przez resztę życia.

Kapitan Vestey poklepał go po ramieniu.

- Idź i przekonaj ją - nalegał. - Jeśli ci się to nie uda, już nigdy nie uwierzę w twą sławę pozeracza niewieścich serc.

Wziął cylinder, który podał mu lokaj, nasadził go na bakier i wyszedł na ulicę

Markiz westchnął lekko i wrócił do salonu Melinda spała. Jej głowa opadła na atłasową poduszkę, jedna ręka zwisała bezwładnie z brzegu sofy. Lord stał i patrzył na nią. Było coś dziwnie nieskazitelnego i niewinnego w tej drobnej twarzyczce w kształcie serca, z krągłym podbródkiem, długimi ciemnymi rzęsami i bladymi policzkami. Kąciki jej małych ust nieco opadły, jak gdyby była nieszczęśliwa.

Wtedy zupełnie nieoczekiwanie markiz uświadomił sobie, że tego wieczora nie mógłby już kontynuować z nią walki. Wiedział, że we własnym interesie powinien obudzić ją i zmusić, żeby podporządkowała się jego planom, lecz jakoś nie potrafił tego uczynić. Wziął ją na ręce. Poruszyła się, lecz nie obudziła, i jak gdyby instynktownie szukając pociechy, wtuliła twarz w jego ramię.

Markiz niósł ją ostrożnie po szerokich, wysłanych miękkim dywanem schodach. Gdy znalazł się przed jej sypialnią, pokojówka, która czuwała pod drzwiami, otworzyła je; wszedł do środka i położył Melinę na łóżku. Poruszyła się znowu, ale i tym razem się nie obudziła. Markiz bardzo ostrożnie odsunął od siebie jej ręce i bez słowa wyszedł z pokoju.

Obudziwszy się następnego ranka, Melinda zaczęła się zastanawiać, gdzie jest. Miętkość łoża podpowiadała jej, że nie znajduje się w skromnej małej sypialni, którą zajmowała w domu stryja prawie rok. Wtedy nagle przypomniała sobie, jak ile się czuła poprzedniego ranka; otworzyła oczy, obawiając się, że znów jest w niegustownej, zamkniętej na klucz sypialni u pani Harcourt; wspomnienie to z jakiegoś powodu wywołało w niej żywe odczucie czegoś złego.

Promienie słońca przenikały przez szpary między ciężkimi zasłonami z brokatu. Dostrzegła zarysy dużego pokoju i część umieszczonego pod baldachimem łoża, w którym leżała. Teraz przypomniała sobie wszystko. Jest na Grosvenor Square, gdzieś w tym ogromnym domu leży martwa wdowa, a markiz czeka, by z nią, Melindą, się kłócić.

Skurczyła się pod kołdrą i znów zamknęła oczy, jak gdyby chciała odgrodzić się od świata i wszystkich jego udręk.

Muszę odejść, mówiła sobie, a jednocześnie była świadoma miękkości lnianych prześcieradeł pachnących lawendą, a także woni kwiatów ułożonych w szklanej czarze stojącej na komodzie.

Nigdy nie zaznała takiego komfortu; nigdy przedtem nie miała pokojówki, czekającej tylko na polecenie, by przygotować kąpiel, pomóc ubrać się, uczesać włosy czy nałożyć atłasowe pantofelki na jej małe stopy.

Nie wolno mi myśleć o takich rzeczach, upomniała siebie; ponieważ jednak tak długo ją tyranizowano i lekceważono

jako ubogą krewną, przeto fakt, że teraz ją obsługiwano, był dla niej sam w sobie źródłem przyjemności. Pomyślała o wytwornych sukniach wiszących w szafie. Może mieć je wszystkie, a nawet więcej, jeśli zechce. Trzeba tylko zgodzić się na to, o co prosi ją markiz.

Usiadła w łóżku. Teraz przypominała sobie niejasno, że obudziła się na moment, kiedy pokojówka ją rozbierała. Nie mogła jednak uzmysłwić sobie, jak weszła po schodach na górę; pamiętała tylko, że poczuła się dziwnie śpiąca, gdy pozostała sama w salonie.

- Nie, nie, muszę odejść - powiedziała na głos.

Nie wiedziała dlaczego, ale poczuła się ścigana, jak lis umykający polami przed sforą psów, który wie, że musi biec co sił w nogach, by znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Ona byłaby bezpieczna z Naną. A co wówczas, gdy pięćset gwinei zostanie już wydane? - zapytał chłodny głos w jej mózgu. Przecież taka suma starczyłaby na wiele lat, odpowiedziała sobie. Ale nie na zawsze, a Nana jest stara i może zachorować. Dlaczego nie zapewnisz sobie bezpieczeństwa na całe życie? On proponuje ci tysiące funtów. Dlaczego obawiasz się przyjęcia tej propozycji? Bo to jest złe, jestem pewna, że jest złe - walczyła z myślami Melinda. Czy odgrywanie roli jego żony jest trudniejsze niż wypełnianie obowiązków guwernantki lub damy do towarzystwa? Czy pomyślałaś, jakie stawiano by ci wymagania, przy pensji przypuszczalnie nie wyższej niż trzydzieści funtów rocznie?

- Trzydzieści funtów rocznie - szepnęła - a tu mogę mieć trzy tysiące od ręki!

Zastukano do drzwi.

- Proszę wejść! - powiedziała prawie z lękiem, lecz pojawiła się tylko Gladys, młodzianka pokojówka, która pomagała jej ubierać się do ślubu.

- Nie wiedziałam, o której godzinie mam jaśnie panią obudzić - powiedziała - więc nie przeszkadzałam w spaniu, ale dochodzi już dziesiąta.

- Już tak późno?! - wykrzyknęła Melinda. - Muszę zaraz wstać!

Gładys rozsunęła zasłony.

- Jego lordowska mość powiedział, że chciałby widzieć waszą lordowska mość, jak tylko jaśnie pani będzie mogła zejść na dół.

- Nie powinnaś nazywać mnie „waszą lordowską mością” - zaprotestowała Melinda - Czy zapomniałaś, że ślub był potajemny?

- Nie, skądże, proszę jaśnie pani! Jakżeby któraś z nas mogła zapomnieć, skoro jaśnie pani była taką śliczną panną młodą! Ale zapytałyśmy pana Newmana - on jest kamerdynerem - jak należy zwracać się do waszej lordowskiej mości, i on powiedział, że kiedy jaśnie pani będzie sama, to powinnyśmy mówić „wasza lordowska mość”, a kiedy w towarzystwie, to „panno Stanyon”.

- Jestem pewna, że pan Newman wie, co jest właściwe - powiedziała Melinda - ale wolałabym, żebyś nazywała mnie panną Stanyon.

- Dobrze, panienko, jeśli panienka tak sobie życzy. Ale trochę mi żal. Myślę, że „wasza lordowska mość” to taki śliczny tytuł.

Melinda w duchu przyznała jej rację.

Zjadła śniadanie, przyniesione na tacy, wzięła kąpiel, po czym stanęła przed otwartą szafą, wpatrując się w wiszące w niej suknie.

- Którą z nich mogłabym włożyć? - zapytała pokojówkę - Nie mam przecież nic czarnego.

- Wasza lordowska... to znaczy... panienko, jeśli panienka nie musi nosić żałoby, to chyba byłoby najlepiej, gdyby

panienka nie wkładała czarnej sukni - powiedziała rozsądnie Gladys.

- Nie pomyślałam o tym - uśmiechnęła się Melinda - Ale jakoś nie mam ochoty włożyć kolorowej sukni. Co myślisz o tej szarej w rogu?

Była to suknia, którą pani Marcier określiła jako „podróżną”, w odcieniu bardzo bladej gołębiej szarości, z białym muślinowym kołnierzykiem. Gdy Melinda włożyła ją, wyglądała jak bardzo młoda uczennica. Włosy ułożyła w długie loki opadające z tyłu głowy - uczesanie, które zauważyła u kilku kobiet poprzedniego wieczoru; miała jednak nadzieję, że nie wygląda tak jak one.

Szła już ku drzwiom, kiedy Gladys zapytała:

- Czy panienka życzy sobie jeszcze czegoś?

Melinda zawahała się. Chciała powiedzieć: „Tak, spakuj wszystkie moje rzeczy”. Pomyślała jednak, że byłoby nieuprzejmie wobec lorda Charda przygotowywać się do odejścia, zanim znajdzie on rozsądne wyjaśnienie, które mógłby podać domownikom. Na pewno coś wymyśli, powiedziała do siebie z lekkim skrzywieniem ust, schodząc po schodach.

- Jego lordowska mość jest w bibliotece - poinformował ją kamerdyner, wskazując drogę. - Spodziewam się, milady, że noc minęła dobrze?

- Tak, bardzo dobrze, dziękuję - odpowiedziała Melinda.

Drzwi otwały się przed nią, lecz z jakiegoś powodu z trudem zmusiła się, żeby wejść do środka. Odczuwała zdenerwowanie i odrobinę lęku, ale nie przejawiała żadnych oznak tych emocji, gdy szła przez pokój w stronę biurka, za którym siedział markiz, pisząc coś. Promienie słońca padały przez okno na niego i Melinda, widząc jego profil na tle ciemnej szafy z książkami, uświadomiła sobie, jak bardzo jest przystojny, gdy nie rzuca na nią gniewnych spojrzeń.

- Dzień dobry.

Jej głos brzmiał trochę niepewnie. Markiz zerwał się na nogi z lekkim okrzykiem.

- Przepraszam, nie usłyszałem, jak weszłaś - powiedział. - Dzień dobry, Melindo! Mam nadzieję, że spałaś dobrze?

- O... obawiam się, że ubiegłego wieczoru musiałam wydać się nieuprzejma - odpowiedziała. - Byłam taka zmęczona. Nie pamiętam, jak dostałam się na górę do sypialni.

- Zaniósłem cię tam - wyjaśnił markiz.

- Zaniósł... mnie pan? - Poczula, że się rumieni.

- Tak, oczywiście! To było bardzo przyjemne doznanie. Jesteś taka lekka; zdawało mi się, że niosę dziecko, a może nimfę, która przez pomyłkę zabłądziła tu z lasów.

Jego głos był tak łagodny, że Melinda spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Przepraszam, jeśli byłam nieuprzejma - powiedziała.

- Ależ nie byłaś - zapewnił. - A przechodząc do chwili obecnej, co chciałabyś robić dzisiaj? Jestem do twoich usług, bo już poleciłem mojemu adwokatowi, żeby zajął się pogrzebem. Odbędzie się jutro; proponuję, żebyśmy potem pojechali do Chardu. Melinda spojrzała na niego.

- Nie byłam aż tak senna ubiegłego wieczoru - powiedziała - żebym zapomniała, o czym rozmawialiśmy. Jak pan pamięta, powiedziałam, że chcę odejść.

- A ja powiedziałem, że nie możesz tego zrobić - odparł markiz. Zauważywszy jednak nagłą zmianę wyrazu twarzy Melindy, dodał szybko: - Nie, nie, mam co innego na myśli. Nie będę próbował zatrzymać cię siłą ani czynić innych, równie teatralnych, gestów. Będę tylko błagać cię, żebyś mi pomogła, po prostu dlatego, że to jest dla mnie tak ważne.

- Dobrze rozumiem pańskie kłopoty - powiedziała Melinda. - To jest mnóstwo pieniędzy. Ale jestem pewna, że

wszystko byłoby w porządku, gdybym wróciła tu pod koniec tych sześciu miesięcy na parę dni, może nawet na tydzień.

- A gdybyś nie wróciła, straciłbym te pieniądze - odrzekł markiz. - Czy pamiętasz, co ci proponowałem?

- Tak, pamiętam - odpowiedziała.

- Wszystko, czego mogłaby pragnąć kobieta - powtórzył markiz. - Czy nie rozumiesz, że gdybyś była tak bogata, mogłabyś poślubić, kogo byś chciała?

- Nie chciałabym mężczyzny, który ożeniłby się ze mną dla moich pieniędzy - odparła Melinda. - Jeśli wyjdę za kogoś, to dlatego, że będę go kochała, a on będzie kochał mnie.

- Masz jeszcze takie ideały - wykrzyknął markiz - po wszystkim, co przeszłaś! Myślę, że to właśnie jest w tobie tak czarujące.

- To co przeszłam - powiedziała. Melinda. Myśląc o pułkowniku Gillinghamie - uświadomiło mi, że małżeństwo można budować tylko na miłości. Miał pan słuszość, że nie ożenił się pan z kimkolwiek tylko dlatego, żeby dostać te pieniądze. Uważam, że było nie w porządku z pańskiej strony oszukanie macochy i z mojej, że wzięłam w tym udział, lecz poniekąd byłoby jeszcze bardziej karygodne, gdyby poślubił pan kogoś tylko z wyrachowania.

- Cieszę się, że tak sądzisz - rzekł markiz z wymuszonym uśmiechem. - Myślałem, że mnie potępiasz.

- To wszystko jest takie pogmatwane - tłumaczyła Melinda. - Kiedy tu przyszłam, naprawdę nie wiedziałam, o co chodzi. Wydawało mi się, że to drobiazg, że tak niewiele trzeba wysiłku, żeby zarobić pięćset gwinei; nie spodziewałam się, że jest pan taki, jaki jest, ani że pańska macocha zwróci się do mnie w taki sposób, w jaki to uczyniła.

- Co ona ci powiedziała? - zapytał markiz.

- Powiedziała, że potrzebuje pan miłości - odrzekła Melinda po prostu.

- Ona ci to powiedziała! - wykrzyknął markiz. - To chyba ostatnia rzecz, o którą bym ją posądził: że powie to komukolwiek.

- Myślę, że żałowała wszystkiego, co uczyniła - powiedziała Melinda.

- Trochę za późno, nie sądzisz? - zauważył markiz z goryczą w głosie. - Zwłaszcza że w ostatniej chwili dołączyła do testamentu warunek, iż muszę utrzymać swe małżeństwo przez sześć miesięcy.

- Sądzi pan, że miała co do mnie jakieś podejrzenia? - zapytała Melinda.

- Nie, skądże - odrzekł markiz - nie do ciebie, lecz do mnie. Zawsze zarzucała mi, że jestem błędnym ognikiem i że fruвам z kwiatka na kwiatek, jak zwykła to nazywać.

- Zapewne pomyślała, że jeśli doda ten warunek, to postara się pan, aby jego małżeństwo było udane - wyraziła przypuszczenie Melinda.

- Nie dbam o to, co pomyślała - odparł gniewnie markiz. - Zniszczyła moje życie, kiedy byłem dzieckiem. Podburzała ojca przeciw mnie, a teraz, choć już nie żyje, nadal usiłuje mi dyktować, co mam robić, a czego nie. Myślę, że była pewna, iż nie dostanę tych pieniędzy. Ale ty, Melindo, pomożesz mi udowodnić, iż się myliła, prawda?

W jego głosie zabrzmiała błagalna nuta i Melinda czuła, że trudno jej będzie odmówić. Odwróciła wzrok i spojrzała przez okno na ogród pełen kwiatów. Zastanawiała się, co powiedzieliby jej ojciec i matka. Propozycja markiza była niestosowna i niezgodna z ogólnie przyjętymi zasadami, lecz od śmierci rodziców całe jej życie było nieszczęśliwe i niestosowne. Czy chcieliby, żeby nadal znosiła brutalność sir Hektora lub wyszła za człowieka budzącego w niej odrazę tylko po to, żeby na pozór być osobą godną szacunku? Czy też woleliby raczej, aby przyjęła tę dziwną, niekonwencjonalną

propozycję i przynajmniej uzyskała pewność, że w przyszłości nie będzie musiała zarabiać na swoje utrzymanie?

Markiz przyglądał się jej twarzy; zwrócił uwagę na prosty, iście arystokratyczny, mały nosek i doskonale ukształtowane rysy. Pomyślał, że w tym dziecku musi płynąć dobra krew.

- Chodź, chcę ci coś pokazać - powiedział. Wyciągnął rękę i ujął jej dłonie. Poczł chłód jej palców, trochę jakby drżących z niepokoju. Pociągnął ją przez pokój do drzwi w przeciwną stronę, prowadzących do gabinetu pełnego wysokich szaf z dokumentami. Pośrodku stało duże biurko, a na ścianie naprzeciw drzwi, którymi weszli, wisiał obraz. Melinda spojrzała na niego i westchnęła cicho.

- To mój dom - usłyszała słowa markiza. - Teraz może zrozumiesz, dlaczego tyle dla mnie znaczy.

Był to wielki obraz zakrywający całą ścianę. Przedstawiał duży dom w stylu elżbietańskim, zbudowany w kształcie litery E z wąskiej czerwonej cegły typowej dla tego okresu, ze skrzyżowanymi spiralnie nadstawkami kominowymi rysującymi się na tle nieba. Był niewątpliwie dziełem wielkiego artysty; stwarzał wrażenie ciepła i gościnności, emanujących z lśniących witrażowych okien i otwartych frontowych drzwi u szczytu długiego pasma schodów.

Melinda westchnęła, gdyż Chard, chociaż wielokrotnie większy, bardziej imponujący i znany, pod pewnymi względami przypominał jej dom rodzinny. Stanyon Manor, dwór Stanyonów, gdzie się urodziła i gdzie mieszkała do śmierci rodziców, też był zbudowany w stylu elżbietańskim. Był to tylko mały dworek, ale ponieważ pochodził z tej samej epoki, miał wszystkie charakterystyczne cechy Chardu, i chociaż Melinda nigdy nie była w Chardzie, wiedziała, jak może on wyglądać wewnątrz. Potrafiła wyobrazić sobie pokoje z oknami złożonymi z wielu małych romboidalnych szybek, nie osłonięte belki stropowe, klatkę schodową z

dębowego drewna z eleganckimi słupami podpierającymi poręcz, a także tę szczególną atmosferę dawnych czasów, wygody, współczucia i zrozumienia. Elżbietańskie domy mają w sobie ludzkie ciepło, jakim żadna inna epoka nie nasyciła swych budowli.

- Jest uroczy, nieprawdaż? - zapytał markiz niemal z entuzjazmem, jak gdyby naprawdę chciał, by Melinda podzieliła jego podziw.

- Jest podobny do mojego domu - odrzekła prawie szeptem, tak że jej nie usłyszał.

- Nie wprowadzono w nim żadnych zmian od czasu, gdy go wybudował pierwszy lord Chard - ciągnął markiz. - Był podskarbnym na dworze królowej Elżbiety i zaczął budować tę siedzibę jako jeszcze zupełnie młody człowiek. Kiedy złożył swój urząd i zamieszkał w mej, był ciągle dość młody, by cieszyć się życiem na wsi. Nigdy nie zależało mu na karierze dworskiej. Jego portret wisi w dużym hallu; chciałbym ci go pokazać.

- Nie spodziewałam się, że pański dom tak wygląda - powiedziała Melinda.

- A czego oczekiwałaś? - zapytał markiz.

- Czegoś wielkiego i okazałego, z potężnymi kolumnami i ogromnymi oknami. Nie wiem dlaczego, ale tak go sobie wyobrażałam, kiedy mówił pan o nim.

- A teraz, gdy go widzisz, co o nim sądzisz? - zapytał. - Jest uroczy - odpowiedziała - naprawdę uroczy. Zachęca do założenia ogniska domowego. Dlaczego pan w nim nie mieszka?

- Sam? - zapytał. - Myślę, że w prawdziwym domu powinna być żona i dzieci, nie sądzisz?

- Ale kocha pan ten dom? - dopytywała Melinda.

- Tak, ponieważ jest jedyną rzeczą, jaką kiedykolwiek miałem do kochania - odpowiedział prawie szorstko.

Wtedy po raz pierwszy pomyślała o nim jako o małym chłopcu bez matki, który prócz domu nie miał niczego, co mogłoby mu przynieść pociechę i dodać otuchy; odruchowo, niezupełnie rozumiejąc, dlaczego kapituluje, powiedziała:

- Zostanę przez sześć miesięcy!

Markiz patrzył na obraz, lecz słysząc te słowa, odwrócił się do niej.

- Zostaniesz? - zapytał żywo. - Dlaczego?

- Bo kocha pan Chard - rzekła. - I dlatego, że musi pan mieć pieniądze, by troszczyć się o niego.

- Dziękuję ci, Melindo.

Powiedział to bardzo cicho. Spojrzała na niego, chcąc się doń uśmiechnąć, i wtedy ich oczy się spotkały. Przez chwilę stali przed obrazem bez ruchu, w zupełnym milczeniu, patrząc tylko na siebie. Potem rzęsy Melindy zatrzepotały i odwróciła się zakłopotana.

- Będziemy musieli bardzo uważać, żeby ludzie nie odkryli prawdy - powiedziała cichym głosem, który wiązał jej w krtani.

- Tak, tak, oczywiście - potwierdził markiz z pewnym roztargnieniem.

Zaprowadził ją z powrotem do biblioteki. Wydawało się, że obraz Chardu rzucił na nią czar - jej napięcie jakoś ustąpiło, czuła się odprężona i spokojna. Przeszła przez pokój i usiadła na sofie, plecami do okna. Światło słoneczne utworzyło coś w rodzaju aureoli wokół jej jasnych włosów. Markiz stał chwilę, patrząc na nią, potem powiedział:

- Nigdy nie pozwolę, Melindo, żebyś żałowała tego, co robisz dla mnie. Wszystko, czego zechcesz, jest twoje.

Melinda nie odezwała się, on zaś po chwili ciągnął dalej:

- Moglibyśmy chyba być szczęśliwi przez te sześć miesięcy w Chardzie. Tyle rzeczy chciałbym ci pokazać, ale

obawiam się, że może cię to znudzić. Ostatecznie nie jest to zbyt zabawne.

- Zawsze mieszkałam na wsi - odparła Melinda.

- Chciałbym pokazać ci jezioro i sadzawkę ze złotymi rybkami, które lubiłem łowić jako dziecko - kontynuował markiz. - W lesie jest kapliczka, gdzie jezuici odprawiali msze; wystawiali wówczas strażę, bo gdyby ich wykryto, poszliby do Tower. Jest też duch - łagodny, życzliwy duch - który spaceruje nocą po długim kruzganku. Kiedy zobaczy go ktoś z rodziny, nie wróży to bynajmniej nic złego, lecz szczęście.

- Czy widział go pan kiedyś? - zapytała Melinda. Potrząsnął przecząco głową.

- Ja dotychczas nie zaznałem niczego dobrego. Może ty to zmienisz.

- Mam nadzieję, że tak - odpowiedziała.

Znów uśmiechnęła się do niego, a on odruchowo usiadł przy niej i wziął ją za rękę.

- Myślę, Melindo - rzekł - że ty i ja moglibyśmy się - ze sobą bardzo dobrze porozumieć. Bardzo chciałbym dać ci prezent. Nie ma to nic wspólnego z naszym układem handlowym, jest czymś zupełnie innym. Chcę ci go ofiarować za życzliwość w sprawie Chardu, bo z życzliwością w swoim życiu spotykałem się dość rzadko.

Przez chwilę Melinda pozostawiła swą dłoń w jego ręce, po czym cofnęła ją.

- To bardzo uprzejmie z pańskiej strony - powiedziała - ale chociaż jestem gotowa zaakceptować to, co nazywa pan naszym „układem handlowym”, to jednak nie sądzę, że powinnam przyjmować prezenty. Dał mi pan już tak dużo. Pani Harcourt była bardzo rozrzutna zamawiając dla mnie ubiory; nie potrzebuję nic ponadto.

Markiz spojrział na nią i roześmiał się.

- Melindo, jesteś niewyczerpanym źródłem niespodzianek! - oświadczył. - Nigdy, przez całe moje życie, nie znałem nikogo, kto odmówiłby przyjęcia prezentu. Chyba drażnisz się ze mną! Jakie są twoje ulubione klejnoty? Brylanty?

- Ubiegłego wieczoru nazwał mnie pan głupią - rzekła. - ale myślę, że jeśli ktoś tu jest niemądry, to jest nim właśnie pan. Powiedziałam przecież przed chwilą, że nie chcę prezentów. Nie byłoby w porządku, gdybym je brała.

- Zadziwiasz mnie - rzekł markiz i nagle wyraz jego twarzy zmienił się. - Chyba zaczynam rozumieć, co masz na myśli - dodał innym już tonem. - Sądzisz, że byłoby nie w porządku, gdybyś wzięła prezent, nie dając nic w zamian. Czy tak?

- Niezupełnie... - zaczęła, lecz markiz jej przerwał.

- Ależ, moja droga, to bardzo proste. Bardzo chętnie będę przyjmował twoje względy, w zamian dając wszelkie prezenty, jakich będziesz pragnąć i na jakie będziesz zasługiwała. A więc zawieramy jeszcze jedną umowę?

- Nie wiem, co ma pan na myśli - powiedziała Melinda.

Znowu ujął jej dłoń.

- Myślę, że wiesz - orzekł.

Zamierzała zaprotestować, ale wyraz jego twarzy sprawił, że znieruchomiała jak zahipnotyzowana. Nigdy przedtem żaden mężczyzna nie patrzył na nią w taki sposób. Nigdy przedtem nie była tak blisko mężczyzny, poczuła się jakoś dziwnie, prawie zaczęła drżeć z powodu tej bliskości.

- Melindo - powiedział markiz bardzo miękko, a jego wargi zbliżyły się do jej ust.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł kamerdyner.

- O co chodzi? - zapytał ostro markiz.

- Przepraszam, że przeszkadzam waszej lordowskiej mości - rzekł kamerdyner - ale jest tu lady Alicja St. Helier. Koniecznie chce się widzieć z waszą lordowską mością, więc musiałem powiedzieć, że powiadomię jaśnie pana o jej przybyciu.

- Niech to diabli wezmą! - zaklął markiz półgłosem, - Gdzie ona jest?

- Jej lordowska mość uparła się, żeby poczekać w hallu. Chciałem zaprowadzić ją do małego salonu, ale odmówiła.

Markiz spojrział na Melindę. - Czy mogłabyś zaczekać w gabinecie? - zapytał. - Przepraszam cię, Melindo, lecz lady Alicja nie może cię tu zobaczyć.

- Oczywiście - odrzekła Melinda.

Szybko przeszła przez pokój i wchodziła właśnie do gabinetu, gdy drzwi, przez które wszedł wcześniej kamerdyner, otworzyły się i wesoły głos zawołał:

- Gilbercie! Czy naprawdę nie chcesz mnie wpuścić? Zanim Melinda wślizgnęła się do gabinetu, zobaczyła w przelocie wytworną postać w różowej sukni, ale nie udało się jej dostrzec nic więcej. Drzwi pozostały uchylone; nie odważyła się ich zamknąć, chcąc uniknąć hałasu, mimo woli więc usłyszała, jak lady Alicja mówi:

- Gilbercie! Kochany Gilbercie! Tak się cieszę, że w końcu jesteś wolny od tej poczwary. Teraz, kiedy masz pieniądze, wszystko będzie inaczej

- W jaki sposób? - zapytał markiz.

- Gilbercie, nie bądź taki tępy - Jej głos miał bardzo uwodzicielskie brzmienie. - To było trudne, dopóki byłeś biedny i poniewierany przez tę okropną kobietę. Teraz możesz podejmować gości i w Chardzie, i tutaj, jak przystoi twej pozycji społecznej. Najdroższy, wiem, że jesteś bardzo, bardzo bogaty.

- Nadal nie rozumiem, jaki to ma wpływ na nasze wzajemne stosunki, Alicjo - powiedział zimno markiz. - Chyba że lord St. Helier umarł tej nocy lub popełnił samobójstwo.

- St. Heller jest bez wątpienia żywy - odparła lady Alicja. - Ale, jak dobrze wiesz, interesuje się tylko swymi końmi wyścigowymi. Przebywa w Newmarket tygodniami, a ja i ty, Gilberte, nie interesujemy się końmi wyścigowymi, nieprawdaż?

Nikt nie mógłby mieć wątpliwości, co oznacza łagodny a zarazem namiętny ton jej głosu, który był prawie pieszczotą Melinda wyciągnęła rękę i zamknęła drzwi z lekkim trzaskiem. Oto jeszcze jeden przykład, jak zachowują się osoby z wytwornego towarzystwa Londynu! Była oburzona i zgorszona. Co więcej, poczuła się nagle tak, jak gdyby została dotknięta osobiście. Nie wiedziała jednak, co było przyczyną tego uczucia.

Rozdział 8

Melinda biegła po schodach do swej sypialni, ponaglana pragnieniem ucieczki od czegoś, czego nie rozumiała, lecz czuła niejasno, że było to niewłaściwe i w pewien sposób nieprzyzwoite. Nie mogła prawie uwierzyć, że zameżna kobieta o takiej pozycji społecznej jak lady Alicja St. Helier mówiła takie rzeczy. Słyszała jednak rozmowę na własne uszy i słowa lady Alicji oburzyły ją i uraziły. Nie była to wprawdzie jej sprawa, ale wbrew sobie czuła się w nią zaangażowana.

Weszła do sypialni i zamknęła drzwi. Wszystko, pomyślała, wydaje się zagmatwane i groźne. Od chwili, gdy obudziła się w niegustownej sypialni pani Harcourt, przeczuwała wiszące w powietrzu zagrożenie, którego nie potrafiła nazwać. Tak, to było zło! A może ma urojenia?

Nie trzeba było wysilać wyobraźni, aby dojść do wniosku, że uczyniła źle, przyjmując propozycję pani Harcourt, żeby przyjść do tego domu i ceremonię zaślubin zmienić w farsę. Potem zaś, ubiegłego wieczoru, uczestniczyła w tym przyjęciu, tym skandalicznym, nieprzyzwoitym przyjęciu z udziałem kobiet, których obecność dla matki Melindy stanowiłaby zniewagę, i patrzyła, jak jedna z nich zachowywała się wielce nieskromnie.

Wydało się jej, że coraz głębiej pogrąża się w ruchome piaski. Na dole lady Alicja St. Helier, kobieta szlchetnego rodu, czyniła markizowi propozycje, których nie wysunęłaby żadna szanująca się dama. Melinda chwyciła się za głowę w geście rozpaczony. Czy to ona straciła rozum, czy cały świat wokół niej oszalał?

Podeszła do okna, żeby spojrzeć na drzewa na Grosvenor Square i na błękitne niebo nad nimi. Widok ten przywiódł jej na myśl wieś i ogarnęło ją gorące pragnienie, by znów znaleźć się w swym własnym domu, gdzie byłaby bezpieczna i

spokojna, otoczona miłością i nieświadoma ohydy otaczającego świata.

Potem spojrzała w dół i ujrzała bardzo elegancki, odkryty powóz czekający przed frontowymi drzwiami. Jej oczy natychmiast pobiegły ku koniom - parze przepięknych siwków, potrząsających pióropuszcami zdobiącymi ich czoła i dzwoniących srebrnymi wędzidłami. Gdy je podziwiała, spostrzegła lokaja wychodzącego z domu, by otworzyć drzwiczki powozu, za chwilę zaś lady Alicję - wiedziała bowiem, że to musi być ona - idącą chodnikiem, a następnie wsiadającą do pojazdu.

Miała różową suknię barwy dojrzałych truskawek, różowe strusie pióra przy czepku i różowe wstążki zawiązane pod brodą. Gdy wsiadła, odwróciła się ku drzwiom wejściowym i pomachała ręką komuś, kto tam stał. Melinda wiedziała, że musiał to być markiz. Kiedy stangret zaciął batem konie i powóz ruszył, lady Alicja spojrzała ku górze, jak gdyby poczuła na sobie jej ciekawy wzrok. Tylko przez krótką chwilę Melinda widziała jej podniesioną twarz, lecz to wystarczyło, by stwierdzić, że przyjaciółka markiza jest śliczna. Ze swymi wielkimi wilgotnymi oczami, małym prostym noskiem i lekko odętymi ustami koloru pączka róży była prawdziwą pięknoscią. Melinda mogła zrozumieć zauroczenie lorda, z drugiej jednak strony, pomyślała sobie, piękna czy nie, lady Alicja jest mężatką.

- On jest skończonym nikczemnikiem - rzekła na głos i niemal ucieszyła się z tego, że byłaby w stanie rzucić mu to w twarz.

Poczuła nagle podniecenie i radość na myśl, że ma dość odwagi, by z nim walczyć. Przestała się bać - przecież to ona robi mu uprzejmość i zostaje, aby ocalić jego fortunę, której tak bardzo potrzebował. Było całkowicie w jej mocy pozbawienie go tych pieniędzy; uśmiechnęła się na myśl, iż

nie będzie mógł robić wszystkiego, co zechce, w ciągu tych sześciu miesięcy, które mają spędzić razem. Może sobie tęsknić za lady Alicją, może pragnąć miło spędzać czas ze swymi podejrzanymi przyjaciółmi i kobietami, z którymi zadawał się ubiegłego wieczoru - będzie jednak musiał mieszkać w tym samym domu co ona, będą razem spożywać posiłki i będzie musiał udawać, że ona jest jego żoną.

Nie będę się go bała. Postaram się nawet go zmienić, obiecała sobie Melinda, lecz zaraz uświadomiła sobie, że jest to tylko wytwór jej zbyt bujnej wyobraźni. Gdy bowiem znajdowała się twarzą w twarz z markizem, jego cynizm i przykry charakter wciąż jeszcze odbierały jej mowę, chociaż miała dość odwagi, by przeciwstawić się mu wtedy, gdy jego zachowanie stawało się szczególnie nieuprzejme.

Siedziała w swym pokoju, czekając na wezwanie, by powrócić do biblioteki, lecz ku jej zmartwieniu po upływie dwóch godzin otrzymała przyniesioną przez Gladys wiadomość, że do markiza przyjechali krewni i że byłoby bardzo mile z jej strony, gdyby zechciała zjeść obiad w buduarze przylegającym do jej sypialni.

Melinda odczuła to jako zawód i chociaż posiłek był wyśmienity, spożyła go w nastroju przygnębienia. Przyniesiono jej rozmaite kuszące potrawy, lecz większość z nich odesłała, nie tknęła wina i uświadomiła sobie, że cały czas myśli o tym, co dzieje się na dole

Gladys była aż nazbyt skora, by zdać jej z tego relację, kiedy przyszła przygotować ją do spania.

- Dziś wieczorem była ostra rozmowa w jadalni, milady.

- Z kim? - zapytała Melinda. Wiedziała, że nie powinno się wypytywać pokojówki o takie rzeczy, lecz mimo to nie potrafiła się powstrzymać.

- Pan Newman mówi, że wuj jego lordowskiej mości, lord FitzBolton, domagał się pokazania mu testamentu, a jego

lordowska mość odmówił. Lord FitzBolton był też bardzo rozgniewany, że pogrzeb ma się odbyć jutro rano. Chciał, żeby było dość czasu, aby wszyscy krewni i kuzyni z prowincji mogli przyjechać, ale jego lordowska mość obstawał przy tym, że na pogrzebie ma być tylko najbliższa rodzina; nawet służba nie weźmie w nim udziału.

- Kto jeszcze był na obiedzie? - zapytała Melinda.

- Dwaj synowie lorda FitzBoltona - odpowiedziała Gladys. - Zatrzymywali się tu czasami, ale lokaje niezbyt ich lubią.

- Dlaczego? - zapytała Melinda.

- Nie dostali od nich nic prócz paru szylingów - wyjaśniła Gladys i natychmiast zakryła usta ręką. - Ach, milady, nie powinnam mówić jaśnie pani takich rzeczy, ale oczywiście rozmawia się o nich na dole, w pokoju dla służby.

- Jestem tego zupełnie pewna - uśmiechnęła się Melinda - A więc synowie lorda FitzBoltona mają opinię skąpych, nieprawdaż?

- Uważamy, że tacy właśnie są - odpowiedziała Gladys - a w dodatku ciągle dzwonią na służbę. Na przykład, James - to jeden z lokajów - mówi, że kiedy zatrzymali się tu ostatnio, chodził do nich na górę kilkanaście razy w ciągu ranka.

- Czy jest też lady FitzBolton? - zapytała Melinda.

- Myślę, że jej lordowska mość nie żyje - odrzekła Gladys - bo kiedy tego wieczoru przechodziłam koła drzwi jadalni, usłyszałam, jak jego lordowska mość mówiła „Moja biedna nieodżałowana żona byłaby oburzona takim postępowaniem”.

- Gladys, podsłuchiwałaś pod drzwiami!

- Naprawdę nie podsłuchiwałam, milady - zaprzeczyła Gladys. - Pan Newman nie zniósłby czegoś takiego; po prostu przypadkiem przechodziłam koła drzwi

Melinda roześmiała się.

- Jeśli nie będziesz ostrożna, odeślą cię z powrotem na wieś.

Słowa te sprawiły, że na twarzy Gladys pojawił się, wyraz przerażenia.

- Ach, milady, nie powie pani na mnie, nieprawdaż? To dlatego, że jaśnie pani jest taka młoda i wydaje się tak wyrozumiała, a oni wszyscy tutaj są zimni i sztywni. Nigdy nie miałam nikogo, z kim mogłabym zwyczajnie pogadać. Jak tylko odezwę się słówkiem do panny Jones, od razu złości się na mnie.

- Dobrze, nie powiem na ciebie - uśmiechnęła się Melinda. - W gruncie rzeczy cieszę się, że jest ktoś, z kim mogę porozmawiać.

- To nie wydaje się w porządku, że wasza lordowska mość musi utrzymywać swoje małżeństwo w tajemnicy - powiedziała Gladys. - Jaśnie pani powinna być na dole, na spotkaniu z krewnymi jego lordowskiej mości. Byłby dumny, przedstawiając im jaśnie panią. W tym domu nigdy nie było nikogo tak pięknego jak jaśnie pani.

- Ach, Gladys, ty mi pochlebiasz! - zaprotestowała Melinda. - I nie zapominaj, że moje małżeństwo jest tajemnicą. Nie wolno o nim nigdy pisać ani słówka nikomu. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tak, milady, wszystkich nas o tym pouczono. Pan Newman mówi, że ten, kto pierwszy wspomni o tym poza murami tego domu, od razu wyląduje na bruku. Widać po nim, że w tej sprawie będzie bezlitosny!

- Miło mi to słyszeć - powiedziała Melinda. - A teraz, Gladys, myślę, że powinnam już pójść do łóżka.

Było jeszcze zbyt wcześnie i Melinda nie mogła usnąć. Leżała, starając się zrozumieć niektóre niezwykle wydarzenia, jakie zaszły od chwili jej ucieczki z domu stryja. Zauważyła, że jej myśli nieustannie powracają do markiza. Dlaczego jest

nastawiony do niej tak nieprzyjaźnie? Dlaczego patrzy na nią dziwnym wzrokiem, który zdaje się wyrażać pogardę? Co mu takiego uczyniła, oprócz tego, że była uprzejma i robiła dokładnie to, czego sobie życzył?

Rano Gladys weszła do jej pokoju ze smutnym wyrazem twarzy i śladami łez na policzkach.

- Właśnie znoszą trumnę po schodach, milady - powiedziała, powstrzymując się od płaczu. - W śmierci jest coś takiego, co zawsze wytrąca mnie z równowagi. Biedna, stara jaśnie pani! Była dla nas uprzejma na swój sposób, a choć nigdy z nią nie rozmawiałam, zawsze patrzyłam, jak schodzi ze schodów, powoli, lecz z godnością.

- Chciałabym ją poznać wcześniej - powiedziała Melinda, bardziej do siebie niż do Gladys.

- Miała gwałtowny charakter - rzekła otwarcie Gladys - Słyszałam, jak jeszcze niedawno krzyczała na jego lordowska mość. Wypadł potem z domu strasznie ponury, trzaskając drzwiami. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego tak bardzo się nienawidzą.

Melinda pomyślała, że chyba niczego nie da się ukryć przed służbą. Miała ochotę zadać więcej pytań - dlaczego i o co markiz tak często toczył boje ze swą macochą - lecz zeszłego wieczoru poczuła wstyd, że pozwoliła sobie na tak szczerą rozmowę z Gladys, teraz więc zajęła się śniadaniem i nie zachęcała dziewczyny do paplania jak poprzednim razem.

Okna w jej sypialni pozostawały zasłonięte dopóty, dopóki kondukt pogrzebowy nie opuścił domu; potem przyszła starsza pokojówka, by podnieść story o kilka cali i wpuścić nieco światła.

- Przykro mi, jeśli ta ciemność sprawia kłopot jaśnie pani - powiedziała - lecz jego lordowska mość polecił, żeby wszystkie story pozostały opuszczone.

- Tak, oczywiście, muszą być zasłonięte - odpowiedziała Melinda. - Nie podnoś ich zbyt wysoko.

- Kilka cali nikt nie zauważy - odrzekła panna Jones - a taka ciemność mogłaby być zbyt przygnębiająca dla waszej lordowskiej mości. Czy możemy razem z Gladys zacząć pakować rzeczy jaśnie pani?

- Pakować? - zapytała zdziwiona Melinda. .

- To jaśnie pani nic nie wie? Myślałam, że jego lordowska mość wspomniał o tym - powiedziała panna Jones. - Natychmiast po powrocie z pogrzebu wyjeżdża do Chardu, a wasza lordowska mość razem z nim. Bagaż, oczywiście, pojedzie osobno w zamkniętym powozie.

Melinda poczuła, że jej nastrój się poprawia.

- Jak będziemy podróżować? - zapytała.

- W faetonie, lekkim powoziku jego lordowskiej mości - wyjaśniła panna Jones. - Zapewne jaśnie pani jest zaskoczona takim wyborem pojazdu, ale jego lordowska mość zawsze był niekonwencjonalny.

- Nie, skądże - wymamrotała Melinda.

Ubrała się szybko, wybierając suknię podróżną z delikatnej lazuruwej tafty, z krótkim obcisłym zakiecikiem. Z suknią tą harmonizował mały czepek. Melinda miała nadzieję, że wstążki zawiązane pod brodą nie pozwolą wiatrowi zerwać go z głowy.

Minał już rok od czasu, kiedy podróżowała faetonem. U jej ojca pojazd ten nie był ani nowoczesny, ani szczególnie szybki, ale jazda nim była i tak bardziej emocjonująca, niż powolne toczenie się zamkniętą kareta, którą woleli stryjenka, i stryj.

Gdy Melinda była już gotowa, przejrzała się w lustrze. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że lazur jej podróżnego kompletu był doskonale dobrany do jasnych włosów i białej karnacji; z drugiej strony podniecenie widoczne w oczach

nadawało jej radosny wygląd, zupełnie nie pasujący do osoby, która powinna nosić głęboką żalobę, gdyby istotnie była żoną markiza. Zaczęła się zastanawiać, czy oczekuje on od niej, żeby ubrała się na czarno; w jej szafie jednak nie było żadnej sukni tego koloru. Pomyślała, że służba zaakceptuje jej barwny strój jako zgodny z sekretnym charakterem małżeństwa.

Starsza pokojówka i Gladys wypełniły jej strojami kilka dużych kufrów. Gdy tak klęczały na podłodze zajęte pakowaniem, Melinda uznała, że nie ma tu dla niej wiele do roboty; po pewnym więc czasie wyszła z sypialni na podest schodów, aby nasłuchiwać powrotu markiza. Nie odważyła się jednak zejść na dół, żeby nie napotkać kogoś z jego krewnych; bała się też trochę, że kiedy lord wróci, przyprowadzi któregoś z nich ze sobą. Odczuła więc ulgę, gdy zobaczyła, że wchodzi do hallu sam.

- Zaraz się przebiorę, Newmanie - powiedział do kamerdynera.

Skierował się ku schodom. Melinda ledwo zdążyła wślizgnąć się do buduaru przylegającego do jej sypialni. Zobaczyła w przelocie jego nachmurzoną twarz, kiedy wchodził do hallu, nie miała więc ochoty spotkać go w tym nastroju.

Jeśli jest w złym humorze, to może nie zechce wziąć jej ze sobą na wieś. Może nawet będzie musiała podróżować z bagażem i służbą w zamkniętym powozie. Czekala z niepokojem, aż wreszcie zapukano do, drzwi. Otworzyła je i zobaczyła jednego z lokajów.

- Jego lordowska mość przesyła pozdrowienia i pyta, czy jej lordowska mość jest już gotowa do drogi?

- Tak, jestem gotowa - powiedziała żywo Melinda.

Zeszła po schodach za lokajem. Markiz stał w hallu; przebrał się już - ciemne żalobne ubranie zamienił na spodnie

z jasnoszarego sukna i znakomicie skrojony surdut w ciemniejszym odcieniu.

- Dzień dobry, Melindo! - odezwał się. - Mam nadzieję, że spałaś dobrze?

Było to stereotypowe powitanie, lecz poczuła, że jego ponury nastrój minął. Nie mówiąc nic więcej, skierował się ku drzwiom frontowym. Melinda poszła za nim. Przed domem czekał najbardziej szykowny faeton, jaki kiedykolwiek widziała, z czarno - żółtymi kołami i parą zaprzężonych w szpic kasztanków. Lokaj pomógł jej wdrapać się na wysokie siedzenie, a markiz zajął miejsce obok. Wziął do rąk lejce, stajenni odskoczyli od koni i powóz ruszył.

Z tyłu za nimi siedział mały lokajczyk w cylindrze. Melinda słyszała, jak jej ojciec nazywał chłopca zajmującego to miejsce „tygrysem”. Pomyślała, że chciałaby pokazać swemu tacie konie, które ciągnęły ich faeton; na pewno pochwaliby sposób, w jaki markiz powoził.

Konie były wypoczęte i trzeba je było powstrzymywać, gdy jechali przez ruchliwe ulice, wkrótce jednak znaleźli się za miastem i markiz popuścił im cugli. Dopiero w odległości paru mil od Londynu wrócił się do niej ze słowami:

- Jesteś bardzo milcząca.

- Uczono mnie, że nie należy przeszkadzać dżentelmenowi, gdy powozi parą wypoczętych koni - odparła.

Markiz roześmiał się.

- Widzę, że miałaś dobrego nauczyciela. A może sama umiesz powozić?

- Tak, umiem - odpowiedziała Melinda. - Ale nigdy nie miałam sposobności powozić takimi końmi jak pańskie.

- To dobra para, nieprawdaż? - uśmiechnął się markiz. - Kosztowały mnie dwa tysiące gwinei w Tattersatts trzy miesiące temu, a więc powinny być dobre.

- Nie zawsze jedno wynika z drugiego - powiedziała Melinda. - Rzeczywiste osiągnięcia mogą nie dorównywać pięknym pozorom, ale nie zawsze można to wykryć, dopóki nie znajdziesz się ze swym nabytkiem w domu.

- Widzę, że zupełnie nieźle znasz się na koniach - rzekł ciepło markiz, bez śladu drwiny w głosie.

- Kocham je - powiedziała cicho Melinda.

- Co jeszcze kochasz? - zapytał markiz. - A może powinienem powiedzieć: kogo?

- Kocham wieś - odrzekła, ignorując drugą część pytania.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek chciała mieszkać przez dłuższy czas w mieście.

- Masz mnóstwo takich cech, których nigdy bym się u ciebie nie spodziewał - zauważył lord Gilbert.

Melinda nie odpowiedziała. Wjechali teraz na prosty odcinek drogi i trudno było rozmawiać, gdyż wiatr porywał wypowiedane słowa. Zapomniała o markizie, rozkoszując się jazdą. Czuła na policzkach pęd ciepłego powietrza, w promieniach słońca połyskiwały uzdy, biały zapyłony gościnniec uciekał spod kół, gdy tak pędzili po mł, mijając zielone pola, ciemne lasy, rzeki i strumienie o brzegach porośniętych żółtymi irysami i złotymi kaczeńcami.

Jechali już blisko godzinę, kiedy markiz zatrzymał konie przed starym czarno - białym zajazdem pocztowym.

- Tu zjemy obiad - powiedział. - Jeśli nawet ty nie jesteś głodna, to ja umieram z głodu, Wybiegli stajenni, aby przytrzymać konie. Markiz zeskoczył z kozła i wyciągnął ręce do Melindy. Zawahała się tylko sekundę, po czym pozwoliła mu się zsadzić. Przez chwilę była bardzo blisko niego. Uświadomiła sobie żywo siłę jego ramion i bliskość jego twarzy przy swojej. Zaraz ją puścił, lecz czuła się tak, jak gdyby wydarzyło się coś niezwykłego, a przecież tylko ją dotknął.

Żona właściciela zajazdu zaprowadziła ją do najlepszej sypialni, gdzie umyła ręce i twarz. Wiatr rozrzucił jej włosy wokół czoła, zdjęła więc czepek, ułożyła od nowa loki najlepiej, jak potrafiła i trzymając czepek w ręce, zeszła na dół do ustronnego pomieszczenia, gdzie markiz kazał podać lunch.

Był to nieduży pokój o ścianach wyłożonych dębową boazerią, z belkami stropu przebiegającymi tak nisko, że markiz musiał schylać głowę. Wykuszone okno wychodziło na niewielki ogród, a okrągły stół zastawiony do lunchu ugiął się pod urozmaiconą kolekcją zimnych dań, takich jak świńska głowa, uwędzona domowa szynka, nadziewany indyk, pieczone gołąbki i wielka pieczeń barania.

- Na co masz ochotę? - zapytał markiz. - Właściciel zajazdu poleca świeżo upieczony pasztet ze skowronków i ostryg.

Melinda potrząsnęła przecząco głową.

- Nigdy nie mogłam znieść myśli o tym, że ze skowronków robi się pasztet.

Zamówiła zimnego indyka i plasterek szynki, podczas gdy markiz delektował się świeżym łososiem, dwoma utuczonymi gołąbkami, wielkimi płatami nie dosmażonego rostbefu i kilkoma porcjami marynowanej wieprzowiny.

- Musiałem coś zjeść - powiedział, spoglądając na nią, zza stołu z uśmiechem. - Dziś rano nie mogłem spokojnie usiedzieć przy śniadaniu, bo wuj ciągle mnie upominał, a jego dwaj nudni synowie sprzeczali się, jaki krawat będzie odpowiedni na pogrzeb.

- Obawiam się, że nie lubi pan swoich krewnych - zauważyła Melinda.

- Nie cierpię ich - potwierdził zdecydowanie markiz. - A ty lubisz swoich?

- Nie, podobnie jak pan, uważam, że są wyjątkowo niesympatyczni - powiedziała, myśląc o stryju Hektorze.

Oboje zaczęli się śmiać. Z jakiegoś powodu wydało się im bardzo zabawne, że jeśli nic innego, to przynajmniej to ich łączy.

- Gerwazy mówi, że byłem dla ciebie nieuprzejmy, - powiedział niespodziewanie markiz. - Czy mi wybaczysz?

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Melinda. - Potrafię zrozumieć, że miał pan napięte nerwy.

- To mnie nie usprawiedliwia - rzekł markiz. - Nikt nie powinien być niemiły dla kogoś tak miłego jak ty.

W komplementach tym było coś takiego, co zabrzmiało trochę fałszywie.

- Proszę mi opowiedzieć - wtrąciła szybko Melinda - o swoim domu. Cieszę się, że go zobaczę.

Jeśli chciała odwrócić jego uwagę od swojej osoby, to z pewnością jej się to udało. Twarz markiza natychmiast się rozjaśniła.

- Rozumiesz - powiedział cicho - dopiero teraz wiem, że on jest mój, cały mój, i że nie będę musiał go utracić.

Markiz opowiadał o Chardzie jeszcze wówczas, gdy skończyli posiłek, a kiedy wyruszyli w dalszą drogę, Melinda odniosła wrażenie, że wreszcie naprawdę się odprężył, że nie był już niespokojny i rozdrażniony. Nie mogła powstrzymać się od myśli, że byłoby o wiele lepiej, gdyby ożenił się faktycznie; nie miałby wtedy przed sobą sześciu miesięcy wybiegów i wykrętów w sytuacji, która - gdyby sprawy przyjęły zły obrót - groziła całkowitą klęską. Po upływie jeszcze jednej godziny przejechali przez wspaniałe wrota z kutego żelaza, osadzone między kamiennymi kolumnami, na których szczycie wyrzeźbione były ogromne orły z rozpostartymi skrzydłami. Nieco dalej, tuż za grupą dębów, markiz zatrzymał konie.

Przed nimi leżał Chard. Choć wyglądał uroczo na obrazie, który Melinda widziała w Londynie, to jednak rzeczywistość wprost zapierała dech w piersi. Dom z pięknej czerwonej cegły, której czas i czynniki atmosferyczne nadały ciemnoróżową barwę, widniał na tle brzozowego lasu; przed nim szeroko rozpościerały się zielone trawniki, zbiegające ku małemu srebrnemu strumykowi, którego brzegi łączył stary mostek. Budynek był rozległy, zbudowany w kształcie litery E dla uczczenia królowej, za której panowania został wzniesiony; jego małe okna, złożone z wielu romboidalnych szyb, połyskiwały w promieniach słońca, jakby nadając sygnały świetlne z pozdrowieniami dla wszystkich, którzy się do niego zbliżali. Widok tego domu nasuwał myśli o ciepłej gościnności i szczęściu. Był wielki, a mimo to sprawiał wrażenie domu rodzinnego.

- Jest piękny! - zawołała Melinda, a markiz odwrócił się, by uśmiechnąć się do niej.

- To miejsce, które kocham najbardziej na świecie - powiedział. - Czasami mam takie wrażenie, jakby Chard był kobietą, którą kocham z całego serca.

- Najpiękniejszą kobietą na świecie - dodała miękko Melinda i miała ochotę dorzucić: „O wiele piękniejszą od lady Alicji”.

- Chodź go obejrzyć - rzekł markiz. - Chcę ci tyle pokazać!

Gdy znaleźli się w budynku, markiz, podniecony jak uczeń, oprowadził ją po całym domu od piwnic po strych. Obeszli także ogrody; pokazał jej sadzawkę ze złotymi rybkami, którą tak lubił jako dziecko; zaprowadził do ogrodu warzywnego i opowiedział, jak zwykł kraść brzoskwinie, gdy stary zdziwaczały ogrodnik nie patrzył, i jak dostał lanie za to, że piłką krykietową stłukł szybę w oranżerii.

Obejrzeni łabędzie, białe i czarne, które płynęły z prądem strumienia. Potem zawiódł ją do stajni, gdzie jej zachwyty nad końmi szczególnie go ucieszył. Jeden z nich podobał się Melindzie o wiele bardziej niż inne.

- To jest Piorun - objaśnił markiz, gdy wpatrywała się w wielkiego czarnego ogiera, który pogardliwie potrząsnął głową na widok podsuwanej mu marchwi. - Kupiłem go rok temu. Chciałem jeździć na nim w parku Row w Londynie, bo nie ma tam żadnego konia, który by mu dorównał. Był jednak zbyt pobudliwy, więc sprowadziłem go tu z powrotem. Przejadę się na nim jutro, Ned - powiedział, zwracając się do starego stajennego.

- Oczywiście, milordzie, ale wasza lordowska mość przekona się, że trudno nim powodować. Rzecz w tym, że był za mało trenowany. Chłopcy bali się wsiąść na niego. W zeszłym tygodniu zrzucił młodego Jima i od tej pory nie pozwolił mu się dosiąść.

- Przypuszczam, że potrzebuje kogoś, przed kim mógłby popisać się swą szybkością - powiedziała Melinda. - Konie są takie. Proszę wziąć go na polowanie. Będzie tam miał rywali i poczuje, że jest wyzwany do współzawodnictwa przez inne konie, prawie tak dobre jak on sam.

- To właśnie tego potrzebujesz, Piorunie? - zapytał markiz, klepiąc ogiera po szyi. - Bardzo dobrze, musimy się przekonać, co potrafimy. Być może pojedę na nim w biegu myśliwskim na trasie z punktami kontrolnymi.

- Byłoby miło zobaczyć znowu waszą lordowska mość w akcji - oświadczył stary stajenny. - Przez dwa ostatnie lata nie widzieliśmy jaśnie pana w tych biegach.

- Nie mogłem, niestety, przyjeżdżać wiosną do Chardu - powiedział markiz, a Melinda, czując skrepowanie w jego głosie, zorientowała się, że to od swej macochy stronił.

Wrócili do domu i tam uprzytomnili sobie, że zbliża się już czas obiadu. Stojąc w wielkim salonie, którego okna wychodziły na ogród różany, Melinda pomyślała, że nie byłoby nigdzie bardziej uroczego miejsca dla dwojga ludzi, gdyby naprawdę się kochali i byli sobie poślubieni. W pokoju ustawiono czary z aromatyczną mieszaniną korzeni i ziół, która napełniła powietrze egzotyczną wonią; pachniały goździki z oranżerii; były urocze stare meble z drewna orzechowego, należące do tego domu od pokoleń, i starodawne pozłacane zwierciadła, w których widziała swoje wielokrotne odbicie - drobną jasnowłosą postać w błękicie, obok wysokiego, ciemnego markiza.

Nagle doznała uczucia, że on myśli to samo co ona. Odwróciwszy się ku niemu stwierdziła, że patrzy na nią badawczo, i od razu radosny nastrój, który sprawił, iż tak swobodnie rozmawiała z nim przez całe popołudnie, zmienił się w zakłopotanie. Poczowała, że z jakichś nie znanych jej powodów drży, i opuściła oczy pod jego wzrokiem.

- Musimy przebrać się do obiadu - powiedział markiz, lecz z roztargnieniem, jakby myślał o czymś innym.

- Tak, oczywiście.

Była rada, że może uwolnić się od jego towarzystwa i pójść na górę do swego pokoju, gdzie rozpakowano już jej rzeczy i podstarzała pokojówka z zaciśniętymi ustami czekała, by pomóc jej się przebrać.

- Jaką suknię włoży panienka tego wieczoru? - zapytała, a nuta dezaprobaty w jej głosie prawie przestraszyła Melinę.

- Nie wiem - odpowiedziała i rozejrzała się dookoła - Co za śliczny pokój! - wykrzyknęła.

Pułap był niski, a mimo to mieściło się tam łoże z baldachimem ozdobionym wspaniałym haftem, przedstawiającym amorki, ptaki i kwiaty stłoczone na białym atłasie. Baldachim ten, obramowany złotą lamówką,

wieńczyły dwa złote tłuste aniołki trzymające serce w uniesionych ku górze rączkach.

- To jest sypialnia należąca do apartamentu dla nowożeńców, panienko - wyjaśniła pokojówka i teraz w jej głosie wyraźnie już zabrzmiała nuta nagany.

Melinda domyśliła się, że służbie w Chardzie nic nie powiedziano o tajemnym małżeństwie lorda, a zatem pokojówka całkiem słusznie mogła ją posądzić o to, iż ośmiela się aspirować do pozycji należnej jedynie żonie właściciela Chardu.

- Kto wybrał dla mnie ten pokój? - zapytała.

- Polecenie jego lordowskiej mości - odpowiedziała krótko pokojówka, a jej wykrochmalony fartuszek zaszeleścił obraźliwie.

- A więc jego lordowska mość musi mieć ku temu istotne powody - stwierdziła Melinda, zastanawiając się, czy nie byłoby lepiej wyjaśnić służącym przyczynę jej obecności w Chardzie.

- Tak, panienko, to oczywiste - przytaknęła pokojówka z takim jadem w głosie, że Melinda omal nie odskoczyła od niej.

- Zadzwoń - powiedziała szybko - żebyś pomogła mi się przebrać, kiedy będę gotowa. Tymczasem chciałabym zostać sama.

- Oczywiście, jeśli panienka tego sobie życzy.

Pokojówka wyszła, pozostawiając atmosferę niechęci i podejrzliwości, która wywołała u Melindy drżenie. No cóż, pomyślała sobie, z punktu widzenia służby fakt, iż przebywam bez opiekunki, jest całkowicie naganny i niezgodny z ogólnie przyjętymi normami. Zachowanie tej kobiety tak ją onieśmieliło, że sama zapięła suknię, a nawet próbowała ułożyć włosy, żeby tylko nic dzwonić po nią. Dopiero gdy już

była ubrana, spostrzegła, że zupełnie nieświadomie wybrała białą suknię, w której wyglądała jak panna młoda.

Suknia ta nie była tak wyszukana jak jej toaleta ślubna. Uszyta z białego szyfonu, przybrana wstążkami i pękami malutkich różyczek, wyglądała prześlicznie. Ponieważ dekolt był odrobinę za głęboki, znalazła w swoich rzeczach koronkową chusteczkę i przystroiła nią suknię tak, że prezentowała się o wiele skromniej

Włosy rozwiane w podróży, okalały jej delikatną twarzyczkę aureolą loków, nie chcąc ułożyć się posłusznie po obu stronach przedziałka. Włożyła znalezione w szafie pantofelki i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na swe odbicie w lustrze, wymknęła się z pokoju, nie chcąc natknąć się na krytycznie nastawioną pokojówkę.

Zeszła do hallu szerokimi dębowymi schodami, których poręcze wspierały się na starodawnych, rzeźbionych słupkach. Dom był bardzo cichy i spokojny, lecz miał w sobie jakieś szczególne ciepło i Melindzie wydało się, że przygarnia ją kochającymi ramionami. Otworzyła drzwi do salonu i ujrzała markiza wyglądającego przez okno. Promienie chylącego się ku zachodowi słońca padały na jego twarz, rozjaśnioną i uszczęśliwioną - zupełnie inną niż zwykle. Kiedy Melinda podeszła do niego, odwrócił ku niej głowę i wyciągnął rękę.

- Chodź tutaj - powiedział.

Przyciągnął ją do okna. Wyjrząwszy na ogród różany, zobaczyła słońce zachodzące za wysokie drzewa pobliskiego lasu. Gawrony krążyły nad drzewami, a gołębie wracały do gniazd.

- Zawsze zazdrościłem tym ptakom, kiedy byłem chłopcem - powiedział cichym głosem markiz - bo zawsze mogły wrócić do domu. Las należał do nich i kiedy nadchodziła noc, wracały do niego instynktownie, wiedząc, że da im schronienie i wypoczynek aż do rana.

Melinda wyczuła w jego słowach wszystko to, co wycierpiał jako dziecko, gdy wiedział, że nie jest nikomu potrzebny, że jego dom nie jest naprawdę jego domem, ponieważ nikt go nie kocha. Zaczęła rozumieć, jak wielkie znaczenie musi mieć dla niego powrót do Chardu w roli właściciela.

- Był pan bardzo nieszczęśliwy? - zapytała łagodnym głosem.

- Myślę, że gdyby nie Chard - odpowiedział - odebrałbym sobie życie, nie raz, ale dziesięć razy. Dziecko potrafi znieść szorstkość, nawet okrucieństwo, ale nie może żyć otoczone nienawiścią. Nienawiść wżera mu się w duszę, niszczy wszystko, nawet chęć życia.

W jego głosie wyczuwało się takie cierpienie, że spojrzała na niego zaskoczona, lecz za chwilę mrok goryczy zniknął z jego oczu.

- Ale teraz potrafię o tym zapomnieć - powiedział wesoło.
- Zwyciężyłem! Chard jest mój! Do tej chwili nie zdawałem sobie w pełni sprawy, jak wiele to dla mnie znaczy. Teraz jednak wiem, że jest mój i że ty pomogłaś mi go odzyskać. Zawsze będę ci za to wdzięczny.

Jego ręka spoczęła na ramionach Melindy już wówczas, gdy pokazywał jej las w oddali, a teraz zacisnął trochę palce. Odruchowo odsunęła się od niego. Uśmiechnął się i chciał coś powiedzieć, lecz w tej właśnie chwili kamerdyner oznajmił, że czas na obiad.

Usiedli za stołem zastawionym błyszczącym srebrem, zdobnym w herb rodowy. Długą salę, wyłożoną dębową boazerią, oświetlały ogromne złote kandelabry. Jedzenie było wyśmienite - jarzyny i owoce z ogrodu; mięso i dziczyzna z majątku; wreszcie pstrągi ze strumienia, w którym markiz łowił je jako chłopiec.

Opowiadał o ulepszeniach, jakie zamierza wprowadzić w majątku, o projekcie odtworzenia ogrodów w ich dawnej postaci, według planów sporządzonych w czasie, gdy wznoszono dom.

- Mam wszystkie plany - mówił. - Szkoda, że pozwolono, by zmarniał ogród ziołowy, że przeniesiono fontannę na inne miejsce i wycięto cisowe żywopłoty. Zasadzę je znowu, a moje farmy będą najlepsze w całej okolicy. Macocha żałowała na nie każdego pensa. W tym tygodniu spotkam się z dzierżawcami i powiem im, że koniec z przeciekającymi stajniami i przewróconymi płotami; sam pomogę w ich naprawie.

Melindzie udzielił się jego entuzjazm, po obiedzie więc poszli do kancelarii majątku, gdzie pokazał jej dokładne plany należących do niego dóbr. Przekonała się, że zna nazwiska wszystkich dzierżawców; pokazał jej, gdzie pozwolono ziemi leżeć odłogiem, bo macocha i jej agent wyznaczili farmerom tak wysoki czynsz, że nie mogli już uzyskać wystarczających dochodów. Obszary te zamierzał zaorać i obsiać na nowo, a także wprowadzić wiele ulepszeń.

W kancelarii majątku pozostali tak długo, że zapadła już noc, gdy w końcu wrócili do salonu. Opuszczono zasłony i rozpalono niewielki ogień w kominku z obawy przed wieczornym chłodem. Wydawało się, że wzmaga to jeszcze woń kwiatów oraz zapach wosku i korzeni przenikający cały dom.

Melinda usiadła na dywanie przed kominkiem, a jej szeroka spódnica spiętrzyła się wokół niej. Powiedziała wzruszona:

- Zupełnie jak w moim domu. Ten sam zapach. Markiz zajął miejsce na sofie. Melinda czuła, że patrzy na nią, a po chwili rzekł jakby ze zdziwieniem:

- Cieszę się, że tu jesteś. Muszę z kimś o tym porozmawiać; tak długo tałem to w sobie, a myślę, że ty mnie rozumiesz.

- Naprawdę rozumiem - zapewniła.

Pochylił się nad nią, ujął jej dłoń i pociągnął ku sobie.

- Chodź, Melindo, usiądź tu.

Chciała zaprotestować, powiedzieć, że jej zupełnie dobrze tu, gdzie jest, lecz stało się jakoś tak, że posłuchała i znalazła się obok niego na sofie. Przez chwilę nie mówił nic, tylko patrzył na nią, po czym powiedział jakby do siebie:

- Urocza! Tak urocza, że szkoda...

Nie dokończył zdania, lecz objął ją i przyciągnął blisko do siebie. Była tak zdumiona, że przez chwilę nie miała siły stawić oporu, a zanim zdała sobie sprawę z sytuacji, już jego usta były na jej wargach.

Nikt nie całował jej nigdy, a szybkość i siła, z jaką to czynił, zaskoczyły ją tak, iż brakło jej tchu. Jego usta były brutalne, a ramiona trzymały ją tak mocno, że nie mogła się poruszyć. Czowała w jego pocałunkach gwałtowność i namiętność, które ją przerażały; potem jego usta złagodniały i mogła spróbować się uwolnić.

- Nie... - zdołała zaprotestować - nie...

Palcami, którymi trzymał ją pod brodą, podniósł jej twarz ku swojej.

- Nie walcz ze mną, Melindo - prosił. - Potrzebuję cię! Potrzebuję twojej łagodności i serdeczności; potrzebuję twojego zrozumienia. Jesteśmy tu razem. Czy nie rozumiesz, jak bardzo jesteś mi potrzebna?

Nie odpowiedziała, ponieważ jego wargi znów znalazły się na jej ustach, a on przyciskał ją coraz mocniej i mocniej. Uświadomiła sobie, że jakoś nie jest zdolna stawić oporu, i czowała, że jest coraz bliżej niego, aż wreszcie stanowili niemal jedną osobę... Teraz całował jej policzki, oczy, szyję i znowu

usta, aż poczuła, że coś drży i budzi się w niej, że ciało ogarnia płomień, jakiego nigdy przedtem nie zaznała...

Nagle puścił ją i spojrzał na jej twarz przy swym ramieniu. Rzęsy jej przymkniętych powiek trzepotały; wargi były rozchylone; puls tętnił na szyi w miejscu, które całował.

- Działasz na mnie, Melindo - powiedział, a jego głos był pieśczętą. Postawił ją delikatnie na nogi i poprowadził ku drzwiom, obejmując ramieniem.

- Pośpiesz się! Nie chcę długo czekać. Ile mam ci dać czasu, piętnaście minut? Nie dłużej, proszę, bo jestem bardzo niecierpliwy, moje kochanie!

Jego usta dotknęły jej policzka; potem otworzył drzwi i Melinda znalazła się sama w hallu. Prawie automatycznie wspięła się po schodach. Dopiero gdy dotarła do swojego pokoju, spróbowała zrozumieć, co się wydarzyło, i powoli, odczuwając coś w rodzaju paniki, uprzytomniła sobie, co miał na myśli.

To nie może być prawdą - to, co pomyślała o jego zamiarach, co sobie wyobraziła! Trudno jej było ogarnąć to umysłem, bo paraliżowało ją przerażenie. Aż wreszcie, gdy uwolniła się od nękających ją obrazów, zdała sobie sprawę z czegoś, co poraziło ją jak sztylet przenikający serce.

Kochała go! Drżała, a płomień, który on rozniecił w jej ciele, wznosił się coraz wyżej, obejmując ją całą; bała się, że spłonie w żarze swej gorącej miłości.

Kochała go! Lecz on chciał od niej czegoś zupełnie innego. Nie zrozumiała go w pełni, lecz zdawała sobie sprawę, że to, co zamierzał, było złem i zbrodnią przeciw jej miłości do niego. Tym pierwszym pocałunkiem zdobył jej serce, ale nie pragnął jej serca, lecz czegoś, o czym - mimo swej niewinności - wiedziała, iż jest złe i grzeszne.

Oparła się o drzwi sypialni i przekręciła klucz w zamku. Potem z panicznym strachem uświadomiła sobie, że gdyby

przyszedł i kazał jej otworzyć drzwi, nie potrafiłaby mu odmówić! Chciała znów poczuć dotyk jego warg; chciała, by objął ją ramionami. Wiedziała, że kiedy już wejdzie w te drzwi, nie będzie w stanie go odprawić, bez względu na to, czego od niej zażąda.

Ogarnięta paniką przebiegła przez pokój i rozsunęła zasłony. Księżyc wędrował po niebie, rozbłysły pierwsze gwiazdy. Otworzyła witrażowe okno i spojrzała w dół. Rósł tam stary platan o grubych i mocnych gałęziach.

Melinda obejrzała się. Drzwi były zamknięte na klucz, ale niemal słyszała jego głos rozkazujący, żeby je otworzyła.

- Melindo!

Zamknęła oczy. Czuła jeszcze jego wargi na swoich ustach, oczach, policzkach, szyi. Wydała słaby krzyk rozpaczony i zaczęła wspinać się na okno.

W dzieciństwie dość często wdrapywała się na drzewa, aż matka ganiła ją za to, napominając, żeby nie zachowywała się jak narwana koza; nigdy jednak nie robiła tego w obszernej wieczorowej sukni z halkami pod spodem. Słyszała, jak rozdziera się delikatny szyfon jej sukni; pęczek różyczek został na platanie. Jednakże w końcu opuściła się jakoś na ziemię i jak małe przerażone zwierzątko uciekające od światła pobiegła przez trawniki w cień drzew.

Rozdział 9

Kiedy Melinda się obudziła, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje. Przed nią wznosiła się wysoka, szara kamienna kolumna podtrzymująca łukowe sklepienie. Po chwili przypomniała sobie ostatnie wydarzenia i usiadła na miękkiej, czerwonej atlasowej poduszce, na której spała tej nocy.

Kiedy zajmowała miejsce w kościelnej ławie, pomyślała, że musi ona należeć do rodziny markiza. Wyczuła, że drzwiczki są rzeźbione, a wyściełane siedzenie jest miękkie i wygodne, podobnie jak klęcznik, na który opuściła się, żeby się pomodlić. Kościół, ze swym zapachem pleśni i starości zmieszany z wonią kwiatów na ołtarzu, wydał się jej bezpiecznym azylem. W słabym świetle księżycy sączącym się przez barwne witraże odnalazła, trochę po omacku, przejście między ławkami, weszła do pierwszej z brzegu i uklękła w niej, modląc się o obronę nie tylko przed markizem, lecz także przed sobą samą.

Wkrótce jej oddech uspokoił się, a serce przestało gwałtownie łomotać. Wiedziała jednak, że właściwie nie udało jej się uciec od niczego, bo nadal było w niej to głębokie uczucie, które teraz kazało jej wracać.

Pomóż mi! Ach, pomóż mi! - modliła się, zdumiona, jak mogła z dziewczyny, która zupełnie nie interesowała się mężczyznami, przemienić się tak szybko w jakąś inną, nową istotę, dygoczącą i drżącą pod dotknięciem męskich warg.

Uświadomiła sobie, że markiz pociągał ją od chwili, kiedy go ujrzała. Myślała, że go nienawidzi, że nienawidzi cynicznego wyrazu jego twarzy, pogardliwego tonu, jakim się do niej zwracał, gniewu, który w niej wzbudzał. Było w nim jednak coś, co jak magnes przyciągało ją tak, że mimo wszystko chciała z nim przebywać.

Zrozumiała teraz swe osamotnienie i poczucie pustki w tym długim dniu, który musiała spędzić sama w swej sypialni. Były to nie kończące się godziny rozczarowania i zawodu, ponieważ nie mogła być razem z nim. Jęknęła cicho i opuściła głowę na ręce złożone na oparciu klęcznika. Co się z nią stało? Jak może doznawać takich uczuć, wiedząc, że są złe i grzeszne, że są czymś, Co musi zwalczyć, odwołując się do swej dumy i wszystkiego, co było dla niej święte?

W mroku kościoła wielokrotnie przebiegała myślą to, co się wydarzyło i co powiedział jej markiz, zanim poszła na górę. Nawet teraz w swej niewinności nie całkiem to rozumiała. Wiedziała tylko, że to, o co ją prosił, było złe.

Robiła sobie wyrzuty, że pozwoliła, aby ją całował. Powinna stawić opór; takie zachowanie nie przystoi przyzwoitej dziewczynie. Mimo to znów odczuwała to dziwne, niezrozumiałe podniecenie, jakiego doznała, gdy jego usta dotknęły jej warg; znów czuła ogarniający ją płomień. Coś zbudziło się w niej; coś, co nigdy już nie zaśnie:

Nie miała pojęcia, jak długo klęczała, próbując się modlić, mimo że jej myśli wciąż wracały do markiza. Zauważyła tylko, że księżyc wzniósł się wyżej na niebie i w kościele zrobiło się jaśniej. Mogła teraz dostrzec krzyż błyszczący na ołtarzu, kamienne figury na otaczających go grobowcach i rzeźbione stalle w prezbiterium z nie zapalonymi świecami przy miejscach zajmowanych zwykle przez chłopców śpiewających w chórze kościelnym.

Powoli udzielał się jej spokój otoczenia. Wracała do równowagi duchowej, czuła, że wstępują w nią nowe siły, jak gdyby nie była już sama.

Ach, tato i mamó! Pomóście mi! - modliła się, wierząc, że są przy niej i podtrzymują ją w tej godzinie lęku.

Nie pamiętała, kiedy poczuła się zbyt zmęczona, by klęczeć nadal. W każdym razie w pewnym momencie

uświadomiła sobie, że leży na ławce, po czym natychmiast zapadła w głęboki sen. A teraz, kiedy się obudziła, nocne udręki wydały się jej mniej dokuczliwe i mniej przerażające.

Postawiła stopy na podłodze i zadrżała lekko. W kościele było zimno, chociaż pierwsze promienie słońca wpadały już do środka przez okno we wschodniej ścianie. Muszę wracać, pomyślała

Otworzyła małe drzwiczki i wyszła z ławki. Zauważyła teraz, że prezentowała się ona bardziej okazale niż inne. Cicho stąpając po kamiennych płytach, doszła do drzwi wejściowych. Gdy je otworzyła, świat na zewnątrz wydał się jej jasny i rześki; przez chwilę jednak zawahała się. Miała poczucie, że kościół ją chronił, a teraz znów wraca do niebezpieczeństwa. Powiedziała więc sobie, że jej rodzinie nigdy nie brakło odwagi i że musi stawić czoło temu, co ją czeka.

Do ogrodu było niedaleko, a stamtąd mogła już zobaczyć ogromny dom, różowy w świetle poranka. Teraz też zdawał się witać ją gościnnie, tak że przez moment pomyślała, iż strach, który przeżyła ubiegłej nocy, chyba się jej przyśnił. Zaraz jednak uprzytomniła sobie z zamierającym sercem, że musi znowu stanąć przed markizem. Co jej powie? Jak ona powinna się zachować?

Story w oknach były zaciągnięte, a z położenia słońca Melinda odgadła, że nie minęła jeszcze piąta. Gdy szła powoli przez ogród różany, zobaczyła, że jakaś pokojówka, która widocznie wstała wcześniej, otworzyła boczne drzwi i uklękła, aby wyszorować schody. Melinda cicho podeszła do niej, a gdy jej cień padł na klęczącą dziewczynę, ta spojrzała w górę ze zdumieniem.

- Na litość boską, ale mnie przestraszyłaś! - wykrzyknęła, ale natychmiast, zrywając się na nogi, dodała spieszenie: -

Najmocniej przepraszam, madame, nie chciałam powiedzieć nic takiego.

- Nie szkodzi - uśmiechnęła się Melinda. - Nie przypuszczam, żebyś się spodziewała, iż ktoś goszczący w tym domu wstanie tak wcześnie.

- Rzeczywiście, nie spodziewałam się, madame - odpowiedziała dziewczyna.

Melinda minęła ją i weszła do domu. Wydał się jej cichy i ciemny, w porównaniu z jasnością na zewnątrz. Dotarła do hallu i zaczęła wchodzić po schodach. Słyszała ciche odgłosy podnoszonych stor i rozsuwanych zasłon, lecz doszła do swego pokoju, nie spotkawszy nikogo.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że ubiegłego wieczoru zamknęła drzwi na klucz. Przez chwilę stała zakłopotana, zastanawiając się, co zrobić, po czym przypomniała sobie, że są drugie drzwi, prowadzące do łazienki.

Oczywiście, nie były zamknięte na klucz i uprzytomniła sobie, że gdyby markiz naprawdę chciał się dostać do jej pokoju, mógłby skorzystać właśnie z tych drzwi.

Weszła do swej sypialni, przekreśliła klucz w drzwiach, żeby je otworzyć, i dokładnie zaciągnęła zasłony, które rozsunęła wieczorem, gdy wychodziła przez okno. Najlepiej będzie, zdecydowała, jeśli pokojówka, która przyjdzie jej usłużyć, nie domyśli się, że wydarzyło się coś niezwykłego; rozebrała się więc, włożyła nocną koszulę i położyła się do łóżka.

Nie usnęła, lecz leżąc w ciemności zastanawiała się, co powinna uczynić. Jeśli markiz znów zacznie ją całować, czy będzie miała dość siły, by oprzeć się jego pocałunkom? Czy będzie w olanie walczyć z nim noc po nocy? Czy potrafi nie wpuścić go do swego pokoju i nie przyzwolić na to, czego może od niej chcieć? Pytania te huczały jej w głowie; obróciła się na bok i ukryła twarz w poduszce.

Śniadanie przyniesiono jej do pokoju. Wstała powoli i zaczęła się ubierać, poświęcając swemu wyglądowi więcej uwagi niż zwykle. W głębi duszy była świadoma tego, że stara się zyskać na czasie; w końcu jednak nie mogła już zwlekać dłużej i mimo że nie czuła się zbyt pewnie, zdecydowanym krokiem opuściła pokój i zeszła po schodach.

Spodziewała się, że znajdzie markiza w salonie, ale nie było go tam, usiadła więc na sofie, zastanawiając się, co powinna zrobić. Wzięła książkę z półki, ale nie mogła czytać. Zdawała sobie sprawę, że każdy nerw w jej ciele jest napięty i że cały czas nadśluchuje, wyczekując.

Nagle doszedł ją szmer głosów; gdzieś mężczyźni i kobiety rozmawiali i śmiali się. Przez chwilę słuchała, po czym zaciekawiona podeszła do drzwi i otworzyła je. Wielki hall był pełen ludzi. Początkowo Melinda myślała, że nie zna nikogo, lecz potem rozpoznała jedną osobę, właśnie wtedy, gdy przez frontowe drzwi wszedł do hallu markiz.

Nie zauważył jej, lecz serce Melindy zabiło mocno na jego widok. Był w spodniach do konnej jazdy, a cylinder miał beztrąsko zsunięty na bok głowy. W ręce trzymał szpicrutę, za nim podążały dwa psy myśliwskie.

- Co za najazd! - powiedział powoli, ujrawszy tłum zgromadzonych w hallu osób, które zwróciły się ku niemu wyczekująco. Trudno było poznać, czy markiz był ucieszony, czy rozgniewany ich przybyciem.

- Gilbercie! Co to, u licha, miało znaczyć, że wyjechałeś z Londynu, nie zawiadamiając mnie o tym?

Te wyciągnięte ręce, rozchylone usta i piękna twarz należały do kogoś, kogo Melinda rozpoznała aż nazbyt łatwo.

- Z pewnością nie spodziewałem się, że zobaczę cię tego ranka, Skittles - odrzekł markiz.

- Ale cieszysz się, że mnie widzisz? No powiedz, że się cieszysz!

Twarz Skittles była zwrócona w górę, ku twarzy markiza, jej czerwone usta prowokacyjnie wysunięte ku niemu. Prawie odruchowo Melinda mocno zacisnęła swe splecione dłonie. W tej właśnie chwili stojący przy kominku kapitan Vestey zobaczył ją i podchodząc zawołał:

- Melindo, miło cię widzieć! Czy wygodnie ci się wczoraj podróżowało?

Podniósł jej rękę do ust, a ona zmusiła się, by mu odpowiedzieć,

- Tak, dziękuję, to była bardzo miła przejażdżka. Przyjemnie być daleko od Londynu.

- Wszyscy tak uważamy - powiedział. - Dlatego właśnie Skittles nalegała, żeby wyruszyć o jakiejś pogańskiej godzinie, tak wcześnie, że nie zdążyłem jeszcze nawet powiek rozewrzeć.

Kapitan Vestey patrzył Melindzie prosto w oczy. Zdawała sobie sprawę, że w ten sposób daje jej czas na opanowanie się i rozmyślnie przeszkadza w obserwowaniu Skittles, próbującej wszystkich swych sztuczek dla oczarowania markiza. Wyglądała ślicznie w szmaragdowozielonym kostiumie do jazdy konnej, w którym jej kibić wydawała się niewiarygodnie szczupłą, a cera bardzo biała.

- Wkrótce cholernie się znudzisz, jeśli będziesz spędzał zbyt wiele czasu na wsi - powiedziała swym dźwięcznym głosem, lecz markiz już wyrwał się z jej rąk i witał z innymi przyjaciółmi.

Byli to sami mężczyźni. - elegancy, hałaśliwi i niezwykle swobodni; gdy kapitan Vestey przedstawiał ich Melindzie, witali ją z lekkim odcieniem poufałości, czym czuła się dotknięta, ponieważ nie rozumiała takiej ich postawy.

- No cóż, pomyślałam sobie, że cholernie byś się ucieszył na nasz widok - paplała Skittles. - Gerwazy powiedział nam o twej bolesnej stracie i zdecydowałam, że nie pasowałoby to do

ciebie, gdybyś siedział tu smętnie, nie mając przy sobie swych kumpli.

- Dobra myśl, Skittles - rzekł markiz z nutą sarkazmu w głosie - lecz po co taka duża eskorta?

- Miałam wziąć ze sobą jakąś przekłętą przyzwoitkę, czy tak? - zapytała Skittles, wybuchając śmiechem. - Jeśli już ktoś jej potrzebuje, to chyba ta mała z mleczkiem na buzi!

Mówiąc to patrzyła na Melinę z jawną wrogością, a panowie natychmiast zaczęli przejawiać oznaki niepokoju, co zawsze czynią mężczyźni, gdy kobiety zachowują się nieprzyjaźnie względem siebie.

- Co myślisz o tym, żeby się trochę pokrzepić, Gilbertcie? - zapytał pospiesznie kapitan Vestey. - Jeśli o mnie chodzi, nie miałem czasu zjeść śniadania i jestem okropnie głodny.

- A ja powiem wam coś ciekawego - odezwała się znów Skittles. - Gdy jechaliśmy przez park aleją prowadzącą do domu, przyszło mi do głowy, że to diablo dobre tereny do ścigania się konno.

- Na świętego Jerzego! Ona ma racje! - wykrzyknął jeden z dżentelmenów. - Schody frontowe stanowiłyby pierwszorzędną trybunę, z której można by obserwować jeźdźców na całej trasie! Dlaczego dotąd nie pomyśleliśmy o tym?

- Dlatego, że jesteście cholernymi głupcami! - odparła Skittles. - Chodźmy popatrzeć.

Wyszła frontowymi drzwiami, a dżentelmeni pospieszyli za nią. Melinda przyłączyła się do nich, jakby pod wpływem jakiegoś wewnętrznego przymusu. Stanęli całą grupą na schodach; u ich stóp rozciągał się park z wysokimi drzewami, a po obu jego stronach pola biegnące ku odległym lasom.

- Widzicie! - orzekła Skittles. - Naturalny tor wyścigowy.

- Ona ma rację! - przyznał kapitan Vestey. - Musisz go kiedyś wypróbować, Gilbertcie!

- Po co czekać? - oświadczyła Skittles. - Wygram z każdym z was. O co się założymy? O pięćset gwinei?

- Za wysoko, Skittles - zaprotestował jeden z dżentelmenów. - Wiesz przecież, że na pewno wygrasz.

- Co, tchórz was obleciał? - parsknęła pogardliwie Skittles. - No, dalej, skąpe bękarty! Pięćset gwinei, że Saracen i ja pokonamy każdego z was! Jeśli chcecie, mogę mieć przy tym jedną rękę przywiązaną za plecami!

Dżentelmeni mieli miny raczej zakłopotane. Żaden nie podjął wyzwania. Wtedy cienki głosik, pochodzący - jak wydało się Melindzie - od kogoś zupełnie obcego, oznajmił:

- Ja przyjmuję ten zakład.

Gdy wypowiedziała te słowa, zapadła cisza. Potem wszystkie głowy zwróciły się ku niej i dziesięć par oczu wpatrzyło się w nią z absolutnym zdumieniem.

- Ty? - zapytała pogardliwie Skittles. - A na czym pojedziesz? Na krowie?

- Przyjmuję twoje wyzwanie - powiedziała Melinda, patrząc jej prosto w oczy.

- Ależ Melindo... - zaczął kapitan Vestey, zaraz jednak przerwał mu markiz.

- To niemożliwe!

- Bynajmniej - odparła Melinda. - Chcę podjąć wyzwanie panny Walters, pod jednym wszakże warunkiem; że pozwoli mi pan wybrać spośród swoich koni tego, którego zechcę.

- Tak, oczywiście, on to zrobi! - wykrzyknął jeden z dżentelmenów. - Gilbert kupił ostatnio kilka wspaniałych koni. Musisz uważać na swoje laury, Skittles!

- Laury! - prychnęła Skittles. - Do jasnej cholery, czy myślicie, że coś sobie z tego robię? Stawiam pięć do jednego, że ta pularda spadnie na pierwszym płocie!

Grubiaństwo Skittles zabarwiło rumieńcem policzki Melindy, lecz jej oczy zabłyśły, a usta zacisnęły się, gdy posłyszała słowa markiza.

- Nie pozwolę na to.

- Nie możesz mi w tym przeszkodzić, milordzie - odparła.

- To prawda, on nie może tego zrobić - zgodził się jeden z przyjaciół markiza. - Nie psuj innym zabawy, Gilbertcie. Pozwól dziewczynom zrobić to, co chcą. Ostatecznie panna Melinda jest wielką niewiadomą.

Kapitan Vestey chwycił Melinę za rękę.

- Nie rób tego! Nie rób! - przekonywał ją cichym głosem, tak żeby tylko ona mogła usłyszeć. - Jesteś szalona! Skittles lepiej jeździ konno niż jakakolwiek inna kobieta w tym kraju. Wymyśl coś; powiedz, że jesteś chora; usłuchaj Gilberta.

Jeśli nawet Melinda zawahała się, to nie dała tego po sobie poznać. Patrzyła tylko na Skittles, która znów położyła rękę na ramieniu markiza, i słyszała jej słowa:

- Dawno już nie widziałeś mnie na koniu. Chciałabym ci pokazać, jak szybko potrafię jeździć.

Dwuznaczność jej tonu była zupełnie wyraźna i Melinda poczuła, że sztywnieje.

- Kiedy panna Walters chciałaby przeprowadzić ten bieg? - zapytała.

- Nie ma pośpiechu - odpowiedziała Skittles przez ramię.

- Nie będę potrzebować dużo czasu, żeby cię pokonać, panno Ambitna. Mam tylko nadzieję, że będziesz w stanie zapłacić przegraną. Nie lubię, gdy ktoś wykręca się od spłacenia swych długów.

- Jeśli wygrasz, dostaniesz pieniądze - powiedziała spokojnie Melinda.

- Podano przekąski, milordzie! Słowa te, wygłoszone przez kamerdynera, który pojawił się w drzwiach frontowych,

przerwały napięcie, jakie zdawało się wibrować między obiema kobietami.

- Na Jowisza, napiłbym się czegoś! - wykrzyknął jeden z dżentelmenów; panowie odsunęli się na bok, tak że Skittles pierwsza przeszła przez drzwi, obrzucając Melinę pogardliwym spojrzeniem.

Melinda była zmuszona wejść za nią. Znalazszy się w hallu, skierowała się ku schodom. Przebyła zaledwie kilka stopni, gdy z tyłu dobiegł ją głos:

- Melindo!

Był to markiz. Zostali w hallu sami, ponieważ reszta towarzystwa podążała już korytarzem do jadalni. Odwróciła się do niego.

- Ty mała wariatko! - powiedział. - Skrećisz sobie kark!

W jego głosie dźwięczała nuta wściekłości i Melinda nie miała jakoś ochoty słuchać go dłużej. Nie odpowiadając odwróciła się i pobiegła po schodach w górę, pozostawiając go wpatzonego w jej oddalającą się postać.

Dopiero gdy wróciła do swego pokoju, uświadomiła sobie, że nie ma kostiumu do jazdy konnej. A bez takiego kostiumu nie mogła wziąć udziału w wyścigu. Zadzwoiła na pokojówkę.

- Czy nie ma przypadkiem w domu jakiegoś kostiumu do jazdy konnej, który by na mnie pasował? - zapytała.

Pokojówka wydawała się jeszcze bardziej wyniosła i lekceważąca niż ubiegłego wieczoru.

- Nie mam pojęcia, panienko - powiedziała - ale zapytam panią Meadows, gospodynię.

Pani Meadows była stara, siwowłosa, i Melindzie wydało się, że przygląda się jej badawczo.

- Kostium do jazdy konnej! Nie wiem, panienko, czy potrafię dobrać coś odpowiedniego. Panienska jest taka drobna.

- Ach, proszę - rzekła Melinda. - Proszę zobaczyć, czy nie znajdzie pani czegoś dla mnie! To bardzo ważne.

Wiedziała, że gdyby musiała teraz odwołać wyścig, byłoby to przyznaniem się do porażki nie tylko wobec Skittles, lecz także wobec markiza. Tylko przez chwilę pomyślała, że jest szalona, ryzykując w tak nierównym wyścigu wszystkie swoje pieniądze, wszystkie nadzieje na wspólny domek z Naną. Zaraz potem uświadomiła sobie, że nienawidzi Skittles, że musi ją pokonać, i to nie tylko w jeździe konnej.

- Proszę, proszę mi pomóc - błagała gospodynię. Pani Meadows spojrzała na jej drobną, ożywioną gorącym pragnieniem twarzyczkę i prawie mimo woli wykrzyknęła:

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego taka miła młoda dama jak ty bierze udział w tych dzikich wybrykach. Jesteś za młoda na takie rzeczy!

- Ja muszę ścigać się z nią konno - powiedziała Melinda prawie do siebie.

- Właściwie nie miałam na myśli jazdy konnej - stwierdziła pani Meadows, lecz zaraz zreflektowała się. - Oczywiście, to nie moja sprawa. Chodźmy, panienko, zobaczę w moim magazynie, czy nie znajdzie się coś dla ciebie. Szkoda, że nie jesteś chłopcem, bo przechowuję, dobrze zabezpieczone przed molami, wszystkie ubiory jego lordowskiej mości od czasu, gdy po raz pierwszy posadzono go na koniu. Są też rzeczy zmarłej jaśnie pani; jej lordowska mość zawsze zostawiała tu przez zapomnienie różne części garderoby, ale była wysoka i żaden z jej strojów nie nadawałby się dla panienki.

Gdy to mówiła, zdążyły już dojść do pokoju gospodyni za którym znajdowało się pomieszczenie całkowicie wypełnione odzieżą różnego rodzaju.

- To wszystko są rzeczy, które kiedyś ktoś nosił? - zapytała Melinda, rozglądając się dookoła.

- Oczywiście, panienko - odpowiedziała pani Meadows. - A niektóre z nich są bardzo ładne. Są tu szaty jego lordowskiej mości, para Anglii, które miał na sobie podczas koronacji królowej, przed nim zaś jego ojciec i dziad. Jest też diadem jej lordowskiej mości i suknie ślubne czterech pokoleń. Jego lordowska mość czasami dokucza mi, nazywając ten magazyn moim „muzeum”. Nie jest daleki od prawdy, bo to część historii Chardu. - Pani Meadows mówiła to z dumą, lecz zaraz jej twarz nachmurzyła się. - Ale ten dom nigdy przedtem nie oglądał takich „dam” jak ta - powiedziała z goryczą i szyderstwem.

- Właśnie dlatego muszę ją pokonać - oświadczyła Melinda. - Myślę, że ona jest okropna. Nie wiedziałam, że są na świecie takie kobiety. A jednocześnie jest taka piękna!

- Nie ma niczego pięknego w osobach tego pokroju! - warknęła pani Meadows i nagle wydała okrzyk: - Mam! Mam to, czego nam potrzeba, panienko! Nie pomyślałam o tym wcześniej, ponieważ leżało razem ze strojami maskaradowymi. Ale to jest kostium do jazdy konnej, który nosiła babka jego lordowskiej mości, gdy odwiedziła Francję i polowała na dzika z królem Ludwikiem XIV. Jej lordowska mość była osobą bardzo drobną. Ja oczywiście znałam ją już wtedy, gdy była damą w bardzo podeszłym wieku, lecz nadał zachowała figurę. Przechowuję tu wiele jej strojów ku podziwowi przyszłych pokoleń.

Tak opowiadając, przez cały czas pani Meadows otwierała drzwi szaf, a teraz zdjęła z półki kostium do jazdy konnej z ciemnoniebieskiego aksamitu. Zdobily go srebrne galony i iskrzące guziki z szafirów oraz koronkowy żabot przy szyi. Malutki trójgraniasty kapelusik przystrojony był zakrzywionym strusim piórem.

- Jakie to piękne! - wykrzyknęła Melinda. - A te guziki! Są prawdziwe?

- Czy sądzisz, że jej lordowska mość włożyłaby coś, co nie byłoby najlepsze? - zapytała pani Meadows. - No, przymierz ten kostium, panienko. Jestem pewna, że będzie leżał na tobie jak ulany, a ja mam dobrą miarę w oku. Zaraz, gdzie są buciki?

Kwadrans później Melinda schodziła powoli po schodach. Zdawała sobie sprawę, że choć odrobinę za bardzo wystrojona, z pewnością wygląda wyjątkowo korzystnie. Niebieski aksamit uwydatniał błękit jej oczu; zakrzywione strusie pióro dotykało policzka; żabot z prawdziwej koronki otaczał jej szyję, a szafirowe i diamentowe guziki iskrzyły się przy każdym kroku.

Usłyszała śmiech dobiegający z jadalni, lecz, nie zważając na to, wyszła przez frontowe drzwi i skierowała się prosto do stajni. Stajenni byli zajęci czyszczeniem koni, na których przybyli goście. Konia Skittles, ognistego kasztana, trudno było utrzymać i dwóch chłopców miało kłopoty z zaprowadzeniem go do przegrody w stajni. Starszy stajenny, niemłody już mężczyzna, z którym Melinda rozmawiała poprzedniego dnia, wyszedł do niej.

- Życzy sobie pani konia, madame?

- Tak - odpowiedziała Melinda. - Pojadę na Piorunie.

Stajenny wydawał się zupełnie oszołomiony.

- Jestem pewien, że jego lordowska mość nie pozwoli na to, madame. Mówiłem wczoraj, że trudno nim pokierować dżentelmenowi, a co dopiero damie.

- Pojadę na nim - powtórzyła zdecydowanie Melinda. - A teraz pójdę do jego przegrody.

- Bądź ostrożna, panienko. On tak kopnął w zeszłym roku jednego z moich chłopców, że ten leżał prawie trzy miesiące w szpitalu.

- Będę ostrożna - obiecała Melinda.

Weszła do przegrody. Gdy zbliżyła się do Pioruna, położył po sobie uszy i parsknął dość agresywnie. Odezwała się do niego takim samym tonem, jakim przemawiała do swoich koni. Potem bardzo wolno położyła rękę na jego szyi. - Pomożesz mi, chłopcze? - powiedziała łagodnie. - Musisz pokazać im, co potrafisz; a ja muszę udowodnić coś sama sobie.

Nie przestawała mówić i wydawało się, że koń reaguje na jej głos. Na koniec poklepała go delikatnie po nosie i zwróciła się do starego stajennego, który przez cały czas ją obserwował.

- Osiodłajcie go teraz - powiedziała. - Myślę, że rozumie, o co chodzi.

- Jak żyję, nie widziałem czegoś podobnego! - wykrzyknął stary człowiek. - Osiodłam go sam, madame. Żadnemu z chłopców nie pozwoliłbym zbliżyć się do niego. Ale naprawdę nie wiem, co powie jego lordowska mość.

- Pojadę na nim do drzwi frontowych - oświadczyła Melinda, wiedząc, że znacznie łatwiej będzie jej argumentować, siedząc na koniu, niż stojąc na ziemi.

Kiedy całe towarzystwo, łapczywie pochłonawszy zimne przekąski, błyskawicznie przyrządzone przez kuchmistrza, i wypiwszy niemało szampana z piwnic markiza, wychodziło z jadalni, Melinda powoli jeździła dookoła podjazdu na Piorunie.

- Dobry Boże! - usłyszała okrzyk kapitana Vesteya. - Co to za koń, na którym jedzie Melinda? Nigdy nie widziałem wspanialszego zwierzęcia!

- To Piorun - odpowiedział markiz, a Gerwazy Vestey, spojrzawszy na twarz przyjaciela, zorientował się, że jest on w złym humorze.

- Nic jej się nie stanie, prawda? - zapytał.

Markiz nie odpowiedział. Szedł na przelaj, prosto ku Melindzie.

- Nie pozwolę na to! Rozumiesz, Melindo? Zabraniam ci jechać na tym zwierzęciu!

- Ale już na nim jadę! - odparła.

- Zaprowadzę go z powrotem do stajni i znajdę ci innego - oświadczył markiz i wyciągnął rękę, żeby pochwycić cugle. Trudno powiedzieć, czy Koranowi nie spodobała się ta interwencja, czy też poczuł ukłucie ostrogi Melindy, dość że stanął dęba, zmuszając markiza do cofnięcia się o krok, Melinda zaś, umiejętnie powodując koniem, odjechała kawałek aleją, jakby uspokajała rozdrażnione zwierzę.

- Spokojnie, chłopcze! Spokojnie! - mówiła. - Jeśli za bardzo się zdenerwują, to mogą naprawdę nie pozwolić mi pojechać na tobie, a to byłoby niedobrze.

Przyprowadzono ze stajni konia Skittles, która zeszła ze schodów śmiejąc się i przeklinając. Ktoś pomógł jej usadowić się w siodle. Krzykliwym głosem domagała się, żeby podać jej rękawiczki i bat, żartowała z dżentelmenami, aż wreszcie rozejrzała się dookoła i zobaczyła w pewnej odległości Melindę na wielkim czarnym ogierze. Umilkła na chwilę, a jej oczy zwięzły się. Potem zaśmiała się.

- Mój Boże! Nie miałam pojęcia, że tu odchodziło takie strojenie się! Moja przeciwniczka chce chyba wyglądać zabójczo. Rzeczywiście można umrzeć, ale ze śmiechu.

Poczekwała, aż otaczający ją dżentelmeni roześmieją się, po czym schyliła się i położyła rękę na ramieniu markiza.

- Tom przyjmuje zakłady - oznajmiła - Gilbercie, postaw na mnie. Chciałabym wygrać coś dla ciebie.

- Dziękuję ci, Skittles, ale to jest wyścig, którego nie pochwalam - odparł markiz. - Nie postawię na żadną ze współzawodniczek.

- A więc przyniosę ci tylko moje zwycięstwo - powiedziała przyciszonym głosem Skittles. - Wchodzi tu w grę trochę więcej niż pięćset gwinei, i ty wiesz o tym, prawda?

- Zakład jest między wami - stwierdził zdecydowanie markiz - Ja nie maczałem w tym palców.

Melinda, która obserwowowała ich, ale nie słyszała, o czym mówią, poczuła nagły ból w sercu. Chociaż ta kobieta wyrażała się wulgarnie, to jednak była bardzo piękna. Pragnęła markiza i pozwalała, by cały świat o tym wiedział. Dziwiła się, jak może się jej opierać.

Melinda zawróciła Pioruna, gdyż nie mogła już dłużej patrzeć na nich, i pokłusowała na początek alei, gdzie miało być miejsce startu. Doszło do małej sprzeczki, kto ma dać sygnał do rozpoczęcia wyścigu. Markiz odmówił i w końcu kapitan Vestey zgodził się przyjąć tę funkcję. Inni dżentelmeni udzielali mu wszelkiego rodzaju wskazówek i pouczeń, aż wreszcie dosiadł konia i dołączył do Melindy. Obok niego jechała Skittles.

- Trasę znacie - powiedział do obu kobiet. - Po pierwszych trzech płotach, które widać z tego miejsca, zawróćcie i pojedziecie z powrotem drugą stroną parku; jeszcze trzy płoty w dużej odległości stąd, i do mety, która będzie tutaj.

- Nie zapomnijcie: trzymam zakład, że moja przeciwniczka spadnie na pierwszym płocie - oznajmiła Skittles.

Mówiła agresywnym tonem i Melinda odniosła wrażenie, że nie jest już tak pewna swej przewagi jak na początku.

- No, zajmijcie miejsca na starcie - powiedział kapitan Vestey - a ja podam wam sygnał. Będę liczyć: „jeden, dwa, trzy”, kiedy zaś opuszczę chusteczkę, ruszajcie.

Pojechał jako pierwszy na linię startu. Kobiety zawróciły konie i powoli ruszyły ku niemu.

- Jeden, dwa, trzy - odliczył kapitan Vestey i opuścił chusteczkę.

Piorun, jakby doskonale wiedział, o co chodzi, ruszył niczym strzała wypuszczona z łuku. Melinda powstrzymywała go tak mocno, jak tylko mogła, wiedząc, że zbyt szybkie tempo na początku biegu byłoby błędem. Pojawił się przed nimi pierwszy płot i Melinda zrozumiała, dlaczego Skittles spodziewała się, że jej rywalka spadnie tu z konia. Był to wysoki płot z szerokim rowem i obniżeniem terenu po drugiej stronie, stanowiący trudną próbę zarówno dla niedoświadczonego konia, jak i niedoświadczonego jeźdźca.

- Ostrożnie, chłopcze! Ostrożnie! - przemawiała do konia, powściągając go tak, że wziął przeszkodę przy znacznie mniejszej szybkości, niż zamierzał. Przeleciał nad nią i bez trudu wylądował.

Ostrożność Melindy dała Skittles prowadzenie o kilka długości. Następny płot był bardzo blisko, a trzeci w pewnej odległości. Drugi płot pokonała z taką samą ostrożnością, po czym popuściła Piorunowi cugli. Przyhamowała go tuż przed trzecim płotem i zobaczyła, że po drugiej jego stronie płynie mały strumyk. Przeskoczył czysto, lecz z trudem, i musiał trochę wygrzebywać się na brzeg.

Znów Skittles zyskała pół długości. Były teraz na zakręcie, a po chwili skierowały się już w stronę mety. Melinda rzuciła szybkie spojrzenie na swą przeciwniczkę i przekonała się, że Skittles rzeczywiście wspaniale jeździ konno. Zrozumiała, jak zdobyła ona swą sławę: jechała tak, jakby była częścią konia. Trasa była miękka i kawałki darni wyrywane kopytami koni fruwały za nimi w powietrzu.

Skittles ciągle była na przedzie. Przeleciała nad piątym płotem jak ptak i chociaż Piorun odrobił teraz część straty, nadal prowadziła o dwie długości. Przeskoczyły szósty płot i pędziły już do mety.

Melinda wiedziała, że teraz nadszedł moment, w którym Piorun musi zdobyć się na największy wysiłek. Dotknęła go batem, ale nie było to potrzebne. Ogier, jak gdyby instynktownie wiedział, czego od niego oczekuje, zaczął cal po calu, stopa po stopie zbliżać się do prowadzącego konia, stale zmniejszając dzielącą je odległość. Widziała już tłum dżentelmenów czekających na mecie.

- Proszę, Piorunie! Proszę! Szybciej, chłopcze!

Słyszała swój głos przez grzmot kopyt i czuła, jak pęd jazdy porywa jej słowa spomiędzy warg. Potem nagle Piorun skoczył naprzód z nową siłą, która zdawała się pochodzić z jej własnego serca. Ponagliła go całą swą istotą, a on reagował.

Usłyszała okrzyki oczekujących na nie dżentelmenów; miała wrażenie, że wiatr zedrze jej skórę z twarzy. Piorun zrównał się z koniem Skittles... wyprzedził go o głowę... i wreszcie o pół długości, gdy z szumem i tętentem minęły metę.

Upłynęło kilka chwil, zanim Melinda zdołała ściągnąć cugle, wydawało się jej, że ramiona ma wyrwane ze stawów, a dłonie były prawie bezwładne ze zmęczenia, w końcu jednak zdołała zatrzymać i zawrócić Pioruna. Pocwałowali z powrotem i dopiero teraz Melinda uprzytomniła sobie, że gdzieś na trasie zgubiła swój trójgraniasty kapelusik, a jasne loki okalające jej twarz są mocno potargane.

Widzowie tłoczyli się wokół niej, klaszcząc, wiwatując, zapewniając, że była wspaniała. Ona jednak widziała tylko jednego mężczyznę. Ponad ich głowami spoglądała na markiza. Widziała, że patrzy na nią bez uśmiechu, ze szczególnym wyrazem oczu, którego nie potrafiła zrozumieć.

- Świetnie!

- Brawo!

- Boże! Byłaś wspaniała!

Okrzyki rozbrzmiewały wokół niej, lecz prawie ich nie słyszała. Ktoś prowadził Pioruna ku frontowym schodom, by mogła tam zsiąść. Poczula ogromne zmęczenie. Nawet uniesienie i duma gdzieś znikły. Wiedziała tylko to, że wyraz oczu markiza odebrał jej całą radość triumfu.

Zachwiała się w siodle. Nagle silne ramiona chwyciły ją i zsadziły z konia na ziemię. Nie musiała patrzeć; by wiedzieć, do kogo należały. Wniósł ją po kamiennych stopniach, a potem przez frontowe drzwi. Myślała, że położy ją w hallu, on jednak szedł dalej po schodach na górę; jej twarz była przytulona do jego ramienia, a jasne włosy spływały na niebieski aksamit kostiumu do konnej jazdy.

Zaniósł ją do jej sypialni i położył na łóżku. Chciała krzyknąć, gdy przestał ją obejmować, ale nie mogła wykrztusić słowa, nawet podziękować mu, bo głos zamarł jej w krtani. A potem, kiedy leżąc z głową opartą na poduszce otworzyła oczy i spojrzała na mego, usłyszała, jak mówi szorstko:

- Ty mała idiotko! Mogłaś sobie skrócić kark!

Rozdział 10

Melinda zapadła w krótką drzemkę po prostu wskutek wyczerpania. Kiedy się obudziła, ciągle słyszała ton pogardy - a może był to gniew? - w głosie markiza, gdy mówił do niej. "Ty mała idiotko! Mogłaś sobie skrócić kark!" Słowa te wciąż dźwięczały jej w uszach.

Jednocześnie czuła, że wyścig wyzwolił coś w niej samej. Było to tak, jak gdyby podejmując wyzwanie, przeciwstawiła się nie tylko Skittles, lecz każdemu, kto kiedykolwiek ją tyranizował, obrażał, traktował pogardliwie lub lekceważył jako ubogą krewną. Wszystko, co wycierpiała w ostatnim roku, skumulowało się w niej w jednej ogromnej urazie, która teraz zerwała tamy, dzięki czemu Melinda mogła się wreszcie od niej uwolnić.

Przede wszystkim jednak wiedziała, że chciała w ten sposób zyskać uznanie markiza; pokazać mu, że nie jest tylko słabym, głupim pionkiem, który może on przesuwać w przód i w tył, stosownie do potrzeb swych machinacji; kimś pozbawionym charakteru i nie potrafiącym samodzielnie myśleć. Czuła, że tego nie udało się jej dokonać - ale jednak wyścig wygrała.

Pamiętała zdumienie w oczach dżentelmenów, którzy wznosili okrzyki na jej cześć, gdy minęła linię mety przed Skittles. Nie wiedzieli, że ojciec wychowywał ją tak, by zastąpiła mu syna, którego nigdy nie miał. Zabierał ją wszędzie ze sobą, jakby rzeczywiście była jego wytęsknionym dziedzicem i następcą. Nauczył ją jeździć konno; brał na polowania; razem z nim strzelała do kuropatw i pływała w jeziorze, skacząc z wysokiego brzegu. Gdy matka protestowała, śmiał się.

- Daj mi syna - dokuczał - a oddam ci córkę.

Dla Melindy towarzyszenie ojcu w jego sportowych rozrywkach było źródłem ogromnej radości. Zawsze traktował

ją jak kogoś równego sobie, tłumacząc, co trzeba zrobić, okazując życzliwość i zrozumienie, gdy nie udało się jej przeskoczyć płotu czy ustrzelić ptaka.

- Wyglądasz na dosyć wątłą - powiedział jej pewnego razu - ale kiedy trzymasz cugle, twoje ręce są podobne do rąk mężczyzny.

Był to największy komplement, jakim mógł ją obdarzyć, i Melinda zastanowiła się, czy ojciec wie o jej wyścigu i pochwała go. Wygrała zakład i starła z twarzy Skittles ten zarozumiały, arogancki uśmiech, ale co jej to dało? Markiz nadal nią pogardzał.

Na chwilę wtuliła ponownie twarz w poduszkę; potem, zirytowana na siebie, wstała z łóżka. Zadzwoiła na pokojówkę, umyła się i przebrała w niezwykle twarzową suknię z białej żorzęty, ozdobioną niebieskimi wstążkami i niezliczonymi maleńkimi falbankami z koronki. Służąca ułożyła jej włosy i Melinda nagle uświadomiła sobie, że nie jest już zmęczona; przeciwnie - narastało w niej jakieś dziwne podniecenie, podniecenie na myśl, że znów zobaczy markiza, że zejdzie schodami nie jako zdruzgotane, lekceważone małe zero, lecz jako ktoś, kto pokonał Skittles, kobietę obwołaną najlepszą amazonką w kraju

Tylko przez moment nie mogła usunąć z pamięci obrazu ślicznej twarzy Skittles uniesionej ku markizowi, jej białej dłoni na klapie jego surduta, jej ust, prowokacyjnie czerwonych i zwróconych ku niemu. Po chwili niecierpliwie otrząsnęła się z tych myśli. Skittles mogła polować na markiza, i niewątpliwie dokładała wszelkich starań, aby nim zawładnąć, lecz na razie to ona, Melinda, była jego posiadaczką. Przez sześć miesięcy nie może się jej pozbyć; przez sześć miesięcy, niezależnie od tego, jak bardzo Skittles go pociąga, będzie musiał trzymać Melinę u swego boku i udawać, przynajmniej wobec prawników, że jest jego żoną.

Spojrzała na swe odbicie w zwierciadle. Pomyślała, jak trudno byłoby komukolwiek - a już najbardziej sir Hektorowi - w tej wykwintnie ubranej i kunsztownie uczesanej damie rozpoznać cichą, lękliwą jak myszka, ubogą krewną, która była łajana i bita, z którą liczone się mniej niż z kimkolwiek innym w domu stryja.

Ta myśl sprawiła, że wysoko podniosła głowę i zeszła po schodach, stąpając jak królowa. Zrozumiała, że zwycięstwo dało jej pewność siebie i poczucie dumy, których nie miała przedtem. Ku jej zdziwieniu w domu było zupełnie cicho. Otworzyła drzwi do salonu i zamiast tłumu roześmianych mężczyzn, którego się spodziewała, ujrzała tylko kapitana Vesteya. Stał tyłem do drzwi, wyglądając przez okno. Musiał usłyszeć, jak weszła, bo zapytał:

- Czy już odjechali? - Potem odwrócił się i zawołał: - Ach, to ty, Melindo! Myślałem, że to Gilbert. Właśnie odprowadzał wyjeżdżających gości.

- A więc wyjechali - powiedziała Melinda.

- Wyjechali - potwierdził kapitan Vestey, idąc ku niej. - Chodź tu i siadaj. Musisz być zmęczona.

- Odpoczywałam - zapewniła go - i już nie jestem zmęczona.

- Powinnaś być - stwierdził. - Byłaś wspaniała! Nie myślałem, że jest na świecie kobieta, która potrafi pojechać na Piorunie i pokonać Skittles. Kto cię nauczył tak jeździć konno?

- Mój ojciec - odrzekła Melinda. - Jeździłam konno od trzeciego roku życia.

- Jest jazda i jazda! - wykrzyknął kapitan Vestey. - A ty byłaś wprost niesamowita! Nigdy bym nie uwierzył, że zobaczę coś tak fascynującego jak twój sposób poprowadzenia Pioruna przez ostatnie pół mili.

- A jego lordowska mość gniewa się na mnie - mruknęła półgłosem Melinda.

- Nic dziwnego - odparł kapitan Vestey. - Wszyscy myśleliśmy, że skręcisz sobie kark.

- A... gdyby... rzeczywiście tak... się... stało - jąkała się Melinda - to on... nie otrzymałby... swego... spadku?

- Nie pomyślałem o tym wcześniej. Ależ skąd! - zaprotestował kapitan Vestey. - On niepokoił się o ciebie, my wszyscy zresztą. Gdybyś zmarła przed spełnieniem warunku markizy, nie byłaby to jego wina. Przypuszczam, że otrzymałby te pieniądze natychmiast.

- A wiec... więc on niepokoił się... o mnie? - szepnęła Melinda jakby do siebie i poczuła, że na myśl o tym serce podskoczyło jej w piersi.

- Myślę, że masz błędne wyobrażenie o Gilbercie... - zaczął kapitan Vestey, zanim jednak: zdołał dokończyć zdanie, drzwi się otworzyły i wszedł markiz.

- Wyjechali - powiedział krótko i w tym momencie zobaczył małą twarzyczkę Melindy zwróconą ku niemu z wyrazem lęku w oczach.

Nie odezwał się ani słowem, tylko skierował się ku miejscu, gdzie siedziała. Stał przed nią i patrzył, jakby chciał zrozumieć i zapamiętać jej kruchość, jej małe białe dłonie i twarz w kształcie serca z dużymi, pełnymi niepokoju, błękitnymi oczami.

- Nie mogę w to uwierzyć! - powiedział. - Nie powierzyłbym Pioruna żadnej kobiecie.

- Dziękuję, że pozwolił mi pan pojechać na nim - rzekła Melinda.

Jej słowa jakby rozładowały chwilowe napięcie. Markiz odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Pozwoliłem ci! - wykrzyknął. - Nie zostawiłaś mi wyboru. Myślę teraz, że musiałem chyba mieć jakieś

zaciemnienie umysłu, skoro zgodziłem się na coś tak zwariowanego. Kiedy jednak już to się stało, wyszło w końcu na dobre. Wygrałaś!

- Rzeczywiście, wygrała pięćset gwinei - powiedział kapitan Vestey. - Myślisz, że Skittles zapłaci?

- Jestem pewien, że zapłaci - lub ktoś zapłaci za nią - odpowiedział markiz. - Nawet w świecie Skittles przegrany zakład jest długiem honorowym.

Melinda zaczęła się zastanawiać, co miał na myśli, mówiąc o „świecie Skittles”. Czy był to inny świat od tego, w którym sam się obracał? Przypomniała sobie inne kobiety obecne na dziwnym przyjęciu tej nocy, kiedy umarła markiza, przywołała uczucia odrazy i wstrętu, jakie wzbudzało w niej ich zachowanie, pomyślała o potokach przekleństw płynących nieustannie z ust Skittles.

Nagle zniknęła cała radość, jaką odczuwała z powodu zwycięstwa w wyścigu, gdyż uświadomiła sobie, że współzawodnicząc ze Skittles, zniżyła się niejako do jej poziomu.

- To był fantastyczny wyścig! - usłyszała słowa kapitana Vesteya i uświadomiła sobie, że nie może już dłużej słuchać, jak o tym rozmawiają. Impulsywnie podniosła się z miejsca.

- Czy mogę o coś prosić? - zapytała markiza.

- Oczywiście - odpowiedział.

- Nie mówmy więcej o tym wyścigu. Może nie miałam racji, przyjmując wyzwanie panny Walters. Po prostu wiedziałam, że na Piorunie mogę ją pokonać. Ale teraz myślę, że nie powinnam była tego robić. Czy mógłby pan przekazać jej tę wiadomość? Nie chcę od niej żadnych pieniędzy. Może je zatrzymać.

Markiz nic nie powiedział, lecz jego oczy były utkwione w twarz Melindy.

- Ale dlaczego ich nie chcesz? - wtrącił się kapitan Vestey. - To był zakład. Nie ulega wątpliwości, że powinnaś przyjąć te pięćset gwinei, jeśli tylko Skittles będzie na tyle przyzwoita, by je zapłacić.

- Nie, wolałabym nie - odparła Melinda. - A gdyby należała, przekażę te pieniądze na cele dobroczynne.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym odezwał się markiz:

- Myślałem, że bardzo zależy ci na pieniądzach. Powiedziałaś mi kiedyś, że to pieniądze skłoniły cię do przyjęcia mojej propozycji.

- Rzeczywiście, tak było - odrzekła Melinda. - Ale mam już wystarczającą sumę. Nie potrzebuję, ani nie chcę, brać pieniędzy od panny Walters.

- Nie lubisz jej? - zapytał markiz.

Wargi Melindy zacisnęły się. Przez chwilę zamierzała powiedzieć mu bez ogródek, co myśli o Skittles i o innych kobietach, którym ją przedstawił. Potem jednak doszła do wniosku, że mówiąc o nich w taki sposób, mogłaby się wydać złośliwa, a w dodatku - pomyślała w nagłym popłochu - markiz by zrozumiał, że faktycznie jest zazdrosna o pannę Walters.

- Rozmawiajmy, proszę, o czymś innym - powiedziała. Chciała się odwrócić, ale markiz chwycił ją mocno za rękę. Poczwała, że drży pod jego dotknięciem, i spojrzała na niego z odrobiną lęku w oczach.

- Jesteś dziwnym stworzeniem, Melindo - odezwał się do niej w taki sposób, jakby byli sami w pokoju, jakby nie było tam kapitana Vesteya. - Nie rozumiem cię. Co się dzieje w tej twojej małej główce, za tą niewiarygodnie niewinną miną? Powiedz mi! Powiedz mi, co myślisz!

Jego palce zacisnęły się na jej kiści aż do bólu i Melindzie wydało się, że zgłębia tajemnice jej serca, wydobywając na jaw uczucia, których nie chciałyby przed nim odkryć.

- Moje myśli należą tylko do mnie, milordzie - powiedziała, po czym spojrzała mu w oczy i poczuła, że jest nie tylko uwięziona silnym uchwytem jego dłoni, lecz że zawładnął nią całą, uniemożliwiając jakąkolwiek ucieczkę.

Przez chwilę patrzyli na siebie i byli sami - mężczyzna i kobieta, nieuchronnie świadomi siebie nawzajem. Oboje odczuli coś w rodzaju wstrząsu, gdy usłyszeli słowa kapitana Vesteya, i czas przysnął.

- Myślę, że cała ta sprawa jest raczej śmieszna - przekonywał kapitan. - Melinda powinna wziąć te pieniądze i odłożyć je na starość. Nie zawsze będzie równie piękna jak teraz, a kiedy przestanie już być atrakcyjna, taki kapitałik z pewnością się przyda.

- Właśnie! - rzekł chłodnym tonem markiz i puścił jej dłoń.

- Nie wezmę ich - powtórzyła. - I to jest wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat. To uprzejmie z waszej strony, panowie, że tak bardzo troszczycie się o mnie, ale w tej sprawie już podjęłam decyzję i jej nie zmienię.

- A więc, bardzo proszę, mówmy o czymś innym - powiedział markiz z nutą irytacji w głosie. - Chodź, Gerwazy, rozegramy partyjkę pikiety, a Melinda, jeśli chce, może się przyglądać.

- To jest gra, której nie cierpię - zaprotestował z rozdrażnieniem kapitan Vestey.

- Ja mogę z panem zagrać - zaproponowała trochę nieśmiało Melinda.

Markiz podniósł brwi.

- To jeszcze jeden z twoich talentów - powiedział. - Wydaje się, że nie mają one końca.

Poszedł jednak w drugi koniec salonu, gdzie stał stolik do gry w karty, i tam grali ze sobą w zupełnym niemal milczeniu. Ku zdziwieniu markiza Melinda prawie mu dorównywała

umiejętnością gry, a że w dodatku miała szczęście i na ogół dostawała dobre karty - była nie do pokonania.

Grali już chyba przeszło godzinę i Melinda pomyślała właśnie, że wkrótce powinna pójść na górę i przebrać się do obiadu, gdy drzwi otworzyły się i kamerdyner donośnym głosem oznajmił:

- Lord Wrotham do jaśnie pana, milordzie!

Melinda siedziała plecami do drzwi. Gdy markiz wstał, złożyła starannie swe karty na wypadek, gdyby gra miała być kontynuowana, i dopiero po paru sekundach odwróciła się, by zobaczyć, kto przybył. Kiedy spojrzała na niego, wydała ciche westchnienie. Nie ulegało wątpliwości, że zna mężczyznę, który teraz ścisnął dłoń markiza i zwracał się ku kapitanowi Vesteyowi, aby go powitać. Widziała go tylko raz, ale pomyślała, że nie zapomni go nigdy - tej wąskiej, złej twarzy z haczykowatym nosem, grubymi wargami, workami hulaki pod oczyma, a także długich kościstych palców, którymi podnosił jej dłoń do ust.

Odwróciła się znów do stolika w nadziei, że jej nie zauważy, lecz zaraz pomyślała, że gdyby nawet ją spostrzegł, jest zupełnie nieprawdopodobne, żeby ją poznał. Widział ją przecież tylko raz.

- Przysłała mnie Skittles - usłyszała słowa lorda Wrothama. - Jestem tu, żeby zapłacić jej dług i poznać tę niezrównaną amazonkę, tę nową gwiazdę, której istnienia byliśmy dotychczas nieświadomi.

- Jesteś nieomal poetyczny, Wrothamie - powiedział markiz z nutą sarkazmu w głosie. - Pozwól, że cię przedstawię. Melindo, to jest lord Wrotham, który, jak słyszałaś, przybył tu, żeby spłacić należny ci dług. Lordzie Wrothamie, panna Melinda Stanyon.

Melinda musiała odwrócić się ku nim. Spuściła oczy, a potem, gdy lord Wrotham nie odzywał się, podniosła je. To,

co ujrzała w jego twarzy, natychmiast wzbudziło w niej lęk i napięcie.

- Panna Melinda Stanyon! - powiedział. - Myślę, że nie może być dwóch osób o tym imieniu i nazwisku. Melinda jest imieniem rzadko spotykanym, nie sądzisz? A więc moje dziecko, w końcu cię odnalazłem!

Podszedł, ujął jej dłoń, która spoczywała bezwładnie na sukni, i tak samo, jak to uczynił poprzednim razem, podniósł ją do ust. Poczowała na skórze dotknięcie jego warg, ciepłych, twardych i zaborczych, i z cichym niewyraźnym pomrukiem wyrwała mu swą rękę.

- Znalazłem cię - powiedział lord Wrotham - i proponuję, żebyś zaraz się spakowała i wyjechała ze mną. Mój powóz stoi przed domem.

- O co tu chodzi? - zapytał niemal gniewnie markiz. - Domyślam się, że spotkałeś Melindę dawniej, lecz jakim prawem sugerujesz, że powinna wyjechać? Ona jest tutaj moim gościem.

- Nie mogę pojąć, w jakich okolicznościach mogła odejść od Elli Harcourt inaczej niż w moim towarzystwie - oznajmił lord Wrotham. - Obawiam się, że zaszło jakieś nieporozumienie, ale łatwo je można naprawić. Melinda pojedzie teraz ze mną. Jak dobrze wiesz, Chardzie, mój dom znajduje się w odległości zaledwie pięciu mil stąd, a w ten weekend goszczę u siebie Skittles.

- Myślę, że Melinda podziękuje ci za zaproszenie - powiedział chłodno markiz - ale korzysta już z mojej gościnności i nie zechce przyjąć twojej. Czy mam słuszość, Melindo?

Melinda postąpiła krok ku markizowi, jakby szukała u niego pomocy.

- Tak, tak... oczywiście - rzekła nerwowo. - Dziękuję panu, lordzie Wrothamie, ale ja... przebywam tutaj i... nie mam ochoty wyjeżdżać.

- To są tylko słowa. Melindo. i dobrze o tym wiesz - odparł lord Wrotham. - Należysz do mnie, spróbujmy więc obyć się bez tych wszystkich formalności. Pobiegnij na górę jak dobra dziewczynka i spakuj swój kuferek. Przykro mi, Chardzie: jest mnóstwo innych cór Koryntu do wzięcia, nie musisz zatem zabierać mojej.

- Nie mam pojęcia, na czym opierasz swoje twierdzenie, że masz jakieś wcześniejsze prawa do Melindy - powiedział markiz - lecz ona nie opuści tego domu. A ponieważ najwyraźniej postanowiłeś robić jej przykrości, pozwól, że cię pożegnam, Wrothamie.

- To nie pójdzie ci tak łatwo - zaprotestował lord Wrotham. - Nie lubię, gdy ktoś usiłuje zabrać mi to, co należy do mnie. Ze względów zasadniczych żądam stanowczo, żeby Melinda wyjechała ze mną.

- A ja żądam stanowczo, żeby pozostała - powiedział markiz.

- Z pewnością Melinda - wtrącił kapitan Vestey - ma możliwość wyboru w tej sprawie. Zapytajmy ją, co wolałaby uczynić.

Mówiąc to rzucił rozpaczliwe spojrzenie na Melinę, jak gdyby obawiał się, że może nie chcieć pozostać w Chardzie, skoro sprawa jest tak poważna.

- T... tak, oczywiście - powiedziała Melinda drżącym głosem. - Ja... ja chcę... zostać. Ja... obiecałam, że zostanę.

- Otóż to! - rzekł markiz. - Otrzymałeś odpowiedź, Wrothamie. Proszę, skończ tę przykrą scenę i wracaj do swoich gości. Jestem pewny, że Skittles oczekuje cię z niecierpliwością.

- Już ci powiedziałem - odparł lord Wrotham., a chociaż jego głos był pozornie łagodny i opanowany, to jednak słowa zdawały się ciąć jak nóż: - Melinda jest moja. Pojedzie ze mną.

Markiz przyłożył sobie dłoń do czoła.

- Wydaje mi się, że nie rozumiesz prostych słów - oświadczył. - Być może masz swoje racje, by wysuwać tak nierealne żądania, lecz Melinda jest tu z własnej woli i również z własnej woli poinformowała cię, że chce tu zostać. W tej sytuacji nie ma o czym mówić.

- No cóż, Chardzie, zmuszasz mnie do podjęcia najbardziej przykrej decyzji - oznajmił lord Wrotham. - Jeśli nie pozwolisz Melindzie wyjechać ze mną, co uważam za jej obowiązek, to oczywiście będę musiał walczyć z tobą o nią.

- Masz na myśli pojedynek? - zapytał markiz.

- Właśnie - potwierdził lord Wrotham, a uśmiech wykrzywił jego usta. - Jutro o świcie, który wypada chyba koło wpół do szóstej, w zwykłym miejscu koło stawu w Hyde Parku.

- Ależ to śmieszne! - wtrącił kapitan. - Jak dobrze wiesz, Wrothamie, pojedynki są zabronione. Gdyby jej królewska mość dowiedziała się o tym...

- Kiedy jej królewska mość się o tym dowie, będzie już po wszystkim - przerwał lord Wrotham. - A martwi nie zdradzają tajemnic! - Zwrócił się do Melindy: - Żałuję, moja droga, że będziesz moim gościem dopiero jutro wieczorem. Zabiorę cię stąd około południa. Zechciej łaskawie być gotowa.

Melinda próbowała odpowiedzieć, lecz słowa uwięzły jej w gardle.

Jak gdyby chcąc pokazać, że całkowicie panuje nad sytuacją, lord Wrotham jeszcze raz podniósł jej rękę do ust, lecz tym razem uczynił to niedbale. Jego wzrok prześliznął się

po Melindzie, która poczuła, że drży, jakby w myśli zdarł suknię z jej piersi. Następnie, ciągle z tym okropnym beczelnym uśmiechem na wargach, wyszedł z pokoju.

Przez chwilę wszyscy troje stali jak skamieniali. Potem, nie myśląc, co robi, Melinda podbiegła do markiza, objęła go rękami i przytuliła twarz do jego ramienia.

- Nie pojedę z nim, nie pojedę! Nie pozwól, żeby mnie zmusił! Nienawidzę go i on... on mnie przeraża!

Powoli, z namysłem, markiz odsunął się od niej. Przeszedł przez pokój i nie spojrzawszy na nią ani na kapitana Vesteya, wyszedł.

Melinda stała tam, gdzie ją zostawił, a łzy spływały jej po policzkach.

- Zatrzymaj go! Ach, zatrzymaj! - krzyknęła do Gerwazego Vesteya.

- Nie, pozwól mu odejść - odparł kapitan. - Musi przez chwilę być sam i zmierzyć się z tym, co go czeka.

- Pojedynek! Co on miał na myśli, mówiąc o... pojedyнку? - zapytała półprzytomnie Melinda. - One... są przecież... zabronione.

- Jednakże ciągle się odbywają - powiedział cicho kapitan - a Wrotham jest pierwszorzędnym strzelcem.

- Co pan ma na myśli? - głos Melindy drżał.

- Mam na myśli to - wyjaśnił kapitan Vestey - że zabił już trzech mężczyzn. Sądzę, że zawsze nienawidził Gilberta i wreszcie znalazł pretekst, niezależnie od tego, że cię pożąda, aby go wyzwać.

- Jego lordowska mość musi odmówić - zażądała Melinda.

- Nie bądź śmieszna! - odparł kapitan Vestey. - Wiesz równie dobrze jak ja, że gdyby okazał się tchórzem, wyśmiewaliby się z niego wszyscy przyjaciele.

- Ale dlaczego powinien... walczyć z lordem Wrothamem? I o co? - dopytywała Melinda.

- Wygląda na to, że o ciebie - odpowiedział kapitan.

- Ale dlaczego... dlaczego jego lordowska mość nie... - Głos zamarł jej w krtani i kapitan Vestey, siadając przy stoliku do gry w karty, jakby już nie mógł utrzymać się na nogach, dokończył:

- ...nie oddał cię lordowi Wrothamowi? Nawet gdyby chciał to zrobić, wiesz, że nie mógłby. Odmówić walki i być bojkotowanym przez wszystkich przyzwoitych ludzi w kraju? Nie, Melindo! Mężczyzna musi postępować honorowo, bez względu na to, jak niehonorowy jest jego przeciwnik.

- Ale jeśli... jeśli lord Wrotham... zabije go?

- No cóż, jak sam powiedział, „martwi nie zdradzają tajemnic” - rzekł półgłosem kapitan Vestey. - Szepcze się w klubie, rozumiesz, tylko szepcze, że lord Wrotham strzela, zanim jego przeciwnik się odwróci. A kiedy człowiek jest już martwy, niewielu chce zdecydowanie opowiedzieć się po jego stronie, lord Wrotham zaś ma wielkie wpływy w pewnych kręgach.

- A więc, co... m... możemy... zrobić? - zapytała żałośnie Melinda, a łzy ciekły jej po policzkach.

- Nic, chyba tylko się modlić - odpowiedział kapitan Vestey, - Na Jowisza! Nie pomyślałem o modlitwie od czasów, gdy byłem w Eton. Ale jeśli w ogóle są sytuacje, w których modlitwa jest niezbędna, to ta sytuacja niewątpliwie do nich należy. A ponieważ jest to zajęcie dla kobiet, najlepiej zrobisz, modląc się. Gilbert będzie potrzebował szczególnej siły, by oprzeć się kuli Wrothama, która z pewnością będzie wymierzona prosto w jego serce.

- Ach, dlaczego, dlaczego w ogóle go... spotkałam? - rozpacziała Melinda.

- Rzeczywiście, dlaczego? - powtórzył kapitan Vestey wychodząc z pokoju, a pytanie to było niemal krzykiem rozpaczny.

Melinda oparła głowę na stoliku do gry w karty i płakała. Łkała gorzko i rozpaczliwie, czując się jak zwierzę schwytane w pułapkę, z której nie ma wyjścia. Pokój pograżył się już prawie w półmroku, a ona wciąż usiłowała odzyskać panowanie nad sobą; potem, zdając sobie sprawę, że musi wyglądać jak straszidło, poszła na górę do swej sypialni, żeby umyć twarz w zimnej wodzie.

Jej oczy były jeszcze opuchnięte, gdy do sypialni weszła pokojówka chociaż na nią nie dzwoniła.

- Chyba już czas przebrać się do obiadu - powiedziała Melinda.

- Przyszłam zapytać, czy panienka będzie jadła obiad na dole, czy w swoim pokoju?

- Dlaczego miałabym jeść na górze? - zdziwiła się Melinda, zastanawiając się, czy to markiz wydał takie polecenie, nie mogąc znieść jej widoku.

- Panienka będzie sama - odpowiedziała pokojówka - i może wolałaby, żeby przyniesiono jej coś na górę.

- Sama? - zapytała zaskoczona Melinda.

- A jakże, to panienka nie wie? Jego lordowska mość i kapitan Vestey wyjechali przed chwilą do Londynu. Myślałam... - Służąca przyglądała się jej ciekawie i Melinda wiedziała, że próbuje się domyślić, czy była tu jakaś awantura i czy zostawiono ją umyślnie.

- Tak, oczywiście, wiedziałam o tym - powiedziała. - Zapomniałam, że jego lordowska mość wyjeżdża tak wcześniej. - Jednocześnie zastanawiała się z rozpaczą, co ma robić. Jak mogła siedzieć tu sama w tym ogromnym domu, mając świadomość, że markiz będzie się pojedyńkował i może zginąć z jej powodu?

Dziwiła się, że odjechał tak bez pożegnania, po czym, z nagłym bólem w sercu, zaczęła się zastanawiać, czy jej nienawidzi. Próbowała wyobrazić sobie, co czuł, oddalając się aleją prowadzącą od domu do bramy parku. Czy oglądał się i myślał, że może już nigdy nie zobaczy Chardu - domu, który tyle dla niego znaczył, o który walczył i knuł intrygi, aby go utrzymać w swym posiadaniu? Byłoby ironią losu, gdyby teraz, kiedy już tyle zaryzykował, poniósł śmierć z ręki mężczyzny, który tylko pożył kobietę jako narzędzie w nieczym spisku przeciw starej markizie.

Melinda ukryła twarz w rękach. Ach, Gilbercie! Gilbercie! - łkała w głębi duszy. Jak mogłam ci to uczynić? Jak mogłam ściągnąć na ciebie takie niebezpieczeństwo, skoro cię kocham? Kocham cię!

- Czy coś nie w porządku, panienko? - zapytała pokojówka.

- Nie, nic - odpowiedziała Melinda. - Ja... boli mnie głowa. Ale spakuj, proszę, moje rzeczy i zamów dla mnie powóz. Za godzinę wyjeżdżam do Londynu.

- Powóz, panienko?

Głos pokojówki wyrażał powątpiewanie i Melinda uświadomiła sobie, że z niepojętą impertynencją kwestionuje ona otrzymane polecenie.

- Tak, powóz - potwierdziła. - Powiedz, że ma być około dziewiątej - o ile, oczywiście, jego lordowska mość nie kazał już przysłać go po mnie. Mógł jednak zapomnieć o tym, wyjeżdżając w takim pośpiechu.

Pokojówka zaakceptowała to wyjaśnienie.

- Zaraz się tym zajmę, panienko - powiedziała z szacunkiem. - Ale zje coś panienka przed wyjazdem?

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Melinda. - Powiedz kucharzowi, żeby przysłał na górę skromny posiłek. Nie jestem zbyt głodna.

- Dobrze, panienko.

Gdy pokojówka wyszła, Melinda zerwała się na równe nogi. Musi coś zrobić, musi! Nie może tu siedzieć z założonymi rękami, czekając i rozmyślając. Gdyby jednak zjawiała się w domu przy Grosvenor Square, jakie czekałoby ją przyjęcie? Niemal widziała gniew na twarzy markiza. Pomyślała z żalem, że jej obecność mogłaby przynieść więcej złego niż dobrego. On musi być spokojny przed pojedynkiem; nie powinien być zaabsorbowany czymś innym ani rozdrażniony. Mimo to wiedziała, że musi pojechać do Londynu.

Czuła się tak, jakby otoczył ją rój dręczących demonów. To było przecież jej dzieło! Gdyby nie przyjęła zaproszenia pani Harcourt i nie nocowała w jej domu, nigdy nie spotkałaby lorda Wrothama. Z drugiej strony jednak nie spotkałaby też nigdy markiza! Wszystko było tak splątane, że poczuła się małym, nic nie znaczącym stworzeniem, schwytanym w monstrualną pajęczynę intryg i perfidii.

To Skittles wysłała lorda Wrothama, żeby zapłacił jej dług, i Melinda pomyślała, że - świadomie czy nieświadomie - kobieta ta zrewanżowała się jej bardzo skutecznie. Widocznie mówiąc o niej, wymieniła jej imię, a wtedy lord Wrotham przypomniał ją sobie, Jak sam powiedział, Melinda jest imieniem rzadko spotykanym. Wygrała wyścig, lecz może przegrać wszystko! Może być winna śmierci człowieka, którego kocha!

Wydała cichy krzyk, jak zranione zwierzę, a potem nagle przemknęła przez pokój. Otworzyła drzwi i unosząc skraj sukni, zbiegła po schodach. Nie miała pewności, lecz wydawało jej się, że to, czego potrzebowała, widziała w bibliotece.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Resztki światła dziennego pozwoliły jej znaleźć drogę. Szła tam, gdzie - jak

sobie przypomniła - widziała kiedyś to, czego szukała. Nie pomyliła się. Leżały na stoliku pod jednym z okien, w eleganckim polerowanym pudle z wygrawerowanym herbem Chardów - dwa połyskujące pistolety pojedynkowe.

Rozdział 11

Nad stawem Serpentine w Hyde Parku rozciągała się gęsta mgła, lecz niebo już się rozjaśniło, a wieczorne gwiazdy znikwały wraz z ciemnością nocy.

Melinda nie była pewna, czy dygocze z zimna, czy z lęku. Wiedziała tylko, że drżą jej ręce, w których trzymała pistolet pojedynkowy, ukryty w fałdach atlasowej spódnicy. Klęczała na jednym kolanie w krzakach otaczających małą polankę, zasłoniętą od strony drogi i niewidoczną dla każdego, kto nie wszedł wprost na nią.

W ciemności Melinda przeszła po omacku przez łąkę oddzielającą drogę od zarośli. Później, gdy zaczęło świtać, znalazła sobie kryjówkę wśród bzów i kwitnących krzewów, które napełniały powietrze aromatem. Nie było trudno odszukać miejsce, o którym lord Wrotham wspomniał poprzedniego wieczoru.

Kiedy po przejechaniu paru mil od chwili opuszczenia Chardu Melinda kazała zatrzymać powóz, stangret zszedł z kozła i oddał lejce lokajowi. Następnie zajrzał przez okienko do wnętrza pojazdu, z wyrazem twarzy mówiącym aż nazbyt wyraźnie, że nie aprobuje postępowania takich pasażerów, którzy domagają się rozmowy z nim.

- Jak się nazywasz? - zapytała Melinda.

- Travers, madame.

Był to mężczyzna w średnim wieku i Melinda domyślała się, że od wielu lat służył rodzinie Chardów. Wyglądał na starego, solidnego sługę; jednocześnie miała wrażenie, że potrafiłby powiedzieć swoje zdanie ze szczerością, jakiej nie mogłaby oczekiwać od któregoś z młodszych służących.

- Potrzebuję twojej pomocy, Traversie - oznajmiła Melinda.

- Jestem do usług, madame - odrzekł, a jej wydało się, że obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem, jak gdyby zastanawiał się, o co zamierza go prosić.

- Twój pan jest w niebezpieczeństwie, Traversie - powiedziała. - W wielkim niebezpieczeństwie, a ja sądzę, że potrafię mu pomóc.

- Rzeczywiście, madame.

Cień niedowierzania w głosie Traversa dał Melindzie do zrozumienia, że jego zdaniem wszelka pomoc, jakiej mogłaby udzielić markizowi, nie miałaby większego znaczenia. Miała wrażenie, że natknęła się na mur niewzruszonego spokoju - Travers widocznie był przekonany, że jego pan sam potrafi zatroszczyć się o siebie i że trudno dać wiarę jej twierdzeniu. Jedyną nadzieję mogła pokładać w szczerości.

- Traversie, sytuacja jest taka - powiedziała - że jego lordowska mość został wyzwany na pojedynek przez lorda Wrothama.

Po raz pierwszy jej słowa wywarły wrażenie. Stangret zeszywniał. Wyraz jego twarzy świadczył, że informacja ta wstrząsnęła nim.

- To zła wiadomość, madame - odrzekł powoli. - Jeśli wierzyć pogłoskom, to jego lordowska mość jest niebezpiecznym człowiekiem.

- A więc słyszałeś o nim? - zapytała Melinda.

- A jakże, madame. Posiadłość jego lordowskiej mości leży niedaleko stąd i ja znam jego stangreta. Jego lordowska mość jest pierwszorzędnym strzelcem. Mówi się też, że się często pojedykuje i zawsze zwycięża.

- Słyszałam o tym - powiedziała Melinda, - I właśnie dlatego, Traversie, potrzebuję twojej pomocy.

- Dobrze, madame. Ale co ja mogę zrobić?

- Możesz zawieźć mnie do miejsca, gdzie dżentelmeni będą się pojedykować - odrzekła. - Mają się spotkać o

świcie. Wiem, że to jest gdzieś koło stawu w Hyde Parku, ale trudno byłoby mi trafić tam samej.

- A co pani robi, madame, jak ją tam zawiozę? - zapytał Travers. - Proszę wybaczyć mi to pytanie.

- Mam pewien plan, który może uratować jego lordowską mość - odparła Melinda, lecz widząc, że nie całkiem przekonała stangreta, dodała szybko: - Powiedz mi coś, Traversie. Czy sądzisz, że lord Chard, chociaż zapewne dobry strzelec, ma szansę pokonać lorda Wrothama w pojedynku?

Nastąpiła długa cisza, po czym Travers dość niechętnie odpowiedział:

- Nie chcę być złośliwy wobec jego lordowskiej mości, ale wedle tego, co słyszałem, lord Wrotham zawsze zwycięża.

- Nie przebierając w środkach - dodała cicho Melinda. Dostrzegła błysk w oku stangreta i zrozumiała, że trafiła w sedno.

- Doprawdy, madame, słyszałem takie plotki, ale nie lubię obmawiać ludzi dobrze urodzonych.

- Oczywiście, masz rację - powiedziała łagodnie Melinda. - Ale teraz musimy się troszczyć tylko o to, żeby lord Gilbert nie stracił życia.

- Tak, to prawda, madame - zgodził się stangret.

- A więc zawieź mnie tam - poprosiła. - Chciałabym znaleźć się na miejscu nie wcześniej niż jakieś dwadzieścia minut przed świtem. Czy moglibyśmy odpocząć gdzieś po drodze? Ale nie nazbyt daleko od Londynu, po prostu w razie gdyby koń zgubił podkowę lub coś innego stanęło nam na przeszkodzie.

- W moim zaprzęgu żaden koń nie zgubi podkowy, madame - powiedział Travers prawie gniewnie.

- A zatem dowiesz mnie tam dokładnie na czas? - zapytała. - Przyrzekam ci, że naprawdę pomogę jego lordowskiej mości bardziej, niż sądzisz.

- Będę posłuszny pani rozkazom, madame - przyrzekł Travers - chociaż nie mam pojęcia, co jego lordowska mość powie mi potem.

Dotknął z szacunkiem brzegu swego cylindra, następnie wdrapał się na kozioł i wzięwszy lejce z rąk lokaja, zaciął konie, które gryzły niecierpliwie wędzidła przez cały czas, kiedy był z dala od nich.

Wyruszyli w kierunku Londynu w szybkim tempie i Melinda z westchnieniem ulgi zagłębiła się w poduszki powozu. Wyjeżdżając z Chardu, bała się rozpaczliwie, że nie zdoła znaleźć tego miejsca, gdzie ma się odbyć pojedynek. Przypuszczała, że służba je zna - czy kiedykolwiek udało - się coś ukryć przed służbą? - lecz lękała się, że stangreci z Chardu, których nie wprowadzono w sekret jej rzekomego małżeństwa, mogą uważać za swój obowiązek niedopuszczenie do obecności kobiety przy pojedynku, uznawanym tradycyjnie za czysto męską sprawę.

Teraz, gdy czekała w krzakach, odczuwała przygnębienie na myśl o swych bardzo ograniczonych możliwościach. Choćby plany jej były najbardziej śmiałe, czy rzeczywiście zdoła pomóc markizowi? A jeśli mu pomoże, to czy on podziękuje jej za ingerencję? Mięśnie zdrętwiały jej, gdy tak siedziała skulona w zaroślach, jak zwierzę szykujące się do skoku. Zadrżała znowu i teraz już wiedziała, że to nie pod wpływem zimna, gdyż ranek był ciepły i bezwietrzny, a w ciągu dnia można się było spodziewać upału.

Ostatni posiłek zjadła w małej gospodzie na obrzeżach Londynu, do której zaprowadził ją Travers. Oberżysta, przejęty przybyciem tak ważnego gościa, zaoferował jej wszystko, czym dysponował. Prosił usilnie, by spróbowała delikatnej szyneczki, łososia z Tamizy oraz ostryg, które, chociaż tanie, były - jak ją zapewniał - prawdziwym przysmakiem dla tych, którzy je lubią.

Aby mu sprawić przyjemność, zjadła parę kęsów, lecz była zbyt napięta i pełna niepokoju, żeby mieć apetyt. Prawdę powiedziawszy, jedzenie zdawało się rosnąć jej w ustach, wypiała natomiast małymi łykami szklankę wina, sądziła bowiem, że uspokoi to jej nerwy i uchroni przed przeziębieniem.

W końcu Travers zawiadomił ją, że czas ruszać. Wsiadła do powozu, trzymając w ręce ukrytej pod krótkim płaszczem zarzuconym na ramiona jeden z pistoletów pojedynkowych, który zabrała z Chardu, nabity i gotowy do strzału. Gdy przybyli do parku i konie zatrzymały się, przeżyła moment panicznego strachu. Czy nie byłoby lepiej, gdyby pojechała dalej i zaczekała, aż markiz przybędzie na Grosvenor Square? Przypuśćmy jednak, że nie przybędzie nigdy! Myśl o nim, leżącym bez ruchu na ziemi, przywróciła jej odwagę. Wsiadła z powozu, podziękowała Traversowi i poleciła mu, żeby odjechał, lecz wrócił po nią za godzinę, na wypadek, gdyby go potrzebowała.

- Zostawię powóz za zakrętem, madame - powiedział - gdzie nikt go me zauważy. Jim popilnuje koni. Są zmęczone i nie sprawią mu wiele kłopotu. Ja wrócę i będę w zasięgu głosu.

Nawet w ciemności spostrzegł, że Melinda poruszyła ręką w taki sposób, jakby mu zabraniała, dodał więc szybko:

- Jego lordowska mość me zobaczy mnie, madame, nie ma obaw.

- Dziękuję ci, Traversie - rzekła Melinda swym łagodnym głosem. - Będę spokojniejsza wiedząc, że jesteś blisko.

Odeszła po cichu i chociaż trudno było w półmroku znaleźć to, czego szukała, teraz, gdy słońce wzeszło, przekonała się, że zajęła dobry punkt obserwacyjny. Znajdowała się mniej więcej naprzeciw środka polanki, tak że

przeciwnicy powinni być po obu jej stronach. Nagle posłyszała jakieś głosy.

Ktoś nadchodził! Cofnęła się trochę głębiej w zarośla, żeby nikt jej nie zauważył. Pomyślała, że musi odgadnąć, kto nadejdzie pierwszy. Był to markiz w towarzystwie kapitana Vesteya i jeszcze jednego mężczyzny, którego nigdy przedtem nie widziała.

Markiz wyglądał wspaniale. Odrobina ekstrawagancji czy pogardy dla przeciwnika sprawiła, że włożył surdut z bladoszarej prążkowanej wełny i szary szeroki krawat z brylantową szpilką, jasno błyszczącą w świetle poranka. Jak niemądrze jest robić z siebie łatwy cel, pomyślała, Melinda, a jednocześnie zrozumiała, że jego awersja do lorda Wrothama nie pozwalała mu na pozbawienie przeciwnika jakiegokolwiek przewagi w tej grze o śmierć lub życie.

- Czy to tutaj? - usłyszała pytanie kapitana Vesteya.

- Tak, oczywiście - odpowiedział markiz. - Ostatni raz byłem tu jako sekundant Peregrina Cunninghama.

- O co walczył? - zapytał kapitan Vestey.

- O swoją żonę - odrzekł krótko markiz. - Uciekła z jakimś łobuzem. Peregrin zmusił go do pojedynku.

- I kto zwyciężył? - zainteresował się drugi sekundant.

- Mój przyjaciel - odpowiedział markiz - lecz pewnym kosztem: stracił oko w tym spotkaniu.

Melindzie zaparło dech z przerażenia, ale trzech dżentelmeni wydawali się zupełnie nieporuszeni tym faktem.

- Często się zastanawiałem, co się stało Peregrinowi - powiedział kapitan Vestey.

- Czy żona wróciła do niego, Gilbercie? - zapytał nieznany Melindzie sekundant.

- Nie, Fredzie! Pozlepiła to, co zostało z jej kochanka, i oboje wyjechali do Irlandii.

- Bardzo nieprzyjemna historia - oświadczył kapitan Vestey. - Na miłość boską, Gilberte, nie ryzykuj z Wrothamem! To podstępny diabeł! Nie ufaj mu!

- Jeśli odwróci się za wcześnie, oskarżę go - powiedział markiz.

- Co będziesz mógł zrobić, jeśli będziesz martwy? - zapytał mężczyzna, którego markiz nazwał Fredem. - Anthony Merville mówił mi, że był sekundantem Johna Coombe'a - a pamiętacie, co się z nim stało! Ale Coombe był martwy i Anthony uznał, że nie ma sensu podnosić wrzawy. Poza tym mógł przeciwstawić tylko swoje słowa słowom Wrothama i jego sekundantów. Kto by mu uwierzył?

- Nie mogę pojąć, w jaki sposób uchodzi mu to płazem - powiedział gniewnie kapitan Vestey, a Melinda poznała, że jest mocno zdenerwowany.

- Merville mówił mi, że Wrotham przywozi ze sobą lekarza, którego opłaca - powiedział Fred. - Ten szarlatan gotów jest przysiąc, że zabity zmarł na atak serca. Każą go szybko pochować, i kto będzie dociekał prawdy?!

- Ach, zamknij się, Fred! - rzucił kapitan Vestey. - Zdenerwujesz Gilberta.

- To ty zacząłeś - rzucił urażony Fred.

- Owszem, zacząłem - odparł kapitan Vestey. - Chciałem tylko, żeby Gilbert był czujny.

- Jeżeli sugerujecie, że powinienem strzelić, zanim nadejdzie właściwy moment - powiedział markiz - to się bardzo mylicie. Ja będę walczył czysto, a jeśli Wrotham oszuka, to wrócę i będę go straszył!

Melinda poczuła łyzy w oczach. Z jakiegoś powodu odwaga markiza wzbudzała w niej chęć do płaczu. Jednocześnie była przerażona, ponieważ widziała aż nazbyt wyraźnie, że obaj mężczyźni towarzyszący markizowi rozpaczliwie obawiają się tego, co może nastąpić.

Wkrótce, gdy tylko pierwsze promienie wschodzącego słońca rozproszyły ostatnie mroki nocy, wszedł na polankę lord Wrotham. Melinda pomyślała, że bardziej niż kiedykolwiek wygląda na hulakę i rozpustnika. Ubrany był od stóp do głów na czarno. Szeroki krawat, który także był czarny, niemal zasłaniał cienką linię białego kołnierzyka. Ubrał się tak, żeby być prawie niewidoczny w słabym świetle, i Melinda poczuła - chociaż nie mogła tego zobaczyć - że kiedy spojrzał na markiza, w jego oczach pojawił się wyraz cynicznego rozbawienia.

- Dzień dobry, Chardzie! - powiedział. - Dzień dobry, Gerwazy! A, jest i Fred. Nie spodziewałem się, że cię tu zobaczę.

- Ja też bynajmniej nie mam ochoty cię oglądać - odparł szorstko Fred.

Lord Wrotham zignorował go.

- Myślę, że znasz moich sekundantów - rzekł, a markiz skinął chłodno głową dwóm mężczyznom, jakby ich znał, ale nie miał chęci na zawarcie z nimi bliższej znajomości. Lord Wrotham obejrzał się na ścieżkę, którą przyszedł,

- Zaraz, gdzie jest doktor Chambers? - zapytał.

- Wkrótce powinien być - odrzekł jeden z jego sekundantów i w tej chwili wbiegł na polankę człowiek niosący w ręku małą czarną walizeczkę lekarską.

Jeden rzut oka na lekarza wyjaśnił Melindzie, dlaczego, przyjął on pracę u lorda Wrothama i dlaczego był gotów pomagać mu w realizacji jego planów, choćby najbardziej nikczemnych. Doktor Chambers był brudny, w wyświechtanym ubraniu i wyglądał, jakby spędził noc na rozpuście. Twarz miał czerwoną i nabrzmiąłą, a krok wydawał się trochę niepewny.

- Przepraszam, milordzie! Przepraszam! - zawołał. - Spóźniłem się tylko dlatego, że zatrzymano mnie przy poważnym przypadku.

- Znam te twoje przypadki - powiedział pogardliwie lord Wrotham. - No cóż, zejź mi z drogi i nie zbliżaj się do mnie. Cuchniesz spirytusem.

- Przepraszam, milordzie! Przepraszam! - powtórzył doktor i posłusznie odszedł w najdalszy zakątek polany.

- Chcesz wybrać broń? - zapytał markiza lord Wrotham, a jego sekundant otworzył pudło; leżały w nim dwa pistolety pojedynkowe podobne do tego, który Melinda trzymała w ręce,

- Przypuszczam, że dziesięć kroków ci odpowiada? - zapytał lord Wrotham.

- Tak, dziesięć kroków - powtórzył markiz, kładąc nacisk na słowo „dziesięć”.

- Liczymy głośno - powiedział lord Wrotham - i odwracamy się na dziesięć.

- Nie ma jakiegoś innego sposobu? - wtrącił kapitan Vestey.

- Zawsze robiłem to w ten właśnie sposób - odparł lord Wrotham - i przypuszczam, że Chard zaakceptuje go.

- Akceptuję dziesięć kroków, głośne odliczanie i to, że obaj odwracamy się na dziesięć - rzekł markiz.

- To bardzo dobrze - odpowiedział lord Wrotham. Przykro mi, Chardzie, że musiało do tego dojść; ale ta dziewczyna była moja, wiesz o tym, a kiedy Kate plotła, że jest chora - czy też jakieś inne bzdury - zacząłem podejrzewać, że chce mi spletać figla.

- Nie mam ochoty rozmawiać o tym - powiedział chłodno markiz. - Jeśli jesteś gotów, Wrothamie, to ja też jestem.

Obaj mężczyźni stanęli plecami do siebie pośrodku polany. Melinda wstrzymała oddech. Markiz był po jej prawej

stronie, lord Wrotham - po lewej. Przesunęła się trochę bliżej, wystawiając pistolet przez krzaki. Dobrze wiedziała, że nikt nie spodziewa się jej obecności tutaj. Starła się przypomnieć sobie to wszystko, co mówił ojciec, kiedy uczył ją strzelać z pistoletu: „Pistolet kopie przy wystrzale”, objaśniał. „Musisz albo opuszczać go powoli na cel, do którego strzelasz, albo celować niżej. Najlepszym sposobem jest opuszczanie”.

Bardzo powoli, żeby liście nie zaszeleściły, Melinda podniosła rękę. Obaj przeciwnicy już oddalili się od siebie, głośno licząc stawiane kroki.

- Jeden... dwa... trzy... cztery... pięć... sześć... siedem... osiem... dziewięć... - W tym momencie, zanim jeszcze wypowiedzieli liczbę „dziesięć”, Melinda, cały czas wpatrzona w lorda Wrothama, zobaczyła, że odwraca się on i opuszcza rękę z pistoletem ku markizowi, który jest jeszcze zwrócony do niego tyłem.

Prawie nie myśląc, niemal odruchowo, Melinda strzeliła i prawie natychmiast usłyszała huk wystrzału lorda Wrothama. Trafiła go i upadł, ale jednocześnie zobaczyła, że w drugim końcu polany markiz chwieje się i powoli osuwa na ziemię.

Przedarła się przez krzaki, odrzuciła pistolet i unosząc spódnicę pobiegła przez łąkę do leżącego markiza, przy którym znalazła się tuż za kapitanem Vesteyem.

- Przeklęta świnia! - usłyszała głos Freda. - Wystrzelił, kiedy powiedział „dziewięć”. Widziałeś to, Gerwazy!

Kapitan Vestey ukląkł na ziemi, pomagając Melindzie podnieść markiza, po którego twarzy spływała krew. Melinda wydała cichy okrzyk.

- Czy on... nie żyje? - zapytała i nie poznała własnego głosu, zmienionego pod wpływem cierpienia. Po chwili usłyszała odpowiedź Vesteya:

- Dzięki Bogu! To tylko draśnięcie! Patrzcie, kula musnęła mu głowę, nawet nie utkwiała w czaszce. To silny podmuch powietrza zwałił go z nóg.

- Ale spójrzcie na Wrothama! - wykrzyknął oszołomiony Fred. - Padł strzał, chociaż Gilbert się nie odwrócił!

Melinda ocierała swoją chusteczką krew spływającą po twarzy markiza.

- Jest martwy? - zapytała o Wrothama. - Mam nadzieję, że tak.

- Ale co się stało? - dociekał zdumiony Fred. - Ja patrzyłem na Gilberta.

- Musiała go zastrzelić Melinda - odpowiedział kapitan Vestey. - Tak czy nie, Melindo?

- Tak, strzeliłam do niego, kiedy się odwrócił - przyznała się Melinda. - Ale nie martwcie się o niego, panowie. Czy markizowi na pewno nic nie jest?

- Przypuszczam, że jest kontuzjowany - odrzekł kapitan Vestey - ale nic gorszego mu się nie stało. Możesz sama zobaczyć: kula przeszła przez włosy, rozerwała skórę na głowie, lecz, dzięki Bogu, nie utkwiała w czaszce.

- Powinnam była wystrzelić wcześniej! - powiedziała Melinda. - Czekałam zbyt długo.

- Fred, idź i zobacz, czy Wrotham nie żyje - zaproponował kapitan Vestey. - A najlepiej poślij po powóz. Gilbert przyjechał swoim faetonem, ale nie uda się umieścić go w nim.

- Powóz, którym przybyłam z Chardu, stoi niedaleko za zakrętem - powiedziała Melinda. - Zawołajcie, panowie, Traversa. Obiecał, że będzie w zasięgu głosu.

- Pospiesz się, drogi kolego - przynaglił kapitan Vestey. - Jak wrócisz, pomożesz mi nieść Gilberta, bo nie jest on bynajmniej lekki.

Melinda rzuciła na trawę swą przesiąkniętą krwią chusteczkę i wzięła czystą, z białego płótna, od kapitana Vesteya.

- Czy... czy jest pan zupełnie pewny, że... nic mu się nie stało? - zapytała. Nagle poczuła się przerażona bladością markiza, krwią płynącą po jego twarzy, bezwładem ciała leżącego na ziemi. Wydawało się jej, że oddech nie wydobywa się spomiędzy jego rozchylonych warg.

- On żyje - zapewnił kapitan Vestey. - Przysięgam ci, Melindo, że nic mu nie jest. Widziałem na wojnie zbyt wielu umierających ludzi, żebym nie poznał, czy ktoś jest żywy, czy martwy. Lepiej podtrzymaj go przez chwilę, a ja pójdę i ponaglę Freda. Widzę, że rozmawia z sekundantami Wrothama. Im szybciej zawieziemy Gilberta do porządnego lekarza, tym lepiej. Nie pozwolę, żeby go dotknął ten stary pijany konował, którego Wrotham przywiózł ze sobą.

- Nie, nie, oczywiście, że nie - zgodziła się Melinda. - Proszę pomóc mi unieść go tak, żebym go mogła utrzymać.

Dzięki pomocy kapitana Vesteya wkrótce siedziała, trzymając w ramionach markiza, którego głowa opierała się na jej piersi. Był bardzo ciężki, a jednak pomyślała, że nigdy w życiu nie czuła się tak szczęśliwa. Mogła go dotykać i przez chwilę cały należał do niej. Byli sami na tej małej polance, z zapachem kwiatów i ptakami śpiewającymi swą poranną pieśń.

Nie patrzyła w tę stronę, gdzie mężczyźni stali wokół ciała lorda Wrothama. Cała jej świadomość była skoncentrowana na markizie. Nie martwiła się nawet tym, że prawdopodobnie zabiła człowieka, ani tym, że może ją spotkać kara. Wiedziała tylko, że markiz jest w jej ramionach; że nie jest rozgniewany ani cyniczny; że nagle stał się jakby dzieckiem, potrzebującym jej opieki i pomocy. Niemniej jednak bardzo już bolały ją ramiona, gdy w końcu wrócił kapitan Vestey, a wraz z nim

Jim lokaj, który towarzyszył jej od Chardu. W niewielkiej odległości za nimi szedł Fred.

- Powóz podjechał - powiedział kapitan do Melindy. - Dobrze zrobiłaś, że wzięłaś ze sobą Traversa. Kapitalny facet, ten Travers! Urządził wszystko w ten sposób, że Gilbert będzie mógł leżeć w poprzek, na obu siedzeniach. Niedługo położymy go do łóżka.

Trzej mężczyźni bardzo delikatnie podnieśli markiza, zabierając go z ramion Melindy. Pozostawił na jej piersiach strużkę krwi, lecz nie zauważyła tego, kiedy powoli podnosiła się z ziemi. Potem, gdy już szli w kierunku powozu, kapitan Vestey powiedział:

- Ach, nawiasem mówiąc, nie zabiłaś Wrothama.

- Nie zabiłam?! - wykrzyknęła.

- Wielka szkoda, jeśli chcecie usłyszeć moje zdanie - powiedział Fred, który podtrzymywał markiza z drugiej strony. - Ale strzaskałaś mu prawe ramię. Jego lekarz - jeśli można mu wierzyć - mówi, że będzie żył. Myśli jednak, że ramię trzeba będzie amputować. W każdym razie ten kanciarz nigdy już nie będzie się pojedynkował.

- Cieszę się z tego! - zapewniła porywczo Melinda. - Zasłużył na to.

- Zasłużył, to prawda - potwierdził kapitan Vestey. - Chcę ci jednak powiedzieć, Melindo, że widzę twój pistolet na ziemi. Weź go ze sobą, bo - jak sądzę - jest na nim herb Chardów. Byłoby lepiej nie zostawiać go, mógłby bowiem stanowić dowód obciążający.

- Co ta świnia Wrotham może zrobić, jeśli wyżyje? - zapytał Fred.

- Sądzę, że nic - odpowiedział kapitan Vestey. - Z drugiej jednak strony zawsze trzeba być ostrożnym z tego rodzaju typem.

Przeszli koło leżącego na ziemi lorda Wrothama, któremu lekarz starał się zatamować upływ krwi; jego sekundanci stali obok bezradnie. Melinda nie patrzyła na nich. Była rada, kiedy po paru minutach stracili ich z oczu i powóz powoli, żeby nie narażać markiza na wstrząsy, ruszył w kierunku Grosvenor Square.

Melinda usiłowała wierzyć kapitanowi Vesteyowi, że rana markiza jest tylko zadrażnieniem; jednakże jej obawa, że może to być coś dalece gorszego, nie zmaląła, dopóki chirurg, człowiek o powierzchowności wzbudzającej całkowite zaufanie, nie potwierdził, że istotnie wszystko jest w porządku.

- Jego lordowska mość jest ciężko kontuzjowany - powiedział. - To nieuniknione, gdy silny podmuch powietrza uderzy w głowę pod takim właśnie kątem. Z drugiej jednak strony miał ogromne szczęście. Gdyby kula trafiła o jedną dziesiątą cala bliżej, mogłaby przebić czaszkę, a wtedy nic już nie moglibyśmy zrobić,

- Jak długo będzie nieprzytomny? - zapytała Melinda.

- Może odzyskać przytomność w każdej chwili - odrzekł chirurg. - Ale wątpię, czy wcześniej niż jutro przypomni sobie, co się stało. Czy mam przysłać pielęgniarkę?

- Nie, dziękuję - odrzekła Melinda - Będę go pielęgnować sama.

- Dla mężczyzny żadna pielęgniarka nie będzie lepsza od jego własnej żony, hm? - zażartował chirurg.

Melinda zarumieniła się, gdyż zdała sobie sprawę, że służący musieli mówić o niej „jej lordowska mość”.

- Czy mam zmienić bandażę? - zapytała szybko.

- Nie, dopóki jutro nie przyjdę - odpowiedział chirurg. - Po prostu proszę zapewnić mężowi spokój i dać mu trochę bulionu, jeśli będzie wydawał się głodny. Oczywiście, żadnych trunków. I proszę nie pozwolić, żeby wokół niego

kręciło się mnóstwo ludzi zadających głupie pytania. Trzeba mu dać szansę, aby sobie przypomniał - albo nie przypomniał - bez względu na to, co nam może wydawać się lepsze.

- Rozumiem - powiedziała Melinda. - I dziękuję.

- Bardzo się cieszę, że panią poznałem, lady Chard - rzekł chirurg. - Znałem dobrze ojca pani męża. W młodości był to piękny mężczyzna i doskonały sportowiec.

Melinda odprowadziła go do szczytu schodów. - Chciałabym pana o coś poprosić - powiedziała. - Czy byłby pan uprzejmy nie mówić nikomu, że tu jestem? Chirurg podniósł brwi.

- Nasze m... małżeństwo jest tajemnicą - wyjaśniła. - Zapewne przypomina pan sobie, że markiza - wdowa zmarła przed kilkoma zaledwie dniami.

- Ach tak, oczywiście, teraz sobie przypominam - odrzekł chirurg. - Oczywiście, dochowam tajemnicy, lady Chard. Kiedy jednak zostaną ogłoszone zaślubiny, mam nadzieję, że pozwoli mi pani złożyć wam obojgu najserdeczniejsze gratulacje.

- Dziękuję! Naprawdę bardzo dziękuję - powiedziała Melinda i, pozwalając chirurgowi zejść ze schodów samemu, wróciła do sypialni markiza. ,

Story były opuszczone, a pokój pogrążony w półmroku i ciszy. Markiz leżał nieruchomo, wsparty o poduszki, z obandażowaną głową i rękami na prześcieradle. Melinda stała, patrząc na niego, potem przyciągnęła krzesło do łóżka i rozpoczęła czuwanie. Chwilę później usłyszała delikatne pukanie. Otworzyła drzwi. Stał za nimi jeden z lokajów.

- Kapitan Vestey prosi o rozmowę z jaśnie panią - powiedział.

- Poproś go, żeby wszedł na górę - odparła. - Nie chcę zostawiać jego lordowskiej mości.

- Dobrze, milady.

Zaczekała, aż Gerwazy Vestey zapukał, po czym wyszła do niego, zostawiając drzwi uchylone.

- Nie masz pielęgniarki? - zagadnął kapitan. Potrząsnęła przecząco głową.

- Chcę go doglądać sama, a chirurg zgodził się, że tak będzie najlepiej.

- Czy jesteś zupełnie pewna, że wiesz, czego się podjęłaś? - pytał dalej kapitan Vestey.

- Zupełnie pewna - oświadczyła Melinda.

Popatrzył na nią na poplamioną krwią suknię i potargane włosy. Jej twarz była bardzo blada, lecz oczy pełne blasku.

- Niemniej jednak miałaś ciężką noc - powiedział. - Idź się przebrać. Ja posiedzę z Gilbertem, jeśli nie wierzysz nikomu innemu.

Zrozumiała, że troszczy się o nią, i uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję - rzekła. - Niedługo wrócę.

- Musisz też coś zjeść - nalegał kapitan Vestey. - Czy wiesz, że obok tej - sypialni jest salon?

- Nie, nie wiem - odparła.

- Rzeczywiście, skąd miałybyś wiedzieć? - powiedział, też z uśmiechem. - Zamówię ci śniadanie, mnie także się przyda. Drzwi zostawię uchylone. Będziesz lepszą pielęgniarką, jeśli nie będziesz głodna.

- Myśli pan o wszystkim - pochwaliła Melinda.

- Powiem ci o czymś innym, o czym też pomyślałem - rzekł kapitan Vestey. - Mianowicie o twoich ubiorach. Założę się, że nie pamiętałaś o nich!

- Nie, nie pamiętałam - przyznała Melinda prawie ze wstydem. - Myślę, że jedną suknię zostawiłam tutaj, a reszta jest w Chardzie.

- Posłałem po nie - powiedział kapitan. - Pomyślałem, że zechcesz pielęgnować Gilberta, bo któż inny miałby do tego prawo?

Melinda zarumieniła się.

- Kochasz go, prawda? - zapytał cichym głosem kapitan Vestey,

Melinda podniosła ku niemu twarz, a on dostrzegł nagły lęk w jej oczach.

- Jak... jak pan to odgadł?

- Zapominasz, że widziałem cię, jak, biegłaś do niego, kiedy upadł - wyjaśnił kapitan. - Widziałem też twoją twarz, kiedy myślałaś, że nie żyje. Nie jesteś zbyt dobrą aktorką, Melindo.

- A sądziłam, że jestem - powiedziała Melinda, starając się mówić beztróskim tonem.

- Ach, moja droga! - kontynuował kapitan Vestey. - Nie jesteś rozsądna. Czy zdajesz sobie sprawę, jaki zdobywca serc leży tu przed tobą? Nie kochaj go za bardzo. Pamiętaj, że to małżeństwo jest upozorowane, że dla Gilberta jest tylko środkiem do celu. A potem żegnaj!

Melinda podeszła do balustrady otaczającej podest schodów i chwyciła za poręcz. Mogła stąd zobaczyć pusty hall na dole. Mogła prawie ujrzeć siebie samą schodzącą po schodach, przechodzącą przez frontowe drzwi, zostawiającą za sobą ten dom i wszystko, co w nim było - zostawiającą swoje serce!

- Wiem... wiem - szepnęła. - Ale co mogę zrobić?

- Nie chcę patrzeć, jak cierpisz - powiedział kapitan. On także podeszedł do balustrady, stanął obok niej i wpatrzył się w jej profil - prosty, arystokratyczny nosek, drobny podbródek, ślicznie uformowane usta.

- Jesteś za dobra na tego rodzaju rzeczy - powiedział, a jego słowa zdawały się płynąć prosto z serca.

Melinda westchnęła cicho.

- Dziękuję, że tak pan o mnie myśli - rzekła. - Ale czy nie rozumie pan, że jestem szczęśliwa - szczęśliwsza, niż byłam kiedykolwiek w życiu. Szczęśliwa, po roku niedoli, upokorzenia, a niekiedy nawet rozpaczy.

- Co zrobisz, gdy nie będzie cię już potrzebował? - zapytał kapitan Vestey.

- Nie wiem - odrzekła Melinda. - Nie mówmy o tym.

- Miałem nadzieję, że w gruncie rzeczy nie ma to dla ciebie większego znaczenia - powiedział kapitan Vestey. - Chyba jednak od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, wiedziałem, że jesteś osobą wrażliwą, że twoje uczucia, mimo sposobu życia, jaki wybrałaś, są inne niż u tych kobiet, do których się przyłączyłaś.

Melinda nie zorientowała się, o czym właściwie kapitan mówi. Myślała o markizie; o tym, że teraz nie jest już arogancki, dominujący i potężny, lecz jest tylko mężczyzną, rannym mężczyzną na pewien czas straconym dla świata, w którym żył.

- Muszę wracać do niego - powiedziała. Nie zauważyła, że kapitan Vestey wyciągnął rękę, aby ująć jej dłoń, i że w ostatniej chwili powstrzymał się od wypowiedzenia słów, które miał już przygotowane w myśli.

- Proszę przy nim posiedzieć - dodała. - Wrócę za kilka minut. Chyba miał pan rację co do śniadania.

Obdarzyła go przelotnym uśmiechem i pobiegła szybko korytarzem do pokoju, który zajmowała w czasie swego pobytu na Grosvenor Square. Było w niej coś eterycznego i wiosennego; coś, co sprawiło, że obserwujący ją mężczyzna pokiwał głową, gdy szedł do pokoju chorego.

- Do diabła, Gilbercie! Ona jest za dobra dla ciebie! - powiedział półgłosem, posłusznie zajmując miejsce na krześle stojącym obok łóżka.

Rozdział 12

Lokaj przeszedł na drugą stronę ulicy i specjalnym kluczem otworzył bramę prowadzącą do prywatnego ogrodu. Melinda podziękowała mu i wyciągnęła rękę, aby wziąć klucz.

- Poczekam tu na jaśnie panią - powiedział.

Uśmiechnęła się więc i weszła do ogrodu

W promieniach popołudniowego słońca, które chowało się już za dachy, połyskiwały kropelki wody, tryskającej z małej kamiennej fontanny. Wszędzie rosło pełno kwiatów, i ich zapach przesycił powietrze. Był biały i purpurowy bez różowe kwiaty wiśni, złote żonkile, a także szkarłatne tulipany, stojące w równych szeregach jak gwardziści, których schludnie utrzymane kwatery otaczały błękitne niezapominajki.

W ogrodzie nie było nikogo innego, chociaż służył on mieszkańcom wszystkich domów przy Grosvenor Square. Melinda szła powoli przez dobrze przystrzyżony trawnik. Kwiaty oraz panujący tu spokój przypomniały jej Chard i nagle zapragnęła tam powrócić. Być może, kiedy markiz poczuje się lepiej, wróci do Chardu, a wówczas - poczuła, jak serce zabiło jej mocniej na tę myśl - znowu będą sami.

Miała go dla siebie od czasu pojedynku i dopiero teraz, na wyraźne zalecenie lekarza, odeszła od jego łóżka, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Doktor nalegał, że powinna to robić, aby „rumieńce wróciły na jej policzki”.

Pielęgnowanie chorego wymagało długich godzin cierpliwości; godzin, które były męczące, a jednocześnie napełniały ją głęboką radością i dumą. Markiz pozostawał pod jej opieką. Nie był już autokratyczny i wymagający, nie ranił jej swymi słowami ani nie wprawiał w zakłopotanie oskarżeniami, których nie rozumiała. Był po prostu złożonym niemocą człowiekiem, któremu mogła nieść ulgę w cierpieniu.

Siedziała przy nim przez długie nocne godziny, skulona w wielkim fotelu, którym na usilne nalegania służącego zgodziła

się zastąpić krzesło stojące przy łóżku. Czasami zdrzemnęła się trochę, lecz przeważnie przyglądała się markizowi w bladym świetle świec i wiedziała, że kocha go całym sercem, każdym włóknem swej istoty.

Zawsze zastanawiała się, czy kiedykolwiek się zakocha, i marzyła o tym podobnie jak inne dziewczyny. Nie spodziewała się jednak, że będzie to trawiący płomień, który zdawał się sprawiać jej fizyczny ból, a jednocześnie wywoływał ekstazę unoszącą ją w niebiosy.

To jest miłość, mówiła sobie, i czuła, że serce bije jej mocno, a palce drżą, gdy dotykała markiza, aby poprawić mu poduszki lub nakryć go świeżym kocem. Ale było to beznadziejne! Przyszłość nie mogła jej przynieść nic oprócz cierpienia. Nie umiałyby jednak przestać go kochać, tak samo jak nie potrafiłyby powstrzymać przyływu morza.

Wiedziała, że szczęście, które czerpie z faktu, iż ma go dla siebie, musi być krótkotrwałe. Tego ranka markiz czuł się znacznie lepiej i chociaż wydawał się jeszcze trochę oszołomiony i nadal nie zdawał sobie sprawy, co się naprawdę zdarzyło, to jednak wyraźnie przychodził do siebie. Zażądał, żeby go umyła i ogolono, po czym wstał z łóżka i włożył szlafrok, by w nim przyjąć lekarza. Gdy Melinda czyniła mu wymówki, że w ten sposób nadszarpnie swe siły, zaprotestował:

- Traktujesz mnie jak dziecko! Mam poczucie, że muszę coś zrobić. Nie jestem pewien, co to takiego. Wydaje mi się, że mój mózg jest zasnuty mgłą i otepiały wiem, przyjdę do siebie, ale leżenie mi w tym nie pomoże.

- Był pan ranny - powiedziała łagodnie Melinda.

Markiz położył dłoń na bandażu, spowijającym jego głowę.

- Co się stało? - zapytał. - Czy to był jakiś wypadek? Czy zrzucił mnie Piorun? Nie, to ciebie powinien zrzucić! Ach... oczywiście, przypomniałem sobie. Pojedynek!

W jego głosie pojawił się nagle ostry ton, Melinda więc dorzuciła pospiesznie:

- Proszę teraz o tym nie mówić! Musi pan odpocząć. Później przyjdzie doktor i jeśli uzna, że mówi pan za dużo, zaaplikuje jeden ze swych środków uspokajających.

- Nie zrobi nic takiego! - powiedział szorstko markiz. - Nie pozwolę nikomu pompować we mnie laudanum czy jakieś inne trucizny, które mącą mi rozum.

Melinda westchnęła cicho. Z tonu jego głosu poznała, że sprzeczenie się z nim nic by nie dało, kiedy więc zadzwonił po służącego, mogła tylko wyjść z pokoju i zastanawiać się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie od niej zależny.

Gdy schodziła do hallu, usłyszała, jak lokaj przy drzwiach frontowych mówi do innego lokaja:

- Powiedz jej lordowskiej mości, że dzisiaj rano jego lordowska mość czuje się lepiej, ale jeszcze nie przyjmuje gości.

- Powiem jej lordowskiej mości - odpowiedział drugi lokaj. - I bądź uprzejmy wręczyć jego lordowskiej mości ten list.

Nastąpił moment ciszy, po czym lokaj, który przyniósł list, dodał chichocząc:

- Ciągle noszę po mieście te miłosne liściki. Jeśli chcesz wiedzieć, to jestem tylko posłańcem Amora.

- Powiem ci coś - odpowiedział pierwszy lokaj. - Gdybyś był goły jak amorek, wyglądałbyś jeszcze gorzej niż teraz.

Rozległ się najpierw wybuch śmiechu, szybko stłumiony, gdy zorientowali się, że ktoś może ich przypadkiem usłyszeć, a potem odgłos zamykania drzwi, po czym przez hall przeszedł statecznie lokaj we wspaniałym ciemnoczerwonym

uniformie ze złotymi guzikami, niosąc na srebrnej tacy otrzymany przed chwilą list.

Melinda, rozbawiona tą wymianą uprzejmości, nie potrafiła odgadnąć, od kogo był ten list. Kto, prócz lady Alicji, mógł przysłać markizowi „liścik miłosny”? Poczwała nagły przypływ gniewu, który - o czym wiedziała aż nazbyt dobrze - był po prostu zazdrością.

Teraz, w tym pięknym spokojnym ogrodzie, zastanawiała się nad beznadziejnością swej sytuacji. A jednak nawet lady Alicja przez sześć miesięcy nie mogła jej zabrać markiza! Dwukrotnie obeszła dookoła małą fontannę, po czym zawróciła, gdyż nie mogła wytrzymać tak długo z dala od domu.

Lokaj czekał na nią tam, gdzie go zostawiła. Gdy tylko ją zobaczył, otworzył bramę, a następnie zamknął; przez chwilę czekała na niego, stojąc na chodniku. Minęło ją kilka pojazdów, a ona z ciekawością przyglądała się koniom: parze kasztanów, nie tak jednak pięknych jak te, które należały do markiza; tłustemu dereszowi ciągnącemu zamknięty powóz; otwartemu powozowi z zaprzęgiem w szpic, którym kierował młody człowiek w cylindrze na bakier, z dużym goździkiem w butonierce.

- Teraz jaśnie pani może przejść na drugą stronę - poinformował z szacunkiem lokaj i Melinda uprzytomniła sobie, że chociaż powozy już przejechały, ona nadal stoi na chodniku.

Przeszła przez ulicę z poczuciem, że wraca do domu po długiej nieobecności. Gdy wchodziła do hallu, zegar wybił szóstą. Pomyślała, że doktor musiał już wyjść, i zastanawiała się, czy ktoś pamiętał o podaniu markizowi herbaty.

Miała właśnie wejść na górę, by zorientować się w sytuacji, gdy kamerdyner, wchodząc do hallu, powiedział przyciszonym głosem:

- Jego lordowska mość polecił, żebym poinformował jaśnie pana, że jest w bibliotece.

- Zszedł na dół! - wykrzyknęła Melinda..

- Tak jest, milady. Doktor zapewnił, że czuje się dość dobrze. Istotnie, z tego, co sir Henry mi powiedział, wynika, że jest naprawdę bardzo zadowolony z postępów kuracji jego lordowskiej mości.

- To dobra wiadomość - rzekła Melinda swym łagodnym głosem, zmuszając się, by wolnym krokiem przejść przez hall do drzwi biblioteki.

Przez chwilę wydawało się jej, że sala jest pusta, lecz potem zobaczyła markiza siedzącego przed kominkiem w odległym końcu biblioteki; wokół jego krzesła służący rozstawił mały parawanik dla osłony przed przeciągami. Rezygnując zupełnie z poczucia godności, Melinda przebiegła przez salę, a gdy znalazła się przy markizie, powiedziała prawie bez tchu:

- Czuje się pan lepiej! Ach, tak się cieszę! Wyciągnął ręce i ujął jej dłonie, uśmiechając się do niej; pomyślała, że wygląda prawie tak jak dawniej, z tym że wydawał się spokojniejszy, a wyraz jego twarzy był łagodny.

- Słyszałem, jak troskliwie mnie pielęgnowałaś - powiedział swym niskim głosem.

Zadrżała pod dotknięciem jego ręki i uklękła na podłodze koło niego, a jej spódnice spiętrzyły się wokół.

- To nie było trudne - odpowiedziała, czując, że spuszcza oczy pod jego wzrokiem. - Był pan bardzo dobrym pacjentem.

- Sir Henry poinformował mnie, że byłem kontuzjowany - powiedział markiz. - Czuję się jeszcze trochę zamroczony i nie mogę sobie przypomnieć, co się naprawdę wydarzyło.

- Nie mówmy o tym - rzekła Melinda, myśląc, że nie odważyłaby się wyjawić mu roli, jaką odegrała w tym pojedynku.

- Muszę nakłonić Gerwazego, żeby opowiedział mi o tym dokładnie! - zawołał markiz. - Czy odwiedzał mnie?

- Tak, oczywiście, kapitan Vestey zachodził tu dzisiaj trzy czy cztery razy - odpowiedziała Melinda - lecz sir Henry zabronił przyjmowania jakichkolwiek gości.

- Oprócz ciebie, naturalnie - odrzekł markiz. '

- Nie... nie sądzę, żebym zaliczała się do gości - wyjąkała Melinda.

- Nie, skądże! Sir Henry gratulował mi opieki żony. Gdzie, pomijając inne twoje umiejętności, nauczyłaś się pielęgnować chorych?

- Pielęgnowałam mojego ojca, kiedy złamał obojczyk na polowaniu - wyjaśniła Melinda. - Matka też chorowała kilka razy. A teraz chciałam pana pielęgnować; nie miałam ochoty, żeby jakaś sztywna pielęgniarzka nie pozwalała mi być przy panu.

- Jestem wzruszony twoją troskliwością - powiedział cicho markiz.

Spojrzała szybko na niego i uświadomiła sobie, że nie drwi ani nie jest cyniczny.

- Powinienem pomyśleć o tym - kontynuował markiz - że siedzenie przy łożu nieprzytomnego mężczyzny musiało być dla ciebie bardzo nudne. Nie przykryło ci się?

- Nie, bynajmniej - zapewniła. - Chciałam być z panem.

Mówiła impulsywnie i krew zabarwiła jej policzki, gdy uprzytomniła sobie, że powiedziała coś, co mogło zdradzić jej prawdziwe uczucia.

- Dlaczego chciałaś być ze mną? - zapytał markiz dość natarczywym tonem.

Zakłopotana Melinda sięgnęła do wstążek zawiązanych pod brodą, odwiązała je i zdjęła czepek z głowy. Zachodzące słońce pozostawiło na niebie poświatę, która w połączeniu z

ogniem kominka przemieniła jej włosy w złotą aureolę, otaczającą drobną twarzyczkę.

Wiedziała, że oczy markiza wpatrują się w nią, i nieco zdenerwowana powiedziała spiesźnie:

- Szłam właśnie na górę, żeby zobaczyć, czy otrzymał pan herbatę. Czy przynieść ją? Tak się bałam, że mogli zapomnieć.

- Mam wszystko, czego mi potrzeba - zapewnił ją markiz.
- Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Ja... ja myślę, że... zapomniałam, co... to było - powiedziała Melinda cichym głosem.

- To nieprawda - zaprzeczył markiz. - Powiedz mi, Melindo, chcę wiedzieć.

Było coś tak zniewalającego w jego spojrzeniu, że serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Melinda zerwała się na równe nogi.

- Jestem... jestem pewna, że... czegoś pan potrzebuje - powiedziała i spojrzawszy na markiza, ujrzała uśmiech na jego ustach. Wyciągnął rękę.

- Chodź tu, Melindo - powiedział, a gdy się nie poruszyła, dodał: - Zaraz!

Kiedy tak stała niezdecydowana, zanim jeszcze zdążyła zrobić jakikolwiek ruch, drzwi się otworzyły i rozległ się głos kamerdynera:

- Sir Hektor Stanyon pragnie widzieć panią. Melinda stała bez ruchu jak sparaliżowana, gdy do Sali wkroczył sir Hektor, ogromny, czerwony na twarzy, zapalczywy. Przez chwilę nie mogła oderwać od niego wzroku, a jej oczy były szeroko otwarte i przerażone, jak u zwierzęcia schwytanego w pułapkę.

Sir Hektor patrzył na nią i szedł powoli naprzód, aż wreszcie stanął pośrodku sali.

- A więc tu się ukrywasz! - powiedział, a jego głos był szorstki i donośny. - Pomyślałem, że nie mogę się mylić, gdy zobaczyłem, jak przechodzisz przez ulicę; a jednak trudno mi było uwierzyć własnym oczom, kiedy weszłaś do tego domu.

- Stryj... Hektor! - wyjąkała Melinda.

- Tak, twój stryj, a jakże - potwierdził, - A także twój opiekun - jeśli jesteś uprzejma o tym pamiętać - któremu należy się wyjaśnienie.

- Ja... ja... - zaczęła Melinda, lecz zamknął jej usta nagły ryk sir Hektora.

- Nie potrzeba tu żadnych wyjaśnień, fakty mówią same za siebie! Ośmieliłaś się uciec, opuścić mój dom, ale teraz natychmiast wrócisz tam ze mną. Czas na tłumaczenie się będzie później; powiem ci, panno, bez ogródek, że uciekłaś mi raz, lecz już mi więcej nie uciekniesz. Kiedy ci sprawię największe lanie, jakie kiedykolwiek w życiu dostałaś, poślubisz pułkownika Gillinghama tak szybko, jak tylko uda się to zorganizować. Na szczęście nic nie wie o twojej eskapadzie. Stryjenka była wystarczająco roztropna, by ukryć ją przed nim. Ale ja wiedziałem o niej i zostaniesz ukarana - nie miej co do tego żadnych wątpliwości - ukarana tak, jak nigdy przedtem, ty niewdzięczna mała dziwko!

- Proszę... stryju Hektorze, ja... ja nie mogę...

- Nie kłóć się ze mną - ryknął sir Hektor. - Natychmiast idź na górę i spakuj swoje rzeczy. Nie wiem, jaką pozycję zajmujesz w tym domu, ale udzielę wszelkich niezbędnych wyjaśnień. Bądź posłuszna! Słyszysz?! Jeśli nie będziesz, to zaraz wymierzę ci część kary, która czeka na ciebie w domu!

Sir Hektor postąpił krok w stronę Melindy i podniósł rękę. Instynktownie wydała cichy okrzyk, czując się zupełnie zgnębiona i udęczona. Przez chwilę zapomniała o wszystkim, oprócz strachu przed stryjem, byk więc tak samo jak on

zaskoczona, gdy nagle usłyszała za sobą mocny, zdecydowany głos:

- Nie mogę pozwolić, sir, żeby uderzył pan damę w mojej obecności.

Markiz wstał z krzesła i zrobiwszy kilka kroków, stanął obok Melindy. Spojrzała na niego i poczuła, że jej strach słabnie. Był tak silny i dystyngowany, a jej stryj niewątpliwie utracił nieco pewności siebie.

- Mogę zapytać, kim pan jest? - zapytał sir Hektor.

- Nazywam się Chard, markiz Chard - padła odpowiedź.

- Chard! - wykrzyknął sir Hektor. - Więc co tu robi moja siostrzenica?

Nastąpiła chwila ciszy, po czym dodał złośliwie:

- A może to jest niedyskretne pytanie? Niewiele spodziewałem się po tej dziewczynie, bo zawsze sprawiała mi kłopoty, nie przewidziałem jednak, że tak szybko stanie się ulicznicą!

- Pańska siostrzenica - odparł markiz lodowatym tonem - jeśli rzeczywiście istnieje jakieś pokrewieństwo między wami, a gdyby było, to należy się jej moje najgłębsze współczucie, uczyniła mi ten zaszczyt, że wzięła ze mną ślub, i w tej sytuacji muszę prosić pana o przeproszenie jej.

- Małżeństwo! Mój Boże! Pan ją poślubił! - Sir Hektor zakrzuszył się i w jednej chwili całe jego zawadiactwo zniknęło. - Nie wiedziałem. Markiz Chard, coś podobnego! Muszę więc złożyć wam moje gratulacje.

- Nie potrzebujemy ich - odparł markiz. - A pańskie zachowanie od chwili, gdy wszedł pan do mojego domu, przekonało mnie, że łatwo możemy się obyć bez pańskiego towarzystwa. Dobrego popołudnia, sir! Służący odprowadzą pana do drzwi.

- Ale chodzi mi o to... - zaprotestował sir Hektor. - Muszę... muszę omówić to z panem. Jestem opiekunem Melindy.

- Wszystko. co ma pan do powiedzenia - rzekł markiz - może przekazać moim doradcom prawnym!

Markiz odwrócił się i podszedłszy do kominka, stał tam, zwrócony plecami do stryja Melindy. Przez chwilę sir Hektor wahał się; cały wigor i gniew uszły z niego, przynajmniej raz nie wiedział, co zrobić. Potem, rzuciwszy półgłosem przekleństwo, które jednak Melinda usłyszała zupełnie wyraźnie, odwrócił się, przeszedł przez salę, otworzył gwałtownym ruchem drzwi, wyszedł i zatrzasnął je za sobą.

Melinda nasłuchiwała, jakby odgłos jego kroków w hallu miał ją upewnić, że faktycznie opuścił ten dom. Stała, patrząc na drzwi; którymi wyszedł, a potem bardzo powoli zwróciła się ku markizowi. Był odwrócony do niej tyłem; patrzył na ogień. Nagle poczuła lęk.

- Prze... przepraszam - wyjąkała.

Odwrócił się, a ona zlekła się wyrazu jego twarzy.

- Niech cię diabli! - powiedział, a jego głos ciał jak bicz. - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Milczała. Teraz ton jego głosu stał się sarkastyczny i lodowaty jak północny wiatr.

- Mam zaszczyt prosić cię o rękę! Tego właśnie chciałaś przez cały czas, nieprawdaż? Żeby to osiągnąć, prowadziłaś nieustępliwie całą tę swoją grę! To dlatego kontynuowałaś tę śmieszoną farsę niewinności - żeby schwytać mnie w pułapkę! Robiłaś to ślicznie, prawie udało ci się przekonać mnie, że jesteś taka, jaką udajesz.

A teraz muszę cię poślubić! Nie ze względu na ciebie - nie myśl, że to dlatego, iż ci obiecałem - ale ze względu na siebie samego. Twój stryj będzie gadać - oczywiście, że będzie gadać: „Moja siostrzenica markiza!” Nie ośmielę się, we

własnym interesie, zaprzeczyć! Bardzo dobrze, weźmiemy ślub, prawdziwy ślub tym razem, tak jak sobie zaplanowałam. Jaką uroczą żonę będę miała! Żonę, która umawia się z każdym mężczyzną, jakiego spotka - umowa z lordem Hartingtonem, obietnice dla lorda Wrothama... Ten rozpustnik, najgorszy wyrzutek społeczeństwa, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia, był kochankiem mojej żony! Sądzisz, że kiedykolwiek potrafię o tym zapomnieć? Sądzisz, że kiedykolwiek będę mógł spojrzeć na ciebie, nie myśląc o tym, że on cię dotykał? Rozpustnik, którego boi się nawet najgorsza ulicznica!

Markiz przerwał, a Melinda stała, patrząc na niego, z pobladłą twarzą, z oczami szeroko rozwartymi i pociemniałymi od bólu.

- Kiedy patrzę na ciebie - ciągnął markiz cichym głosem, który jednak przenikał ją do głębi duszy - trudno mi uwierzyć, że jesteś tym, czym jesteś. A jednak jesteś złem, które oczarowuje mężczyznę i wciąga go w pułapkę; złem, które należałoby zniszczyć. Ale ja muszę cię poślubić! I poślubię, ponieważ byłem na tyle naiwny, że wpadłem w najsprytniejszą pułapkę, jaką kiedykolwiek zastawiła przebiegła kobieta intrygantka.

Bardzo dobrze, dam ci swoje nazwisko. Wiedz jednak, że dając ci je, nienawidzę cię za to, czym jesteś! Wiele bym dał, żeby Piorun cię zrzucił i żebyś nie żyła! Gdybym mógł zobaczyć cię martwą, ucieszyłbym się, bo świat pozbyłby się ciebie. Torturowałam mnie, a teraz mnie zniszczysz. Precz! Precz z moich oczu! Nie mogę na ciebie patrzeć!

Podniósł głos niemal do krzyku, a Melinda z cichym jękiem, który zdawał się wydobywać z najgłębszego wnętrza jej istoty, odwróciła się i wybiegła z sali. Słyszał, jak przebiegła przez hall i wbiegła po schodach na górę; potem usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach.

Po pewnym czasie do biblioteki wszedł lokaj, niosąc zapalone lampy naftowe. Markiz nie poruszył się; dopiero kiedy kamerdyner zapowiedział:

- Kapitan Gerwazy Vestey, milordzie! - podniósł głowę.

- Gilbercie! To wspaniale, że już wstałeś - powiedział kapitan Vestey. Położył rękę na ramieniu przyjaciela, po czym usiadł po drugiej stronie kominka. - Wkrótce będziesz jak nowo narodzony - zapewnił. - W rzeczywistości to podmuch powietrza zwałił cię z nóg. Nawet gdy zobaczyłem, że leżysz na ziemi, wiedziałem, że to tylko powierzchowna rana. A Melinda myślała, że nie żyjesz.

Przez chwilę panowała cisza, po czym markiz zapytał nienaturalnym głosem:

- Melinda! Co tam robiła Melinda?

- Nie wiesz? - zdziwił się kapitan Vestey. - Uratowała ci życie. Myślę, że nie chciała o tym mówić, lecz strzeliła Wrothamowi w rękę, kiedy odwrócił się po policzeniu do dziewięciu. Zawsze wiedziałem, że to tchórz, ale nigdy nie przy puszczałem, że zobaczę, jak mężczyzna rozmyślnie oszukuje w taki sposób.

- Melinda... strzeliła mu... w rękę! - powtórzył markiz, jakby przyglądał się uważnie każdemu słowu.

- No tak, to był cholernie dobry strzał - uśmiechnął się kapitan. - Mój Boże! Ta dziewczyna jest sportowcem, nie ma co do tego żadnych wątpliwości! Ale niestety spóźniła się o sekundę, Kiedy Wrotham wystrzelił, kula drasnęła ci głowę; wtedy jeszcze stawiałaś ostatni, dziesiąty krok.

- Chcesz powiedzieć, że gdyby nie Melinda, to on by mnie zabił? - zapytał markiz.

- Możesz postawić pięćset funtów przeciw półpensówce, że zabiłby cię - odparł kapitan Vestey. - To jest morderca! Teraz już wiem, dlaczego zginęli wszyscy inni jego przeciwnicy.

- Melinda go nie zabiła? - zapytał znów markiz.

- Nie! Może byłoby dobrze, gdyby to zrobiła. Z drugiej strony mogłyby być kłopoty - odrzekł kapitan Vestey. - Ale strzaskała mu prawą rękę. Słyszałem właśnie, że mu ją amputowano. Zasłużył na to! Co więcej, nie będzie już śmiał pokazywać się w przyzwoitym towarzystwie. Fred i ja dopilnujemy tego!

Markiz nic nie powiedział, po chwili więc kapitan Vestey ciągnął dalej:

- Czy słyszałeś kiedyś o takiej odwadze, jaką ma ta dziewczyna? Gdy opuściliśmy Chard, ona pojechała ze starym Traversem, ukryła się w krzakach i wszystko zaplanowała. Gdy to się zdarzyło, byłem cholernie zadowolony, że mamy ze sobą Traversa. W sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, mielibyśmy kłopoty z umieszczeniem cię w faetonie. Melinda była w tym wszystkim wspaniała. Czy wiesz, Gilbercie: ona cię kocha!

- Bzdura! Nic podobnego! - powiedział gniewnie markiz.

- Ale nie miałem pojęcia, że była obecna przy pojedynku. Muszę z nią o tym pomówić.

Kapitan Vestey spojrział na zegarek.

- No dobrze, za chwilę powinna zejść na obiad - oznajmił.

- Chyba ci przekazała, że prosiła mnie, bym zjadł z wami obiad? Myślę, że nie odwołasz tego zaproszenia, Gilbercie? A jeśli chcesz mojej dobrej rady, to natychmiast po obiedzie połóż się do łóżka. Nie powinieneś chodzić za dużo pierwszego dnia.

- Zadzwoń - powiedział ostro markiz, najwyraźniej nie usłyszawszy ani słowa z tego, co mówił ostatnio przyjaciel.

- Zadzwoń? - zapytał kapitan. - Po co?

- Zadzwoń! - rozkazał markiz.

Kapitan Vestey podniósł się, lecz w tej chwili otworzyły się drzwi.

- Obiad podany, milordzie!
- Gdzie jest panna Stanyon? - zapytał markiz.
- Panna Stanyon? - powtórzył kamerdyner. - O ile wiem, jej lordowska mość wyszła z domu, milordzie.
- Wyszła z domu! - powtórzył markiz. - Co przez to rozumiesz?

- Jeden z lokajów powiedział mi, że wyszła - odpowiedział kamerdyner, trochę zaniepokojony tonem głosu swego pana. - Przypuszczam, że zostawiła list do jego lordowskiej mości.

- Więc go przynieś! Dlaczego, u diabła, nie dostarczono mi go od razu? - powiedział ostro markiz.

Podniósł się z krzesła i stał w milczeniu, blady i gniewny, dopóki nie wróci! kamerdyner z listem na tacy. Markiz chwycił go i rozdarł kopertę. Kamerdyner wymknął się z pokoju, a lord Chard stał nadal, czytając list, aż wreszcie kapitan, nie mogąc dłużej powstrzymać ciekawości, zapytał:

- No i co? Co się stało?

- Posłuchaj, Gerwazy! Posłuchaj tego! - odezwał się markiz nieswoim głosem.

Milordzie,

bardzo żałuję, że sprawiłam Panu tyle kłopotów. Wiem, że od samego początku było niewłaściwe z mojej strony, iż wzięłam udział w ceremonii zaślubin, która była tylko oszustwem, ale potrzebowałam pieniędzy, żeby kupić domek, w którym mogłabym zamieszkać z moją starą nianią. Nie zdawałam sobie sprawy, że konsekwencje tego będą takie straszne. Nie sądziłam, że będzie Pan musiał stanąć do pojedynku z mojego powodu. Ale przysięgam, że nie miałam żadnych takich zamiarów, o które mnie Pan oskarżył. Lord Hartington poprosił mnie dla żartu, żebyśmy zawarli umowę, że ja postaram się nie zakochać, a on postara się odkochać. A lorda Wrothama nigdy nie spotkałam, z wyjątkiem tego

wieczoru, kiedy przyjechałam do Londynu, a pani Harcourt, którą spotkałam na dworcu kolejowym, zaproponowała mi nocleg. Gdy weszliśmy do jej domu, przedstawiła mnie jego lordowskiej mości, i to był jedyny raz, przysięgam, kiedy w ogóle spojrzałam na niego.

Następnego ranka przyjechałam na Grosvenor Square, żeby zatrzymać się u Pana. Nigdy nie planowałam, ani nawet w najbardziej fantastycznych marzeniach nie wyobrażałam sobie, że mnie Pan poślubi, i nie miałam zamiaru zrujnować Panu życia ani zrobić niczego, co nie byłoby dla Pańskiego szczęścia.

Dlatego, Milordzie, już nigdy mnie Pan nie zobaczy. Kapitan Vestey powiedział mi, że jeśli umrę, będzie Pan mógł zażądać tych pieniędzy i nie będzie już żadnych trudności. Chciałabym podziękować za tyle okazanej dobroci. Byłam czasami bardzo szczęśliwa i tylko proszę, żeby zechciał mi Pan wybaczyć niestosowności w moim zachowaniu.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Melinda Stanyon

Głos markiza załamał się, gdy czytał ostatnie dwa słowa, a jego oczy błyszczały, kiedy podniósł je znad listu.

- Rozumiesz, Gerwazy? - zapytał. - Ona była niewinna! Widzisz, co pisze? Ella zaczęła ją tego wieczoru na dworcu kolejowym. Zawsze mówiono mi, że ta kobieta postępuje w ten sposób, ale nigdy w to nie wierzyłem.

- Tak, to prawda - potwierdził kapitan Vestey. - April mówiła mi, że ona wychodzi na pociągi, proponuje nocleg wiejskim dziewczętom, które przyjechały do miasta, i zabiera je do swego domu. Potem nie ma już ucieczki.

Spojrzał na markiza, a zobaczywszy wyraz jego twarzy, dodał:

- April powiedziała też, że Ella zwykle trzyma je pod działaniem narkotyków przez pierwsze dwie lub trzy noce,

dopóki nie staną się uległe. Sądzę, że Melinda nie miała pojęcia, w jakim miejscu się znalazła.

- Jestem zupełnie pewien, że nie miała - oświadczył markiz. - Ale skąd mogłem o tym wiedzieć? Przybyła tu od Kate.

- Zawsze mówiła, że nie wie, kto to jest Kate - wtrącił kapitan Vestey.

- Nigdy nie miała okazji jej spotkać - powiedział powoli markiz. - Wstąpiłeś tam tego samego, wieczoru, kiedy przyjechała do Londynu, a następnego dnia Ella kupiła jej suknię ślubną i przywiozła ją tu, na Grosvenor Square.

Nagle podniósł rękę do twarzy i zasłonił oczy.

- Mój Boże! Kiedy pomyślę, co jej mówiłem! W jaki sposób ją traktowałem! Wyglądała tak niewinnie, a ja nie mogłem w to uwierzyć!

- A jak sądzisz, co się z nią teraz dzieje? - zapytał kapitan Vestey.

Markiz wydał okrzyk.

- Wyszła z domu! Gdzie poszła? Mój Boże, Gerwazy! Jeśli to jest to, co mam na myśli...

Prawie przebiegł przez salę, otworzył szarpnięciem drzwi i wypadł do hallu. Kamerdyner czekał na zewnątrz.

- Dokąd poszła panna Stanyon? - zapytał markiz. - Czy ktoś wie?

- Niedokładnie, milordzie - odpowiedział służący - ale kiedy wasza lordowska mość wydawał się zdziwiony jej nieobecnością, przeprowadziłem śledztwo.

- I co ustaliłeś? - zapytał markiz. - Szybko, człowieku!

- Panna Stanyon nie poinformowała nikogo, dokąd idzie - odrzekł kamerdyner - jednakże chłopiec na ulicy, który oświećta ludziom drogę pochodnią, powiedział mi, że pytała go o drogę na Embankment.

Markiz zwrócił się ku drzwiom wyjściowym.

- Poczekaj, Gilberte! Poczekaj na powóz! - krzyknął kapitan Vestey.

- Sprowadź powóz - rzucił markiz przez ramię. - Ja wezmę pierwszego czworonoga, który mnie tam doniesie.

Zanim lokajowi udało się go wyprzedzić, otworzył szarpnięciem frontowe drzwi i wybiegł na ulicę.

Rozejrzawszy się na wszystkie strony, dostrzegł dwukołową dorożkę, wyjeżdżającą powoli zza rogu. Machnął ręką i dorożkarz zatrzymał się koło niego.

- Gwinea, jeśli zawiesz mnie na Embankment tak szybko, jak tylko się da - powiedział markiz, wskakując do pojazdu. - Gwinea, nie, dwie, jeśli chcesz, tylko wieź mnie tam!

Dorożkarz, myśląc, że trafił mu się pijany pasażer, zaciął konia.

- Szybko! - wołał markiz ze środka. - Szybciej! Szybciej!

Koń osiągnął dość znaczną szybkość, gdy jechali przez Berkeley Square, w górę Berkeley Street i w dół St. James Street; chociaż jednak dorożkarz często robił użytek ze swego bata, zwierzę było już zmęczone, gdy znaleźli się na Parliament Square i skręcili wzdłuż Emkbankment.

- Teraz jedź powoli - rozkazał markiz; dorożkarz ściągnął lejce i koń zwolnił, przechodząc w lekki trucht.

Na bulwarze było ciemno, gdyż latarnie stały w dużych odstępach; przechodniów było niewielu. Markiz wychylił się z dorożki, wpatrzony w balustradę nabrzeża. Wtem, zupełnie nagle, zobaczył ją w mroku między dwiema latarniami. Nie można było się pomylić - to była ona, ta drobna, szczupła postać ze złotymi włosami, z których spadał okrywający je szal.

- Stój!

Dorożkarz zatrzymał konia i markiz wyskoczył. Wyjął sakiewkę i rzucił ją woźnicy, który pochwycił ją zręcznie i gwizdnął ze zdumienia, gdy zobaczył jej zawartość.

Markiz, który teraz nie musiał się już spieszyć, przystanął na chwilę, obserwując Melindę. Widział, jak podniosła twarz ku niebu, a potem spojrzała w dół, w ciemną, kłębiącą się wodę za balustradą. Bardzo cicho podszedł do niej.

- Melindo! - powiedział, a ona wzdrygnęła się na dźwięk swego imienia.

Gdy zobaczyła, kto przed nią stoi, wyciągnęła swą małą rączkę, jakby broniąc się przed nim.

- Nie... nie! Nie możesz... mnie powstrzymać - prosiła.
- Tylko że... tam... byli ludzie dokoła... i... ona wydaje się tak zimna i... ciemna.

- Melindo! - powiedział znów markiz, a jego głos był bardzo łagodny i czuły. - Jak mogłaś przyjść tu, żeby zrobić coś takiego?

- Muszę - wyszeptała. - Nie rozumiesz, że muszę? Wszystko zrobiło się takie... poplątane. Rozgniewałam cię. Zrujnowałam ci życie i... ja nie chcę... tego robić.

Wyciągnął ręce i zamknął jej dłonie w serdecznym uścisku.

- Melindo, to wszystko było okropnym nieporozumieniem - zapewnił. - Czy możesz mi wybaczyć? Czy możesz zrozumieć, że mówiłem do ciebie w ten sposób tylko dlatego, że udręczyłaś mnie poza granice mej wytrzymałości? Doprowadziłaś do tego, że szalałem z zazdrości. Bo widzisz, ja pokochałem cię od pierwszej chwili, w której cię ujrzałem!

Poczuł, że się wzdrygnęła, potem wycofała swoje dłonie z jego rąk.

- To jest... żart? - zapytała. - Bo... bo nie jest on... zbyt... uprzejmy...

Jej głos załamał się na tych słowach i w tej chwili otoczyły ją ramiona markiza.

- Uprzejmy, Melindo? Kto tu chce być uprzejmy?! - wykrzyknął. - Ja cię kocham! Ja cię uwielbiam! Chciałem ci to powiedzieć nieraz, odkąd cię poznałem, lecz coś mnie powstrzymywało.

Melinda drżała w jego ramionach; po chwili zapytali:

- Czy to była... lady Alicja?

- Co ma z tym wspólnego Alicja? - odparł szorstko. - Tego dnia, kiedy przyszła do biblioteki, powiedziałem jej, że wszystko między nami skończone. Kiedy zobaczyłem ciebie, zrozumiałem, że nie chce ani jej, ani podobnych do niej.

- Ale ja nie rozumiem - szepnęła Melinda.

- Teraz o tym wiem - powiedział. - I wiem, że tamtego wieczoru, na przyjęciu, kiedy wydawałaś się tak oburzona, powinienem był zabrać cię stamtąd. Zamiast tego, beznadziejny głupiec, zachowałem się wobec ciebie jak cham. Mogę tylko, Melindo, z całą pokorą prosić cię, żebyś mi wybaczyła.

- Oczywiście, wybaczam ci - powiedziała cicho Melinda.

- Ale, rozumiesz przecież, ja muszę odejść, muszę... umrzeć. Nic innego nie... pomoże, bo jak powiedziałeś, stryj Hektor, będzie gadać. Może nawet nalegać, żeby zamieścić wiadomość o... o naszym... ślubie w „Gazette”.

- Sam ją zamieszczę - oświadczył markiz. - Nie rozumiesz, Melindo? Proszę cię, będę błagał na kolanach, jeśli to konieczne, żebyś wyszła za mnie. Chcę, byś została moją żoną. Nigdy nie pragnąłem nikogo tak jak ciebie; a jeśli będziemy mogli zacząć od nowa, to wiem, że potrafię uczynić cię szczęśliwą.

Przycisnął ją mocniej do siebie. Milczała, lecz czuł, że drży. Po chwili, z odrobiną swej dawnej władczości, ujął ją pod brodę i zwrócił ku sobie jej bladą, wylęknioną twarz.

- Nie odpowiedziałaś mi, Melindo - powiedział, a nikt jeszcze nie słyszał takiej czułości w jego głosie. - Czy mnie poślubisz?

- Nie mogę... pojąć, co się stało - wyszeptała drżącym głosem Melinda. - Dlaczego się zmieniłeś? Co takiego zrobiłam, że tak się na mnie rozgniewałeś? Nie rozumiem!

- Mam nadzieję, że nigdy tego nie zrozumiesz - odrzekł markiz. - Chcę, żebyś mi obiecała, Melindo, że nigdy nie będziemy mówić o przeszłości. To już minęło. Było to coś takiego, w czym nigdy nie powinnaś brać udziału, i co nigdy by się nie wydarzyło, gdybym nie był upartym głupcem, wykazującym taki brak zasad, że zastanawiam się, czy w przyszłości będziesz mogła mieć do mnie zaufanie.

- Wiesz przecież, że ci ufam - zapewniła żarliwie Melinda. - Po prostu chcę, żebyś był szczęśliwy.

- A dlaczego tego chcesz? - dopytywał się markiz.

- Bo... - zaczęła, lecz głos zamarł jej w krtani.

- Bo co? - nie ustępował.

Nie odpowiadała, tylko ukryła przed nim twarz. Czuł, że drży, i wiedział, że teraz już nie jest to spowodowane lękiem.

- Bo co? - nalegał. - Proszę, Melindo, powiedz to. Nie zasłużyłem, żeby to usłyszeć, a jednak pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Bo... cię... kocham - wyszeptała.

Objął ją jeszcze mocniej, a jego wargi dotknęły jej ust. Tylko przez chwilę czuł jej drzenie; potem poddała się i połączyli się w nagłej ekstazie, która była czymś niewypowiedzianym. Oboje wiedzieli tylko, że świat jest złoty i pełen światła; że coś, co nigdy przedtem nie przydarzyło się żadnemu z nich, unosi ich na skrzydłach zachwyty.

Wtem gdzieś w oddali, jakby dobiegało z innej planety, usłyszeli wołanie kapitana Vesteya. Niechętnie, jakby nie mogąc znieść tej rozłąki, ich usta oderwały się od siebie, nadal

jednak wpatrywali się w tajnie swych oczu. Powoli odwrócili głowy; zobaczyli oczekujący powóz i biegnącego ku nim kapitana Vesteya.

- Odnalazłeś ją, Gilbercie! Ach, dzięki Bogu, Melindo, odnalazł cię!

- Tak, odnalazł mnie - powiedziała miękko Melinda i poczuła, że ramię markiza objęło ją mocniej, gdy odrzekł:

- Odnalazłem ją, Gerwazy, a ona już nigdy mnie nie opuści!